

Grey Scale #13



DANES
-PICTA
.COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

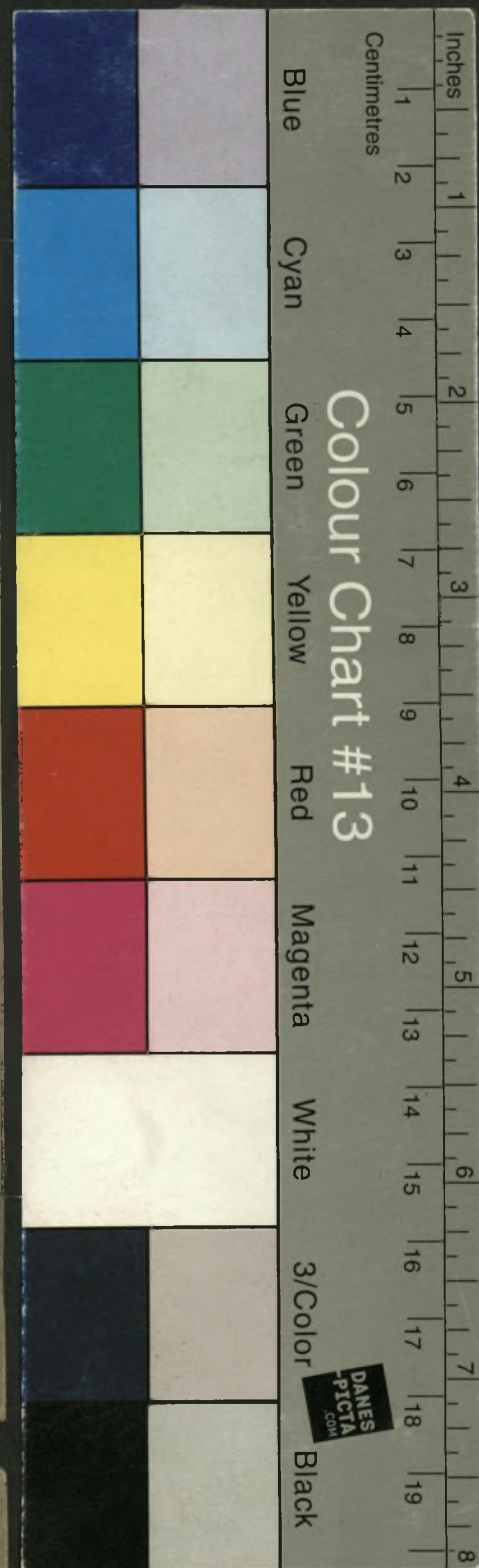
W OBRONIE WOLNOŚCI SZKÓŁ AKADEMICKICH

GŁOSY:

X. J. ARCHUTOWSKIEGO, OSWALDA BALZERA, AL.
BRÜCKNERA, FRANC. BUJAKA, IGN. CHRZANOW-
SKIEGO, BRONISŁ. DEMBIŃSKIEGO, ROM. DYBO-
SKIEGO, STAN. ESTREICHERA, EM. GODLEWSKIEGO,
X. BISKUPA M. GODLEWSKIEGO, J. GWIAZDOMOR-
SKIEGO, H. HOYERA, BOLESŁ. HRYNIEWIECKIEGO,
MAKS. HUBERA, STAN. KOTA, X. KONST. MICHAŁ-
SKIEGO, WŁAD. NATANSONA, J. PAGACZEWSKIEGO,
STAN. PIGONIA, L. PINIŃSKIEGO, EUG. ROMERA,
JANA M. ROZWADOWSKIEGO, STAN. STARZYŃSKIE-
GO, WOJC. ŚWIĘTOSŁAWSKIEGO, WŁAD. SZAFERA,
W. TOKARZA, B. WINIARSKIEGO, STAN. ZAREMBY,
MARJANA ZDZIECHOWSKIEGO, TAD. ZIELIŃSKIEGO

W KRAKOWIE

SKŁAD GŁÓWNY: „DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ” W WARSZAWIE
1933



W OBRONIE WOLNOŚCI SZKÓŁ AKADEMICKICH

G Ł O S Y :

X. J. ARCHUTOWSKIEGO, OSWALDA BALZERA, AL. BRÜCKNERA, FRANC. BUJAKA, IGN. CHRZANOWSKIEGO, BRONISŁ. DEMBIŃSKIEGO, ROM. DYBOSKIEGO, STAN. ESTREICHERA, EM. GODLEWSKIEGO, X. BISKUPA M. GODLEWSKIEGO, J. GWIAZDOMORSKIEGO, H. HOYERA, BOLESŁ. HRYNIEWIECKIEGO, MAKS. HUBERA, STAN. KOTA, X. KONST. MICHAŁSKIEGO, WŁAD. NATANSONA, J. PAGACZEWSKIEGO, STAN. PIGONIA, L. PINIŃSKIEGO, EUG. ROMERA, JANA M. ROZWADOWSKIEGO, STAN. STARZYŃSKIEGO, WOJC. ŚWIĘTOSŁAWSKIEGO, WŁAD. SZAFERA, W. TOKARZA, B. WINIARSKIEGO, STAN. ZAREMBY, MARJANA ZDZIECHOWSKIEGO, TAD. ZIELIŃSKIEGO

W KRAKOWIE

SKŁAD GŁÓWNY: „DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ” W WARSZAWIE

1933

W OBRONIE WOLNOŚCI
SZKÓŁ AKADEMICKICH



C

D

THE NEW YORK PUBLIC LIBRARY
ASTOR LENOX TILDEN FOUNDATION

W OBRONIE WOLNOŚCI SZKÓŁ AKADEMICKICH

G Ł O S Y :

X. J. ARCHUTOWSKIEGO, OSWALDA BALZERA, AL. BRÜCKNERA, FRANC. BUJAKA, IGN. CHRZANOWSKIEGO, BRONISŁ. DEMBIŃSKIEGO, ROM. DYBOSKIEGO, STAN. ESTREICHERA, EM. GODLEWSKIEGO, X. BISKUPA M. GODLEWSKIEGO, J. GWIAZDOMORSKIEGO, H. HOYERA, BOLESŁ. HRYNIEWIECKIEGO, MAKS. HUBERA, STAN. KOTA, X. KONST. MICHAŁSKIEGO, WŁAD. NATANSONA, J. PAGACZEWSKIEGO, STAN. PIGONIA, L. PINIŃSKIEGO, EUG. ROMERA, JANA M. ROZWADOWSKIEGO, STAN. STARZYŃSKIEGO, WOJC. ŚWIĘTOSŁAWSKIEGO, WŁAD. SZAFERA, W. TOKARZA, B. WINIARSKIEGO, STAN. ZAREMBY, MARJANA ZDZIECHOWSKIEGO, TAD. ZIELIŃSKIEGO

W KRAKOWIE

SKŁAD GŁÓWNY: „DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ“ W WARSZAWIE

1933

323(438): 378

30313 / 2



Drukiem Pawła Mitęgi w Cieszynie.

OSWALD BALZER,

profesor i b. rektor Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie,
członek czynny Polskiej Akademji Umiejętności.

UWAGI O PROJEKCIE NOWEJ USTAWY O SZKOŁACH AKADEMICKICH.

Poniższe uwagi co do Projektu nowej ustawy o szkołach akademickich wypowiadam przede wszystkim pod kątem patrzenia interesów i potrzeb Uniwersytetów; nie wątpię, że dadzą się one przeważnie w całości, wyjątkowo może z nielicznymi i nieznacznymi odchyleniami, dostosować do innych zakładów naukowych, które ustawodawstwo nasze zaliczyło do rzędu t. zw. szkół akademickich. Dodaję zresztą, że w szeregu tych uwag rozpatruję tylko rzeczy ważniejsze i bardziej zasadnicze; na omówienie wszystkich szczegółów Projektu nie starczyłoby tu miejsca, gdyż każdy niemal jego artykuł i każdy niemal ustęp poszczególnych artykułów rodzą wątpliwości i budzą mniej lub więcej konieczne zastrzeżenia.

Podniesiono już trafnie z wielu stron, że Projekt we wszystkich, nawet drobnych sprawach, związanych z życiem i działalnością Uniwersytetów zapewnić się stara Ministrowi Ośw. Publ. stała, ciągle powrotną ingerencyę, że poddaje wszystko jego rozstrzygnięciom, że niema tu zresztą przepisu, którego wykonania nie mógłby sparaliżować sam Minister. Rzeczy, które w przeważnej mierze dałyby się rozstrzygnąć wprost i odrazu w samej ustawie czy nawet w statucie Uniwersytetu, mają zależeć od jego zarządzeń. „Minister ustala“ zakres kompetencji władz (art. 3₁), zakres i sposób dokonywania kontroli nad działalnością szkół akademickich (art. 3₂), sposób wyznaczania delegatów do Senatu (art. 5₂) oraz delegatów docentów do Rady Wydziałowej (art. 15₁), organizacyę i sposób postępowania Komisyj, mających badać kwalifikacyę kandydata do

katedry uniwersyteckiej (art. 32₄), nawet termin wyboru Rektora (art. 8₃); nie zabraknie nawet postanowienia, że do przyjęcia cudzoziemca na studenta Uniwersytetu potrzebna jest każdorazowo decyzja Ministra (art. 42₂) i t. d. i t. d. Doliczono się tu 24 wypadków, w których Projekt wyraźnie o takiej ingerencji ministerialnej mówi; a spotkałem się ze zdaniem, którego nie miałem czasu sprawdzić, że jest ich jeszcze o kilkanaście więcej. Żeby poprzestać na przytoczonych przykładach i uwzględnić pośród nich tylko rzeczy ważniejsze, co do których przecież byłyby i dla Ministerstwa pożądane informacje, oparte na doświadczeniu władz akademickich, zaznaczyć trzeba, że w żadnym z tych wypadków Projekt nie wymaga uprzednich opinii Senatu czy Rad Wydziałowych: wszystko pozostawione dowolnej decyzji Ministra, wszystko zależeć ma od jego widzimisie.

Zdumienie wprost budzi przepis art. 2₁ Projektu, że Minister ustala podział na wydziały i osobne ich oddziały (studja) w szkołach akademickich, że przeprowadza wszelkie zmiany tego podziału, że może nie tylko tworzyć nowe ale nawet związać dotąd istniejące wydziały, studia, katedry i zakłady. W wypadkach tych wymagane jest wprawdzie uprzednie „wysłuchanie” opinii Senatu akademickiego wzgl. interesowanych Rad Wydziałowych, ale tylko: wysłuchanie; t. zn. Minister może wszystkie te zarządzenia wydać nawet wbrew tym opiniom, znowuż według własnego uznania. A przecież, poczynając od całych Wydziałów, chodzi tu o najważniejsze podstawy i składniki organizacyi uniwersyteckiej, urobionej doświadczeniem całego szeregu wieków. O ich losach, o ich egzystencji czy zniesieniu, o tem, czy np. Uniwersytet rozwijać ma swoją czynność we wszystkich dziedzinach wiedzy, czy też działać jako twór kadłubowy, ma tedy rozstrzygać nieskrępowana niczem wola chwilowego kierownika Ministerstwa? Trzeba otóż z całym naciskiem podkreślić grozę położenia, w jakim znaleźć mogłaby się nauka uniwersytecka, gdyby takie uprawnienia przyznać Ministrowi; tem bardziej, że przy kolejnej zmianie osób nastęrczyłaby się sposobność do ciągłych eksperymentów, raz w tym, raz w innym kierunku, które w samej działalności Uniwersytetów musiałyby stworzyć istny chaos. Nie możnaby tu nawet myśleć o jakimś oparciu tego rodzaju zarządzeń

Ministra na zgodnej z jego intencjami opinii utworzonej niedawno Rady Oświecenia Publicznego, złożonej z członków przez niego właśnie mianowanych, i to w części tylko takich, którzy mogą posiadać urobiony sąd o sprawach uniwersyteckich; zwłaszcza, że znowuż w razie sprzeciwu ze strony owej Rady Minister nie byłby jej opinią, jako głosem wyłącznie doradczym, wiązany. Wszelakie reformy w tym zakresie, podejmowane przez Ministerstwo, należałoby, jak sądzę, uzależnić od uprzedniej zgody odnośnych Senatów czy Rad Wydziałowych; gdyby zaś nawet, w razie rozbieżności poglądów, nie chciał wiązać go bezwzględnie ową zgodą, należałoby szukać ostatecznego rozstrzygnięcia czy to u organów rzeczowo pod tym względem kwalifikowanych, np. Akademii Umiejętności, czy nawet pewne szczególnie ważne sprawy (np. zniesienie Wydziałów) przekazać zgóry do załatwienia Sejmowi i Senatowi.

Podobne, krótko już dające się ująć uwagi, następuje art. 24 Projektu, według którego statut szkoły akademickiej uchwała wprawdzie ogólne zebranie profesorów, ale w którym Minister z własnej inicjatywy zarządzić może zmianę po wysłuchaniu jego opinii. I tutaj opinia ta pojęta jako niewiążąca, gdy w rzeczywistości większy nacisk należałoby położyć na zgodę, ile że i w tym wypadku dowolne zmiany i dodatki luzujących się kolejno kierowników Ministerstwa mogą wprowadzić zamieszanie i inne niepożądane następstwa.

Istną piętę Achillesa Projektu stanowią przepisy o powoływaniu profesorów na katedry uniwersyteckie. Stanowi on, że w razie wakansu katedry należy przeprowadzić uprzednio rodzaj ankiety, zwracając się do wszystkich profesorów tego samego lub pokrewnego przedmiotu we wszystkich innych szkołach akademickich o przesłanie opinii, który z kandydatów jest najodpowiedniejszy do jej zajęcia; poczem sprawę tę rozpatrzy osobna komisja o składzie wyznaczonym przez Ministra, wreszcie zaś Rada Wydziałowa, po wysłuchaniu wniosków komisji, przedstawi Ministrowi kandydata. Można ostatecznie proceder taki uznać za możliwy, choć trąci on zbytnim biurokratyzmem i przewlekłością; jak dotąd dochodzono do tego samego celu w sposób krótszy: Wydział przedstawiał wprost od siebie wniosek o nominację, a tylko jeśli miał jakie

wątpliwości, zasięgał prywatnie informacji u fachowych znawców zamiejscowych, względnie wylaniał sam z pośród siebie komisję do rozpatrzenia tej sprawy. Ważniejsza rzecz inna: Projekt stanowi w dalszym ciągu, że Minister może odrzucić przedstawionego kandydata, i nie stawia żadnych zgoda wymogów, któreby go uprawniały do takiego odrzucenia. Odmowa może tedy nastąpić nawet i w takim wypadku, gdyby za przedstawionym kandydatem oświadczyła się jednogłośnie i cała ankieta, i wspomniana komisja, i sama Rada Wydziałowa. Skądże tak daleko sięgające uprawnienia Ministra? W jednym wypadku możnaby mu je przyznać bez zastrzeżeń: gdyby się okazało, że Rada Wydziałowa, przedstawiając kandydata, nie zwróciła uwagi na defekty moralne w dotychczasowym jego życiu, na jakieś jego kolizje z prawem karnem, na jakieś wypadki, rzucające cień na jego charakter i t. p. W tym razie jednak należałoby warunek ten zamieścić wyraźnie w tekście projektowanej ustawy. Prawda, że w praktyce byłaby to rzecz nieaktualna: Uniwersytety nasze, czy to w dobie trwającego zaboru, czy w odrodzonej Polsce, stały zawsze na straży wysokiej godności zawodu profesorskiego i liczyły się najskrupulatniej z moralną wartością przedstawianych kandydatów; gdyby tu nawet szukać ze świecą, nie zdołałby nikt wskazać przykładu odstąpienia od tej zasady, i można tuszyć zasadnie, że nie zdarzy się on także w przyszłości. A jeśli nie może chodzić o to, to dla jakichże przyczyn ma przysługiwać Ministrowi prawo odrzucenia przedstawionego kandydata? Czy może dlatego, że same jego kwalifikacje naukowe uznaje za niewystarczające? Trudno tu jednak przyznać w tym kierunku Ministerstwu, w całym jego składzie, kompetencję do superrewizji przedłożonego wniosku, bo wszak wniosek ten przedstawiony został, nieraz jednomyślnie, przez kilka po kolei organów, kwalifikowanych fachowo, jakich w zasadzie nie posiada Ministerstwo, chybaby tu odliczyć możliwe sporadyczne wyjątki indywidualne (dawniejszy zawód naukowy Ministra czy tego lub owego urzędnika Ministerstwa).

Możnaby wobec tego zwątpić o możliwości racjonalnego objaśnienia tego przepisu, gdyby nie dalsza jego część, jak ją podaje Projekt. Orzeka on, że w razie odrzucenia przedstawionego kandydata, Rada Wydziałowa winna przedłożyć nowy

wniosek o zamianowanie innego; gdyby zaś i ten drugi, zdaniem Ministra, nie nadawał się do objęcia katedry, natenczas może on zgoda już samodzielnie przedstawić Prezydentowi do zamianowania jednego z kandydatów, wymienionych w większości odpowiedzi ankiety (art. 33). Trzeba otóż zwrócić uwagę na to, że w wielu wypadkach ilość pracowników, poświęcających się badaniom w zakresie pewnej gałęzi wiedzy, jest, w naszych stosunkach, dość nieznaczna: wytrawniejsi, bardziej zasłużeni, zajmują katedry w innych Uniwersytetach czy naogół szkołach akademickich; poza nimi znajdzie się pospolicie zaledwie kilku — czasem dobrze, jeśli znajdzie się choć jeden — ale tylko pośród młodszych adeptów, poczynających dopiero pracę w danej gałęzi wiedzy, lub conajwyżej jakiś starszy pracownik, mogący jednak wykazać się nikłemi tylko wynikami dotychczasowej swojej działalności. Jeśli więc Minister odrzuci dwu po kolei względnie najlepiej kwalifikowanych kandydatów, to zostaną mu już pospolicie do uwzględnienia bądź to tylko siły mierne, bądź początkujące; a i co do tych ostatnich niewiadomo, u ilu jeszcze załamię się rychło intensywność pracy, wzgl. ilu z nich, nawet przy większym wysiłku, zdoła doprowadzić do jakichś wydatniejszych wyników naukowych. Jednem słowem, trzeba będzie często wybierać pośród miernot, nawet gdyby w opiniach ankiety wspomniano o nich dla dokładności na jakichś dalszych miejscach. Następczająca się jednak w takich warunkach możliwość uwzględnienia także kandydatów tego rodzaju skłonić ich może i skłoni pewno niejednego, żeby w innym sposobie zwrócić na siebie uwagę czynnika rozstrzygającego, tj. Ministra: przez silniejsze akcentowanie, słowem lub czynem, pewnej orientacji politycznej, która Ministrowi jest sympatyczna, lub którą on sam podziela; i nie można się będzie potem dziwić, że ten czy ów Minister, mając swobodną do tyła rękę w rozdzielaniu katedr, wybierze tu swojego sympatyka, że może czasem właśnie dlatego, żeby znaleźć dlań miejsce, usunie wyżej, nawet znacznie wyżej kwalifikowanego kandydata, jakiego przedstawiła Rada Wydziałowa. Pod takim kątem patrzenia mógłby sobie ktokolwiek objaśnić zagadkową zresztą, jak widzieliśmy, genezę przepisu, dającego Ministrowi przy obsadzaniu katedr tak daleko sięgające prawo przeciwstawiania się wszelakiej ocenie rzeczowej

kwalifikacyj naukowych kandydatów. Jakże z takiego układu rzeczy wynikać mogłyby najgroźniejsze następstwa, szeroko wywodzić nie potrzeba: o powołaniu na katedry rozstrzygać będą oryentacje polityczne, nie kwalifikacje naukowe, Uniwersytety czy inne szkoły akademickie zapełniać się będą coraz bardziej miernotami, a niejeden badacz, dobrze kwalifikowany, niechodzący jednak takimi drogami bocznymi, którego dalsza działalność mogłaby przynieść jeszcze poważne, może znamienite dla nauki korzyści, zmuszony twardą koniecznością życiową, będzie musiał porzucić dalszą pracę naukową, żeby w innym zawodzie zapewnić sobie warunki bytu. Realizacja omawianych przepisów projektu podcięłaby najistotniejsze podstawy rozwoju naszych uczelni wyższych, stałaby się *g r o b e m n a u k o w o ś c i* w Polsce. Nawrót do zasady, przestrzeganej dotąd u nas i w innych państwach cywilizowanych, że do wszelakiej nominacji profesora potrzebny jest bezwarunkowo uprzedni co do niego wniosek odnośnego Wydziału uniwersyteckiego, staje się wobec tego rzeczą konieczną.

Urastają w tym samym kierunku niebezpieczeństwa dalsze, po części nawet groźniejsze, ze względu na ogłoszony ostatnio dekret państwowy o państwowej służbie profesorów szkół akademickich, dający możliwość przenoszenia profesorów z jednej takiejże szkoły do innej, z zupełnem pominięciem opinii interesowanych Wydziałów, czy nawet usuwania ich z katedr i przenoszenia na emeryturę na tle zamierzonej „reorganizacji” tychże Wydziałów.

Rzeczowa niezasadność a zarazem szkodliwość obu postanowień rzuca się w oczy. Trzeba sobie uprzytomnić, że przeniesienie profesora z jednego miejsca na drugie, to nie to samo, co n. p. przeniesienie urzędnika administracyjnego, który wszędzie znajdzie równe warunki spełniania swoich funkcji urzędniczych. Należy przypomnieć, że przedstawiciel danej gałęzi wiedzy w badaniach swoich dość pospolicie specjalizuje się w pewnym jej dziale, że odpowiednio do tego, jak na 'to zwrócono już gdzieindziej uwagę, zaopatruje swój instytut w odpowiadające temu celowi środki, przybory, instrumenty, dzieła naukowe i t. p. Dodać można ponadto, że często i takim uczonym, których praca badawcza nie jest związana z osobnemi instytucjami doświadczalnemi, potrzebny jest pewien szczegó-

ny dział literatury naukowej, nagromadzony w miejscowej bibliotece uniwersyteckiej, czy innym wielkim księgozbiornym; jednemu naprzykład wydatniejszy komplet literatury naukowej zachodniej, innemu publikacje odnoszące się do stosunków Wschodu i t. p. Wiadomo otóż, że w związku z kolejami dziejowymi z doby zaborów zasoby bibliotek naszych są pod tym względem dość różnorodne. Czegoż tedy można oczekiwać, jeśli przeniesiony profesor niespodziewanie pozbawiony zostanie swojego właściwego warsztatu pracy, jeśli przyjdzie mu pracować w nowym instytucie, nieposiadającym dostatecznego aparatu środków, związanych z jego specjalnością, czy też korzystać z biblioteki, w której co krok natknie się na luki, czasem najpoważniejsze, co do potrzebnej mu literatury naukowej? Przyjdzie osłabienie, czy nawet zanik jego twórczości naukowej, która w warunkach dawniejszych mogła przynieść jeszcze wyniki najpoważniejsze. I nie koniec na tem. Nieraz profesor taki, natrafiwszy na sprzyjające warunki, zdołał w obranem dla swej pracy miejscu czy to zorganizować jakąś instytucję naukową, czy też ująć w niej pracę kierowniczą, a włożywszy w nią potrzebny zasób energii i pracy, doprowadzić ją do rozkwitu; czy znowuż, objawszy naprzykład kierownictwo wychodzącego tamże organu naukowego, postawić go na wysokim poziomie doskonałości. W nowem miejscu zabraknąć może wystarczającego substratu do zorganizowania wydatnie w tymże zakresie działającej instytucji naukowej, a o stworzeniu tamże drugiego pisma fachowego z tej samej dziedziny wiedzy pospolicie myśleć nie można. Na nowem miejscu załamię się tedy dotychczasowa, tyle dotąd owocna działalność profesora w tym kierunku, a porzucone przezeń w dawniejszej siedzibie instytucje, organy i t. p., nie znalazłszy może następcy do tyła co poprzednik sprawnego, będą musiały w niejednym wypadku zmarnieć.

Jeszcze gorsze horoskopy odsłania postanowienie dekretu pałdyziernikowego o przenoszeniu profesorów na emeryturę. Oczywiście w pewnych wypadkach takie ich usunięcie może być przedmiotowo usprawiedliwione, więc: czy to gdy przekroczą pewną późną granicę wieku, czy też, gdy stwierdzone zostanie w sposób należyty zaniedbywanie się ich w spełnianiu obowiązków, czy też, jeśliby się dopuścili jakichś czynów nie-

honorowych lub kolidujących z kodeksem karnym. Ale wypadki takie winny tu być wyliczone ściśle i wyczerpująco; tymczasem dekret zgła o nich w miejscu tem nie wspomina, orzekając ogólnie tylko, że profesor może być przez Prezydenta (oczywiście na wniosek Ministra) przeniesiony na emeryturę. Zatem: według dowolnego uznania Rządu. Może stąd znowuż dla któregośkolwiek Ministra urósć pokusa podciągnięcia tego rodzaju spraw pod strychulec polityczny: więc, jeśli profesor, zajęty pracą naukową, za mało podkreśla na zewnątrz pożądaną orientację, czy, co gorsza, jeśli od niej choćby w ramach uprawnień konstytucyjnych, mniej lub więcej odbiega. I jeszcze jedno: ponieważ przy stosowaniu tego rodzaju systemu ilość kandydatów do katedr profesorskich, niedostatecznie kwalifikowanych, ale dobrze zorientowanych, snadno zwiększać się może, grozi tu możność usuwania dawniejszych, choćby najlepiej dla nauki zasłużonych profesorów, byleby tylko zrobić miejsce dla łaknących posad sympatyków. Jak omówione poprzednio, zbyt daleko sięgające prawo nominacji rządowej przyczynić się może do zapelnienia miernotami katedr opróżnionych, tak znowuż prawo usuwania profesorów będzie mogło ogołacać Uniwersytety z sił naprawdę kwalifikowanych, żeby je zastąpić nową falangą miernot. Dwa z obu stron koncentrycznie działające prądy mogą tu rychło przekształcić Uniwersytet w istny *lucus a non lucendo*.

Takie samo nastawienie, jak co do powoływania i usuwania profesorów, cechuje Projekt — do którego tu znowuż powracamy — także i co do powoływania i usuwania władz, czy na ogół organów uniwersyteckich. Była już poprzednio mowa o wyznaczaniu przez Ministra składu delegatów do Senatu, czy komisji do badania kwalifikacji profesorskich; możnaby tu przytoczyć jeszcze niektóre inne analogiczne postanowienia. Najważniejsze z nich, to przepis o sposobie ustanawiania naczelnego kierownika spraw uniwersyteckich, samego Rektora. Jest tu wprawdzie mowa o jego „wyborze“ przez delegatów wydziałowych bezwzględną większością głosów (art. 81), zaraz jednak znajdzie się dodatek, że Minister może odmówić przedstawienia wybranego Rektora do zatwierdzenia Prezydentowi, i to bez jakichkolwiek co do tego zastrzeżeń w Projekcie, zatem według własnego uznania i widzimisię. W tym

wypadku zebranie delegatów winno dokonać nowego wyboru innego Rektora, przyczem jednak bezwzględna większość głosów nie ma tu już znaczenia: Minister, przedstawiając Prezydentowi wniosek o mianowanie Rektora, ma tu swobodny wybór pomiędzy dwoma kandydatami, którzy otrzymali przy wyborze największą ilość głosów (art. 87). Praktycznie przedstawia się zatem rzecz w taki sposób: kandydat A otrzymał 12 głosów, B dwa głosy, C i D po jednym; albo nawet kandydat A 14 głosów, B 2 głosy. W obu wypadkach uprawnionymi konkurentami do Rektoratu będą kandydaci A i B, obaj o równych szansach uzyskania godności rektorskiej według wyboru Ministra. Można sobie wyobrazić, jakie zapanują stosunki na Uniwersytecie, jeżeli decyzja Ministra przechyli szalę na rzecz „dwugłosowego“ kandydata. Podniesiono już trafnie z kilku stron, że takiemu pożał się Boże Rektorowi zabraknie w gronie profesorskiem powagi, szacunku i zaufania, że powstaną obustronne tarcia, nieporozumienia i antagonizmy, że wyniknie stąd zmańczenie atmosfery naukowej w Uniwersytecie, o której utrzymanie przecież chodzić winno każdemu, kto zdaje sobie sprawę z posłannictwa Uniwersytetów. Jednem słowem Projekt, gdyby stać się miał ustawą, wprowadzi ferment walki w stosunki uniwersyteckie. A trzeba dodać, że taki Rektor nie zdobędzie sobie powagi także nazewnątr, w opinii społeczeństwa, bo skoro przy wyborze zyskał znikającą do tyła ilość głosów, to widocznie będzie to jakaś podrzędniejsza czy początkująca, na ogół mierna siła naukowa, z czego również szersze warstwy społeczeństwa potrafią zdać sobie sprawę. Takim sposobem Rektor, niemający poparcia ani na wewnątrz, ani poza Uniwersytetem, będzie go szukał w samym Ministerstwie, stanie się naprawdę „komisarzem rządowym“, jakim go chce widzieć Projekt; bo wszak możliwość przeciwstawienia „dwugłosowego“ kandydata innemu, który uzyskał olbrzymią większość głosów, świadczy najwyraźniej, że chodzi tu o dobór osobników o wiadomej orientacyi, choćby ich nawet było bardzo niewiele w Uniwersytecie. Pocóż więc rzecz obwijać w bawełnę i mówić jakoby o „wyborze“ Rektora, jak to czyni Projekt? Lepiej przyznać otwarcie, o co tu chodzi: Rektora mianuje Prezydent na wniosek Ministra.

Godnem dopełnieniem tych postanowień jest inny przepis

Projektu: że Prezydent (oczywiście znowuż na wniosek Ministra) może cofnąć uprzednie swoje zatwierdzenie Rektora, zatem mówiąc poprostu, może go usunąć z Rektoratu, jeżeli tenże „nie podola” obowiązkom rektorskim lub nie przestrzega obowiązujących przepisów. Gdybyż przynajmniej poprzestać tu na zastrzeżeniu o nieprzestrzeganiu przepisów, możnaby jeszcze zgodzić się na taką stylizację; ale dodatek o „niepodolaniu obowiązkom rektorskim” jest do tyłu co do treści rozciągliwy, że można tu zmieścić wszystko, co się komu podoba. Do czego ten przepis zmierza, nie potrzeba już, w świetle wywodów poprzednich, tłumaczyć szczegółowo; chodzi tu o możliwość usuwania Rektorów, gdyby się okazało, że są za mało zorientowani w pożądanym kierunku. W odmiennym ujęciu stylistycznym jest to treściowo to samo postanowienie, które w dekrete październikowym wydane zostało co do możliwości usuwania profesorów naogół.

Nieoczekiwaną nowością Projektu jest postanowienie, że także i Prorektor ma wychodzić z wyboru. Jak dotąd godność ta dostawała się w naszych Uniwersytetach, podobnie jak gdzieindziej w krajach zachodnich, Rektorowi z roku poprzedniego, *ipso iure*, bez osobnego aktu wyboru. W Projekcie akt taki jest zosobna wymagany; może być zatem powołany na to stanowisko jakikolwiek inny profesor, z pominięciem Rektora z okresu poprzedniego. Cel tej innowacji nie jest dość jasny; chyba że chodziło tu o to, żeby funkcję zastępczą kierownika Uniwersytetu przenieść na osobę dobrze zorientowaną, na wypadek, gdyby Rektor z poprzedniego okresu, lubo nieusunięty, okazał przecież za mało dla niej zainteresowania. Że bowiem i co do Prorektora chodzi o taką oryentację, wpływa najniezawodniej z dalszego ustępu Projektu, że wszystkie jego przepisy o ustanawianiu i usuwaniu Rektora mają być stosowane także do Prorektora (art. 13₁). Jaka ich treść i jakim służyć one mają zamierzeniom, omówiłem już poprzednio.

Trudno wreszcie objaśnić rację dalszego postanowienia Projektu, że zarówno Rektor jak i Prorektor „wybierani” być mają na przeciąg trzechlecia (art. 8₁ i 13₁). Znowuż, zarówno na Zachodzie, jak i u nas do tego czasu stosowana jest zasada, że urzędowanie obu tych dostojników trwa tylko przez

jeden rok akademicki. Może w zamierzonej innowacji tkwi myśl, żeby przez dłuższą praktykę wykształcić sprawniej funkcjonujących komisarzy rządowych w dziedzinie zwyczajnej administracji Uniwersytetu (w czym jednak snadno wyręczyć ich może kancelarya uniwersytecka); może także, doceniając trudności i kłopoty, jakie pociągnąć może za sobą ustanawianie możliwych „dwugłosowych“ Rektorów czy Prorektorów, chciano ich sobie oszczędzić przynajmniej na dłuższy, trzyletni okres czasu. Ze stanowiska interesów nauki trudno przychylić się do takiego pomysłu. Funkcye kierownicze wspomnianych dostojników wymagają pospolicie tylu zajęć i straty czasu, że podczas ich sprawowania trudno im myśleć o pracy naukowej. Lepiej więc, jeśli ta przerwa trwać będzie jeden tylko rok, zamiast lat trzech. Zwłaszcza, że, o ile przyjąć, iż na stanowiska te dostaną się przecież badacze poważniejsi, dłuższą już dotąd pracą naukową zasłużeni, spotęguje się wynikająca stąd szkoda, gdyż zajęcia owe oderwą od tej pracy ludzi, którzy urobioną już poprzednio, wypróbowaną metodą badawczą i bardziej pogłębioną wiedzą mogliby tem skuteczniej pracować dla nauki.

Zbierając razem rozpatrzone dotąd szczegóły, można tedy stwierdzić ogólnie, że Projekt nowej ustawy o szkołach akademickich, w łączności z dekretem październikowym, zmierza do zupełnego uzależnienia ich organizacyi i działalności od każdego Rządu i jego, żadnemi rzeczowemi przepisami niekrępowanej woli czy raczej dowolności. Sam skład ciała profesorskiego zależeć ma od decyzji kierowników Rządu, którą oni powziąć mogą pod kątem patrzenia politycznym, bez krępowania się względami na kwalifikacyę naukową kandydatów. Organizacya władz akademickich ma być również dostosowana do tych samych widoków i celów. Jak trafnie już z kilku stron podniesiono, Senatowi akademickiemu z dawniejszych jego szerokich uprawnień pozostać mają tylko okruchy, a jego atrybucye w znacznej części przeniesione zostają na Rektora czy zastępującego go Prorektora; ale obaj ci dostojnicy wprowadzeni być mają w stosunek najściślejszej zależności od Ministra samym już sposobem ich ustanawiania, które przechodzi właściwie w ręce Ministra, z możliwością dowolnego wyboru osób, znowuż pod kątem patrzenia politycznym, bez liczenia się



z interesem samegoż Uniwersytetu, z pełnem, wszechstronnem podporządkowaniem owych organów pod wpływ, wskazówki i kontrolę Ministerstwa, z całym szeregiem najdalej sięgających jego plenipotencyj do mieszania się we wszelakie, choćby najdrobniejsze sprawy. Uniwersytety mają być przetworzone w pospolite urzędy państwowe, przy równoczesnem zastosowaniu do nich wychodzącego z centrali systemu policyjnego.

W czymże tkwi źródło tych zamachów na samodzielność Uniwersytetów, i jakie działają tu pobudki, skłaniające do podjęcia nieprzyjemnej do tyła przeciwko nim akcji? Jedna, to wrodzone każdemu przedstawicielstwu władzy dążenie do możliwego tejże władzy rozszerzenia i ukrzepienia, nawet poza istotną potrzebę, nawet ze szkodą tego, co w dotychczasowem swoim ujęciu było pożyteczniejsze zarówno dla interesu narodu, jako też samego państwa. Krucyata przeciwko tego rodzaju urządzeniom, podejmowana pod hasłem wzmocnienia władzy i rzekomo usłużenia dobru publicznemu, wychodzi tedy na szkodę zarówno samej władzy, której przedmiotową niekompetencję i bezsilność w tym właśnie kierunku wykazuje, a szkodzi zarazem dobru publicznemu, któremu odbiera cenne, długiem doświadczeniem wypróbowane walory. Druga pobudka wspomnianej akcji, to snąć nieufność do zespołów profesorskich, które od czasu do czasu, czy to w głosach poszczególnych członków, czy niekiedy, lubo wyjątkowo, w enuncjacjach zbiorowych, dają wyraz zapatrywaniom, odbiegającym mniej lub więcej od chwilowo przyjętej orientacji Rządu. Nie chcę tu mówić o korzyściach, jakie z ujawnienia takich opinii odmiennych przez ludzi, bądź co bądź poważnych i w poszukiwaniu prawdy zaprawionych, mógłby wysnuć dla siebie sam Rząd, zmieniając w tym czy owym kierunku szczegóły swojej orientacji. Nie mam też zamiaru przypominać, że enuncjacje te dyktowane są nieraz troską o honor narodu i dobrą jego opinię u postronnych, nad czem czuwać ma obowiązek nie tylko Rząd, ale i samo społeczeństwo, że zatem nawet w razie różnicy zapatrywań między obu czynnikami brak tu moralnej legitymacji do represyj. Stwierdzę tylko, że wszelkie tego rodzaju enuncjacje utrzymywane są w ramach uprawnień, przyznanych obywatelom postanowieniami Konstytucyi, że zatem i pod tym kątem patrzenia nie nadają się do represyj i to

skierowanych nie już tylko przeciw samym osobom, ale nawet przeciw instytucjom, w których one pracują. Przypomnę wreszcie, na co już przy innej sposobności zwróciłem uwagę, że tego rodzaju enuncyacje profesorów, nawet zbiorowe, praktykowane są także gdzieindziej w świecie cywilizowanym, jak je na przykład uchwalano w różnych uniwersytetach niemieckich w czasie wojny światowej; a co ważniejsza, że takie enuncyacje dochodziły do skutku także w Uniwersytetach czy innych szkołach akademickich polskich, w czasie, kiedy one podlegały jeszcze rządowi zaborczemu. Przypominamy sobie dobrze, że w początkach r. 1918, po zawarciu pokoju brzeskiego, mocą którego ziemia chełmska ustąpiona została Rosyi, profesorowie Uniwersytetów Jagiellońskiego i lwowskiego oraz Politechniki lwowskiej ogłosili ostre protesty przeciwko temu frymarkowi, a profesorowie lwowscy i krakowscy wzięli nadto zbiorowy udział w wielkich manifestacjach publicznych, jakie wtedy odbyły się na rynku lwowskim i krakowskim. Przykro tylko przypomnieć w tym związku, porównując rzecz z stosunkami dzisiejszemi, że zaborczy rząd austriacki, mimo iż akcja ta zwracała się wprost i ostro przeciwko niemu, nie pomyślał przecież zgoda o jakimkolwiek ograniczeniu czy zniesieniu autonomii obu Uniwersytetów i Politechniki.

Zajął się oczywiście Projekt także sprawami młodzieży uniwersyteckiej. Co do stowarzyszeń akademickich orzeka on, że Ministerstwo osobnem rozporządzeniem ustali warunki i tryb ich zakładania, a zarazem określi, w jaki sposób ma być sprawowany nadzór nad niemi (art. 52₂). Jaka będzie treść zapowiedzianego rozporządzenia, nie można przesądzać, choć duch, przenikający Projekt, nie wróży tu postanowień bardziej liberalnych; na uwagę zasługuje w każdym razie zastrzeżenie, że wydane zostaną także przepisy o sposobie sprawowania nadzoru nad temiż stowarzyszeniami. Jak dotąd, nadzór ten należał przedewszystkiem do władz akademickich, można więc było odrazu rzecz tę stwierdzić w Projekcie; jeśli ją pominięto i zapowiedziano nowe, osobne pod tym względem przepisy, to snać w tym celu, żeby do nadzoru powołać także jakieś inne czynniki. Znamienne jest także postanowienie, które sądownictwo nad młodzieżą w sprawach dyscyplinarnych przekazuje wprawdzie osobnej komisji, wybranej samodzielnie przez Senat

z pośród profesorów, ale tworzy ponadto drugą ponad nią komisję dyscyplinarną odwoławczą, złożoną wprawdzie także z profesorów, ale powołanych już tylko przez samego Ministra (art. 51₂). Chodzi widocznie o możliwość usunięcia czy złagodzenia kar dyscyplinarnych, orzekanych przez komisję pierwszą. Obawa płonna: wyroki władz akademickich w tych sprawach, nacechowane zawsze ojcowską wyrozumiałością, nie posunęły się chyba nigdy do orzeczenia jakiejś zbyt ostrej, niesprawiedliwej kary; po cóż więc wprowadzać tutaj jakąś dwustopniowość w wymiarze sprawiedliwości przez ten sam czynnik, w zasadzie jednakowo nastrojony? Można by ten przepis wytłumaczyć znowuż chyba niedowierzaniem wobec komisji, wybranej przez sam tylko Senat i obawą jakiejś przesadnej ostrości wobec studentów pewnej orientacji, której zapobiec miałyby komisja odwoławcza, złożona już wyłącznie z wybrańców Ministra. Nie mam zamiaru przesądzać tej rzeczy; gdyby ktoś jednak chciał przyjąć domysł powyższy, okazałoby się, że nawet i to postanowienie urodziło się z pobudek politycznych.

Zasadniczą nowość, nie tylko w stosunku do tego, co dotąd stosowano w Polsce, ale co stosują u siebie także inne państwa kulturalne, przynosi postanowienie art. 10₂ Projektu, orzekające, że policja wkroczyć może na terytorium uniwersyteckie z własnej swojej inicjatywy, nie oczekując dopiero wezwania Rektora, jak tego wymagano dotychczas. Immunitet uniwersytecki zostaje tu przekreślony za jednym zamachem na rzecz idei systemu policyjnego. Dodano wprawdzie restrykcyę, że to wkroczenie policji nastąpić może tylko wtedy, gdy nie można w inny sposób usunąć niebezpieczeństwa, zagrażającego życiu lub zdrowiu ludzkiemu albo odwrócić ciężkich szkód dla mienia publicznego. Wiadomo jednak, jaką wartość mają tego rodzaju zastrzeżenia i w jak rozciągliwy sposób można je w danym wypadku interpretować; na dobrą sprawę będzie tu mogła wkroczyć policja przy każdej zdarzonej sposobności, ilekroć uzna to za wskazane. Będzie mogła wkroczyć dowolnie, jeśli zbierze się tu liczne, choćby najpoważniej nastrojone zgromadzenie młodzieży, o ile wkroczy tu jakaś nieliczna bojówka i rozpocznie demonstracyę, które dałyby się zażegnać innym sposobem; a co gorsza, wkroczywszy, zamiast poprzestać na usunięciu bojówki, może się policja pokusić o rozwiązanie

całego zgromadzenia, które poważnie zamierzało dyskutować o sprawach bieżących. Nie można zresztą wątpić, że, gdyby w tym czy innym wypadku groziło tu jakieś rzeczywiste niebezpieczeństwo życiu lub zdrowiu ludzkiemu czy też mieniu publicznemu, sam Rektor nie omieszką zawezwać interwencji policyi. Należy tylko decyzję w tej mierze pozostawić jego uznaniu, a zarazem dać mu możliwość wpłynięcia moralną swoją powagą na uśmierzanie jakichś groźących zatargów czy demonstracji. Możliwość przytoczyć wypadki, gdzie spokojna, ojcowska interwencja Rektora wpłynęła uspokajająco nawet na bojówkę, gdzie także zażegnać zdołała gorętsze chociażby spory w toku dyskusji na zgromadzeniach, czego nie zawsze oczekiwać można po policyi. Na całym świecie policya, nie wyłączając czasem nawet jej rozkazodawców, nie grzeszy zbytnią znajomością psychiki młodzieży akademickiej; sięgając tu od razu do metod, jakie zwyczajnie przychodzi jej stosować wobec przestępców pospolitych, przyczynia się nieraz sama do pogorszenia sytuacji. Można by znowuż wskazać przykłady, gdzie niewczesne, niedość przemyślane zarządzenie kierownictwa policyi samo dopiero wywołało demonstracje młodzieży, a stosowane następnie, zanedbano bezwzględne metody zaogniły rzecz jeszcze bardziej i przyczyniły się do nasilenia ekscesów. W interesie porządku i utrzymania spokoju leży zatem, żeby tu wpływom czynników uniwersyteckich, przede wszystkim Rektora, pozostawić najszersze pole, a do interwencji policyi sięgać dopiero za jego decyzją. Ma to nawet okazać się pożytecznem dla samych tendencji Rządu, gdyż przedwczesne czasem, czy przesadne znowuż czasem stosowanie represyj wzmacnia u młodzieży niepomierne ducha opozycji lub przerzuca do niej nawet żywioły umiarkowane.

Zbierając razem zestawione poprzednio uwagi, stwierdzić otóż można, że Projekt dąży do zupełnego uchylenia dotychczasowego samorządu Uniwersytetów; samorządu, który i tak nie jest pełny, gdyż nie wyklucza ani kontroli władz rządowych, ani nawet ingerencji ich w sprawach, nie wiążących się bezpośrednio z naukową i nauczycielską działalnością Uniwersytetu. Nawet tam, gdzie Projekt wspomina jeszcze wstydliwie o rzekomych jego funkcjach samorządowych, np. o przysługującym mu jakoby prawie wpływaniu na obsadę katedr, o wy-

borze Rektora czy Prorektora, są to tylko wyrazy bez treści, zakrywające rzeczywisty stan rzeczy; jak bowiem okazało się, z postanowień tych wypływa pełne, niekrępowane niczem prawo Ministra zarówno mianowania profesorów, jako też ustanawiania Rektorów i Prorektorów. Szkoły akademickie mają być przetworzone w jakieś pospolite urzędy, na podobieństwo na przykład władz administracyjnych, poddane ustawicznej, stałej ingerencji i kontroli Ministerstwa, nawet w sprawach ściśle dotyczących nauki, z otwartą w ten sposób zgóry możliwością podciągania tych nawet spraw pod strychulec chwilowych prądów czy orientacyj politycznych, oraz stosowania na każdym kroku, w miarę uznanej potrzeby, środków i sposobów systemu policyjnego.

Jakimi ta rzecz grozi katastrofalnymi następstwami, wskazały również uwagi poprzednie. Wysuwa się upiorna możliwość zalewu Uniwersytetów siłami miernymi, niedostatecznie kwalifikowanymi i niedość do dalszej pracy sposobnymi, dlatego tylko, że nastawiły się odpowiednio swoją orientacją, żeby uzyskać upragnioną posadę. Wyłania się stąd dalsze następstwo: skrępowanie swobody badań naukowych, których jedynym wskaźnikiem może być tylko dążenie do prawdy, a które przyćmiewać będzie czy to przyjęta orientacja, czy też niskie pobudki pilnowania własnego interesu. Przyjdą też niewątpliwie wewnętrzne tarcia i spory, zakłócające nie tylko atmosferę wzajemnej zgody i szczerości pośród profesorów, ale wnoszące pozatem zarzewie walk i niepokojów w dziedzinę samej działalności Uniwersytetów, gdzie właśnie w interesie pomyślnego rozwoju pracy badawczej i nauczycielskiej wymagany jest spokój możliwie bezwzględny, niezakłócony. A rezultat wszystkiego? Najpierw otóż: stopniowy upadek naukowości i samej nauki polskiej. I znowuż: stopniowe obniżanie poziomu nauczania, którego na odpowiedniej, prawdziwie naukowej wyżynie nie potrafią utrzymać miernoty, w ślad za czem Uniwersytety, tracąc swój właściwy charakter instytucyj naprawde naukowych, przetworzyć się mogą w pospolite szkoły zawodowe. Wreszcie: w związku ze zjawiskiem bezpośrednio poprzednim, stopniowe, coraz silniejsze obniżenie poziomu wykształcenia ogólnego, jakie pospolicie daje szkoła średnia, ile że działające tamże siły nauczycielskie, kształcone w Uni-

wersytetach o niskim do tyła poziomie nauczania, nie potrafia znowuż same udzielanej przez siebie nauki postawić na odpowiedniej wyżynie; obniżenie tem niebezpieczniejsze, że nawet już teraz, skutkiem ciągle powrotnych, nie zawsze fortunnych reform szkolnictwa średniego, wykształcenie umysłowe wychodzących stamtąd absolwentów nie ze wszystkim jest wystarczające. Zagadnienie samorządu uniwersyteckiego, to zatem nie tylko kwestya postępu naukowej pracy badawczej i wyższego nauczania; w pośrednich swoich następstwach to już zagadnienie postępu czy cofania się samej ogólnej kultury duchowej narodu. Tem większa do jego rozwiązania potrzebna tu jest ostrożność, sumienność, gruntowna i wszechstronna znajomość rzeczy w ogarnięciu sprawy.

Samorząd uniwersytecki, to nie pomysł wczorajszy, który z łatwością dałby się zastąpić jakąkolwiek koncepcją dzisiejszą, jak się tę rzecz nieraz przeprowadza w zakresie innych spraw, w przesadnej dążności do ciągłego, nie zawsze dość przemyślanego, nie zawsze wskazanego czy potrzebnego reformowania. Samorząd uniwersytecki, to twór, uświęcony tradycją całego szeregu wieków, wiekową praktyką ukrzepiony, wiekowem doświadczeniem wypróbowany. Gdyby nie dostawało najistotniejszych, najważniejszych przyczyn jego utrzymania, spoczywałby już dawno w lamusie porzuconych rupieci. Tymczasem wszędzie, gdzie kwitnie cywilizacya i kultura, gdzie istnieje troskliwość o ich podniesienie i najpełniejszy rozwój, samorząd ten dochował się po dzień dzisiejszy, bez uszczerbku, bez umniejszenia. Nawet państwa o wybitnem nastawieniu w kierunku policyjnego systemu rządów, w zasadzie tedy przeciwne wszelakiej idei samorządowej, jak Prusy naprzykład, na co ostatnio trafnie zwrócono uwagę, w niczem tego samorządu nie uszczupliły, ani o uszczupleniu jego nie myśla, świadome szkód, jakie przez to wyrządziłyby samym sobie; a wytłumaczmy tem również, dlaczego była Austria, mimo wspomniane konflikty z Uniwersytetami polskimi, nie miała odwagi, czy też wprost wstydziła się tknąć w czemkolwiek ich samorządu. Bo samorząd uniwersytecki, to nie instytucya, stworzona dla wygody profesorów; to rzecz, związana najściślej z pomyślnym rozwojem samej nauki, z rozwojem i rozkwitem cywilizacyi i kultury narodowej, związana z niemi do tego stopnia, że

można ją nazwać koniecznym tego rozwoju warunkiem. Podważenie czy usunięcie owej jego podstawy musiałyby wywołać skutki zgubne, najfatalniejsze dla całego narodu: podważyłoby skarb jego najcenniejszy, jego kulturę. Takim sposobem, „słowo“ Projektu, gdyby miało stać się „ciałem“, zaciężyłoby po wsze czasy na historii naszej kultury, jako najciemniejsza plama, za którą przyszyłoby nam rumienić się przed całym światem cywilizowanym. I trudno byłoby tu oprzeć się uczuciu najgłębszego bólu, że stało się to w kilkanaście zaledwie lat po odzyskaniu Niepodległości, w czasie, w którym mieliśmy pełną możność samodzielnego stanowienia o tych rzeczach, za naszą własną sprawą. W takim związku myślowym uchwalenie Projektu należałoby nazwać wprost zamachem samobójczym; gdyby tu zaś nawet udało się odratować desperata, musiałaby mu pozostać, jeżeli nie na trwałe, to przynajmniej na dłuższy czas, poważna nieomoga umysłowości. Musiałaby mu przypomnieć się — czasy saskie.

LEON PINIŃSKI,

profesor i b. rektor Uniw. Jana Kaz. we Lwowie,
b. namiestnik Galicji,
członek czynny Polskiej Akademji Umiejętności.

USTRÓJ SZKÓŁ AKADEMICKICH.

Projekt nowej ustawy o szkołach akademickich, rozesłany do poszczególnych najwyższych uczelni dla wyrażenia o nim opinii, nie jest narazie jeszcze projektem rządowym, zaproponowanym ciałom ustawodawczym do uchwalenia. Zaznaczam to z góry i nie chcę tracić nadziei, że Ministerstwo W. R. i O. P. liczyć się będzie z uzasadnionemi głosami krytyki i odstąpi od zamysłu wprowadzenia tak daleko sięgających zmian, które w praktyce byłyby już nie „o g r a n i c z e n i e m“ jeno, ale wprost „z a g ł a d a“ wszelkiego samorządu uniwersytetów i politechnik.

Ustaw tak doniosłych, jak ta, o którą tu idzie, nie powinno się uchylać pod wrażeniem chwilowego rozdrażnienia, lub dla osiągnięcia jakiegoś przemijającego celu. Należy się liczyć w reformach tak ważnych z możliwością zmieniających się prądów politycznych a nie mniej też ze zmianą osób będących u steru. Nie chcę przypuszczać, by obecny Rząd naszej Ojczyzny był wrogiem wyższych zakładów naukowych i dążył do ich zdegradowania a tem samem do obniżenia nauki i kultury oraz spowodowania przewrotów w dziedzinie kształcenia i wychowania młodzieży. To pewna wszakże, że nie zdaje sobie chyba sprawy ze zgubnych skutków, które w zastosowaniu tego rodzaju ustawy w praktyce wytworzyć się będą musiały.

Ogólny charakter projektu ustawy polega na tem, że Minister W. R. i O. P. może, nie licząc się zupełnie z opinią gron profesorskich, tak co do składu i funkcjonowania władz akademickich, jak i co do spraw najdonioślejszych, dotyczących się

nauki, zarządu majątkiem i władzy dyscyplinarnej nad młodzieżą, decydować o wszystkim zupełnie arbitralnie i po dyktatorsku. Przedewszystkiem tedy, nietylko co do poszczególnych katedr i instytutów naukowych, lecz nawet co do całych wydziałów i fakultetów posiadałby rząd, tworząc je lub znosząc, niczem nieskrępowaną dowolność. Art. bowiem 2, 1) wypowiada, że wszystkie te sprawy „ustala” minister „po wysłuchaniu” opinii bądź rady wydziałowej bądź senatu, opinią tą wszelako zgoła nie jest związany. Mógłby więc w przyszłości jakiś Minister W. R. i O. P. jednym pociągnięciem pióra znieść np. wszystkie wydziały teologiczne i uniemożliwić kształcenie się a tem samem istnienie i rozwijanie się duchowieństwa katolickiego w całej Polsce.

Mając możność znoszenia wszelkich katedr i instytutów, mógłby tem samem minister pod groźbą usunięcia narzucać każdemu z profesorów ścisły regulamin co do treści i metody, czy to prowadzenia wykładów, czy też studjów i doświadczeń naukowych. Wspomniana na czele projektu ustawy (art. 1) zasada wolności nauki i nauczania stałaby się pustym frazesem bez wszelkiej realnej treści.

Wiadomo, że do uzyskania stanowiska profesora uniwersytetu dochodzi się zwykle dopiero po szeregu lat gruntownych studjów, połączonych nieraz ze znacznymi ofiarami materialnymi. Tak dotkliwe obniżenie stanowiska profesorów szkół akademickich usunęłoby zapał i chęć, nawet u najzdolniejszych, do oddawania się naukom ścisłym. Żaden profesor uniwersytetu nie byłby pewien jutra, ani co do warunków swej pracy naukowej, ani nawet co do materialnego bytu. Profesorowie, nie mający jeszcze 15 lat służby profesorskiej, mogliby być usuwani z katedr i zawodu bez prawa do jakiejkolwiek pensji lub zaopatrzenia, tak, jak diurniści kancelaryjni.

Choćby nawet minister nie chciał wcale nadużywać swej arbitralnej władzy dla celów politycznych lub innych, to już sam fakt istnienia tego rodzaju przepisów działałby demoralizująco i wytworzyłby niewątpliwie w społeczeństwie mniemanie, że w karierze naukowej, prowadzącej do uzyskania posad i stanowisk, protekcja, zabiegi i intrygi zakulisowe więcej znaczą, niż zdolność, wiedza i sumienna praca. Samemu

też ministrowi, nawet niepospolicie zdolnemu i wszechstronnie wykształconemu, może taki nadmiar władzy, łączony z nadmiarem odpowiedzialności, dotkliwie zaciążyć. Trudno bowiem przypuścić, że w kwestjach tak trudnych i różnorodnych, dotyczących się nauk fachowych, badań i kształcenia, przypisze sobie każdorazowy minister trwałą nieomylność sądu.

Przechodzę teraz do omówienia niektórych szczegółów projektu. Podstawą organizacji uniwersytetu ma być (tak jak jest obecnie) statut szkoły uchwalony przez zebranie ogólne profesorów a zatwierdzony przez ministra. Przepis ten wszakże utracić ma wszelkie realne znaczenie, gdyż wedle art. 2 l. 4 projektu może Minister W. R. i O. P. „po wysłuchaniu” opinii zebrania profesorów „z własnej inicjatywy zarządzić zmianę statutu”. Znaczy to oczywiście tyle, że owo autonomiczne uchwalanie statutu wcale nie istnieje, rząd bowiem może wbrew woli zebrania ogólnego narzucić uniwersytetowi taki statut, jaki mu się podoba.

Podobnie też postanowienia projektu, dotyczące się władz akademickich i ich zakresu działania, są tego rodzaju, iż samorząd obecnie istniejący, kontrolowany wprawdzie przez rząd, lecz przecież dość znaczny, zostaje wręcz unicestwiony. Projekt uznaje istnienie tych samych władz akademickich, które są i dziś, mianowicie: zebranie ogólne, senat, rektor i rady wydziałowe, ale działalność każdej z tych władz jest w takiej mierze pozbawiona samodzielności i uszczuplona przez ministerstwo, iż traci realne znaczenie. Minister może każdej z tych władz, co tylko zechce, narzucić lub zabronić. Wynika to już z ogólnego postanowienia art. 3, które wyraża, że minister „ustala szczegółowy zakres kompetencji władz akademickich i sposób dokonywania kontroli nad działalnością szkół akademickich”, a więc może każde postanowienie władz zmienić, zarządzić, co uważa za stosowne, nie będąc w swem wszechwładztwie niczem skrzepowany.

Zebranie ogólne profesorów jest ciałem nazbyt licznem i ociężałem, by mogło obradować często i regularnie. Należy je więc ograniczyć tylko do uchwalenia statutu; zresztą zaś mogłoby być zwoływane ad hoc dla wypowiedze-

nia zdania o jakiejś wyjątkowo doniosłej, ogólne znaczenie mającej sprawie. Projekt przewiduje ponadto regularne coroczne zebrania ogółu profesorów dla „wysłuchania i rozpatrywania sprawozdania rocznego rektora“, przyczem podejmowanie uchwał jest wykluczone (art. 4 l. 3). Otóż takie właśnie zebranie byłoby, wedle mego przekonania, nie tylko zbyteczne, ale nawet szkodliwe. Dawałoby ono sposobność do obszernych dyskusyj, zapewne też i do sporów politycznych, a tego właśnie należy w zakładach, których celem jest nauka i wychowanie młodzieży, starannie unikać.

Senat, dziś główna „władza“ uniwersytetu, ma być w postanowieniach projektu prawie zupełnie pozbawiony swego dotychczasowego znaczenia i wpływu, zdegradowany niejako do stanowiska ciała li tylko doradczego. Jego atrybucje miałyby przejść częścią na rektora, głównie zaś być scentralizowane w ministerstwie. Pomysły te uważam za z gruntu chybione, wypaczające w szkodliwy sposób całą organizację uniwersytetów jako ciał z b i o r o w y c h. Przemawiają też przeciw nim nasze dotychczasowe doświadczenia. Senaty uniwersyteckie funkcjonowały właśnie sprawnie i z pożytkiem. W nielicznym tem zebraniu, gdzie obok rektora i prorektora zasiadają dziekani wydziałów i mężowie zaufania przez rady wydziałowe delegowani, umiano z reguły utrzymać niezamąconą harmonję i zgodnie ustalić „wypadkową“ wobec rozbieżnych nieraz życzeń i dążeń. Miałem nieraz sposobność z własnego doświadczenia przekonać się o tem, że właśnie zebrania i uchwały senatu usuwały naogół w zadawalający sposób wszelkie spory i sprzeczności, łagodziły rozbieżności w łonie ciała profesorskiego, wytwarzały równowagę między postulatami poszczególnych rad wydziałowych i nie doprowadzały też nigdy do ważniejszych konfliktów z naczelną władzą rządową Ministerstwa W. R. i O. P. Nie widzę tedy najmniejszego powodu do zamierzonej *capitis diminutionis* senatów uniwersyteckich. Jeżeli senat utraci swą władzę i znaczenie i stanie się rodzajem rady doradczej dla rektora, którą tenże *ad libitum* będzie mógł zwoływać lub zwoływania zaniechać, mogą się właśnie wytworzyć łatwo przeciwieństwa między rektorem a poszczególnymi wydziałami.

Skład też senatu dzisiejszy należałoby zachować

bez zmiany. W szczególności powinni być delegaci rad wydziałowych wybierani swobodnie przez rady. Tymczasem wobec tego, iż w art. 5 l. 2 jest wzmianka o „ustalaniu“ przez Ministra W. R. i O. P. sposobu wybierania delegatów, łatwo wysnuć wniosek, że minister mógłby w miejsce wyboru wprowadzić mianowanie delegatów, usuwać z senatu delegatów, a także zwiększać lub zmniejszać ich ilość. Byłoby to oczywiście rodzajem oktrojowania składu senatu, co musiałoby spowodować poważne zatargi. Także owo ogólnikowe postanowienie zawarte w art. 5 l. 1, iż zakres działania senatu „określają szczegółowe przepisy“, dałoby możliwość rządowi zredukowania w drodze rozporządzenia zakresu działania senatu do minimum.

Władza rektora uniwersytetu ma być wedle projektu rozszerzona i wzmocniona w stosunku do senatu, równocześnie wszakże pozbawiona wszelkiej samoistności w stosunku do centralnego rządu. Rektor ma się stać rodzajem administracyjnego urzędnika, zależnego zupełnie od Ministra W. R. i O. P. Co się tyczy wyboru rektora, słusznie, mojem zdaniem, odrzuca projekt wybór przez ogólne zebranie profesorów i powierza go delegatom wydziałów. I dziś też przeważnie dokonują wyboru rektora w uniwersytetach „elektorowie“, a więc delegaci rad wydziałowych. W projekcie atoli kryje się możliwość spowodowania zasadniczej zmiany w stosunku do dzisiejszego sposobu dokonywania wyboru. Znajduje się bowiem w art. 8 l. 3 postanowienie, że „sposób wyznaczania delegatów ustala Minister W. R. i O. P.“ Mógłby więc minister w miejsce wyboru elektorów przez rady wydziałowe wprowadzić mianowanie ich przez siebie z pominięcia członków rady, albo też obok „wybranych“ wprowadzić ponadto elektorów przez rząd wyznaczanych, przez co pośrednio swobodny wybór rektora zmieniłby się w mianowanie go przez rząd. Rektor miałby być wybierany na trzy lata, a wybór jego podlegałby zatwierdzeniu przez rząd. Ponadto miałby rząd prawo złożyć rektora z urzędu, „jeżeli się okaże, że rektor nie podoła obowiązkom rektorskim“ (art. 8 l. 6). Przepisy dalsze, dotyczące się ponownego wyboru na wypadek niezatwierdzenia lub usunięcia rektora, wychodzą już niemal w zupełności na mianowanie go przez rząd.

Otóż być może, że przepisy tej treści dałyby się uzasadnić dla szkół wyższych o nielicznym personelu, gdzie funkcja rektora nie daje wiele trudów i odnosi się głównie do niewielu zajęć, i to przeważnie administracyjnych; dla naszych wszakże kilkowydziałowych uniwersytetów i politechnik byłyby one wręcz zgubne. Przedewszystkiem z góry można być pewnym, że żaden poważnie naukowo pracujący uczony w tych warunkach wyboru na rektora nie przyjąłby. Rektorat tak wiele wymaga pracy i trudów, tyle absorbuje czasu, iż z usilną i wytężającą działalnością naukową pogodzić się nie da. Na to, żeby się oderwać niemal zupełnie od naukowych studjów na okres aż trzyletni, nie łatwo zamiłowany w swym zawodzie profesor się zdecyduje. Dodajmy nadto, iż zupełna zawisłość od rządu i obawa, że rząd może go usunąć jako „niezdolnego“, z pewnością nie będą względami zachęcającemi do przyjęcia tej godności. Nie będzie też zachętą ów osobny dodatek funkcyjny do pensji profesorskiej, któryby rektor na zasadzie art. 11 l. 2 projektu mógł w czasie swego urzędowania pobierać. Dodatek ten, którego przyznanie i wysokość zależałyby od arbitralnej decyzji rządu, mógłby dać łatwo osobom niechętnie dla rektora usposobionym podstawę do złośliwych uwag krytycznych, ubliżających jego godności osobistej.

Bardzo więc łatwo przyjść może do tego, że grona profesorów, skutkiem tych trudności, byłyby zmuszone à c o n t r e c o e u r powoływać na urząd najwyższy takie osobistości, które właśnie nie cieszą się wcale ani wyższem uznaniem, ani należytą powagą. Że to niekorzystnie oddziaływałoby tak na wzajemny stosunek rektora do wydziałów, jak i na autorytet jego i wpływ na młodzież, tego oczywiście dowodzić nie potrzeba.

Jeszcze nierównie gorsze stosunki wytwarzałyby się w razie niezatwierdzenia wyboru rektora przez rząd lub w razie złożenia go z urzędu. Byłby wówczas powoływany na urząd rektorski ktoś z profesorów, kogo poważna większość grona profesorskiego sobie stanowczo nie życzy. Gdyby się nawet znalazł wśród profesorów ktoś, coby się podjął tej niewdzięcznej roli, to tego rodzaju „komisarz rządowy“, narzucony przez rząd uniwersytetowi wbrew

woli kolegów, miałyby stanowisko niezmiernie trudne. Zatargi stąd wynikłe przybierałyby też zapewne charakter polityczny, a właśnie rozniecania walk i sporów politycznych, których dzięki Bogu dotąd w naszych uczelniach akademickich w gronie profesorskim nie mieliśmy, należy się najusilniej wystrzegać. Mogłyby one doszczętnie zatruć harmonję i oddziałać zgubnie na życie naukowe i wychowanie młodzieży.

Nie przeczę temu wcale, że zmienianie się coroczne rektora sprowadza pewne trudności w sprawowaniu funkcji administracyjnych. Wprowadzenie większej ciągłości i stałości w zarządzie byłoby pożądane. Przedłużenie wszakże kadencji urzędowania rektora na lat 3 nie byłoby skutecznie ku temu celowi wiodącą drogą. Raczej należałoby tam, gdzie senat się za tem oświadczy, dopuścić możność wybierania stałego referenta dla głównych spraw administracyjnych z pomiędzy profesorów i to na okres dłuższy, np. trzyletni. Mógłby on być nazwany „drugim prorektorem“, lub też „prorektorem dla spraw zarządu“ i powinienby pobierać pewną stałą remunerację dodatkową. Mam przekonanie, że w gronie każdego liczniejszego zespołu profesorskiego nie trudnoby było znaleźć takiego, do spraw praktycznych uzdolnionego męża, który, po nabyciu należytego doświadczenia, stałby się głównym filarem zarządu, doradcą i zastępcą rektora we wszystkich tych sprawach, z którymi rektor sam nie jest w stanie obznajomić się szczegółowo w przeciągu krótkiego czasu swego urzędowania. Natomiast dopuszczać kogoś z poza grona profesorów do takiego kierownictwa administracyjnego, absolutnie nie byłoby wskazaniem.

Każda większa szkoła akademicka posiada znaczny personel funkcjonariuszy urzędowych dla spraw administracyjnych; w projekcie ustawy określony on jest nazwą „sekretarjatu“ szkoły. Otóż i tu znów spotykamy się z ogólnikowym postanowieniem (art. 9), że organizację sekretarjatu „ustala“ Minister W. R. i O. P., z czego wynika, że i tu, tak co do wyboru osób, ich przyjmowania i oddalania, jak i co do ich stosunku wzajemnego, rząd nie potrzebowałby się wcale liczyć ze zdaniem władz uniwersyteckich (rektora i senatu),

i mógłby oddalać i zmieniać tych funkcjonariuszy dowolnie, nawet wbrew woli rektora i senatu.

Przeciw tego rodzaju postanowieniom należy się stanowczo oświadczyć. Doprowadziłyby one do pożałowania godnych starć i dysharmonji. Wybór sekretarjatu i wogóle personelu pomocniczego powinien w granicach etatu należeć do decyzji kierujących administracją władz uniwersyteckich.

Co się tyczy sposobu mianowania profesorów, uważam zmiany proponowane w projekcie także za zgoła niepożądane. W myśl tych postanowień musiałaby przy każdej nominacji być przeprowadzona ankieta polegająca na zapytaniu „wszystkich profesorów wykładających dany lub pokrewny przedmiot we wszystkich państwowych szkołach akademickich z żądaniem nadesłania opinji, jakich kandydatów uznać należy za najodpowiedniejszych“ (art. 32 l. 2). Minister W. R. i O. P. mógłby, odrzuciwszy propozycję wydziału (a względnie senatu), na podstawie tej ankiety przedstawić Prezydentowi Rzeczypospolitej do mianowania także takiego kandydata, którego sobie uniwersytet wcale nie życzy. Pominąwszy ociążałość całego tego proceduru i trudność oznaczenia, co się uważa za „pokrewny“ przedmiot, sądzę, iż zasadniczo mianowanie kogoś profesorem wbrew woli wydziału, w którego skład w przyszłości ma wejść, nigdy nie powinno nastąpić. Zrozumiałem jest, że Minister W. R. i O. P. może nie przychylić się do wniosku przez radę wydziałową mu przedłożonego; w tym razie należałoby szkole akademickiej pozostawić możność przedłożenia nowej, zmienionej propozycji. Natomiast narzucenie radzie wydziałowej profesora, którego sobie tam stanowczo nie życzą, wywoływałoby uzasadnione niezadowolenie i konflikty. Należy mieć tyle zaufania do rady i grona profesorów, którzy w niej zasiadają, iż motywem w doborze kandydata będzie wzgląd na dobro szkoły, a nie inne jakieś uboczne i nieuzasadnione pobudki.

Pod względem składu grona profesorskiego i rad wydziałowych należy jeszcze podnieść tę ważną zmianę w stosunku do dzisiejszego stanu rzeczy, iż według postanowień projektu profesorowie honorowi mieliby na przyszłość być

wyłączeni ze składu rady. Sądzę, że ta zmiana nie da się racjonalnie uzasadnić, owszem mniemam, iż byłoby to stratą dla rady, gdyby profesorowie honorowi nie mogli w niej mieć głosu. Profesorami honorowymi zostają z reguły byli profesorowie aktywni tejże szkoły i to tacy właśnie, którzy położyli w ciągu swej działalności poważne zasługi i cieszą się żywszym uznaniem. Opinie ich i rady mogą właśnie, jako oparte na długoletnim doświadczeniu, mieć dla wydziału, tak pod względem naukowym jak i administracyjnym, poważną wartość, tem bardziej, ile że z reguły cechuje tych „senjorów” pewien czynnik spokoju, równowagi i ducha pojednawczego. Byłoby bardzo niesłusznem z góry już upatrywać w nich tylko zniedołężniałych starców, którzy w radach wydziałów są niepotrzebnym balastem.

Wreszcie jednym z najsłabszych punktów projektu są postanowienia dotyczące się wykonywania władzy dyscyplinarnej nad słuchaczami (art. 50 i 51). Najracjonalniejszym załatwieniem byłoby dopuszczenie odwołania od wyroku sądu dyscyplinarnego, ustanowionego przez senat z grona profesorów, do samego senatu, jako do instancji wyższej. Tylko w razie zasądzenia na najcięższe kary możnaby ponadto przyjąć wyjątkowo zwrócenie się do Ministra W. R. i O. P. jako do instancji najwyższej.

Zasady natomiast, które przyjmuje projekt dla organizacji władz dyscyplinarnych, zaznaczając ich ewentualne bliższe opracowanie w drodze rozporządzenia, są, mojem zdaniem, chybione i będą w praktyce nie do przeprowadzenia. Projekt, wykluczając senat od wyrokowania w sprawach dyscyplinarnych, przyjmuje, na innej podstawie oparte, dwie instancje, niższą i wyższą. Oto z tego samego grona profesorów zwyczajnych i nadzwyczajnych ma senat powoływać sędziów do instancji niższej, minister zaś do instancji wyższej (odwoławczej). Pomysł ten polega na przyjęciu już z góry, że profesorowie powołani przez Ministra W. R. i O. P. będą sędziami lepszymi, wyższej niejako klasy, aniżeli ci, których powoła senat. Otóż mam przekonanie, że samo poczucie solidarności istniejące w gronie profesorów wywołałoby musiało opozycję przeciw temu klasyfikowaniu sędziów dyscyplinarnych, wziętych z tego sa-

mego grona profesorskiego na „wyższych“ i „niższych“ jedynie według tego kryterjum, czy ich powołuje minister, czy senat. Tak jedni więc, jak i drudzy, będą się starali uchylić od tej niewdzięcznej roli i połączonej z nią kwalifikacji na „wyższych“ i „niższych“. Nadto zaważy i to na szali, że postanowienie l. 4 art. 51 obniża wogóle znaczenie kar dyscyplinarnych, nałożonych przez sądy profesorskie, gdyż Minister W. R. i O. P. może wszelkie kary według swobodnego uznania złagodzić lub darować. Wobec tego nie łatwo będzie wprowadzić w życie całą tę instytucję sądownictwa dyscyplinarnego, skomplikowaną co do konstrukcji a zarazem pod względem praktycznym nie wiele znaczącą.

Pytanie, co robi Minister W. R. i O. P., jeżeli do zorganizowania tych dwóch instancyj sądów dyscyplinarnych wcale nie przyjdzie? Czy dyscyplinarne sądownictwo nad młodzieżą odpadłoby zupełnie, czy też zostałoby powierzone jakimś urzędnikom administracyjnym lub policyjnym? Według mego przekonania jest rzeczą niewątpliwą, że w każdym razie osłabienie władzy dyscyplinarnej profesorskiej będzie połączone z ujmą dla wychowania młodzieży, bo spowoduje obniżenie moralnego autorytetu rektora i innych władz akademickich.

Jako powód prawdopodobny tych zmian w projekcie proponowanych uważa się powszechnie powtarzające się niestety dość często z a b u r z e n i a s t u d e n c k i e, którym władze szkolne nie zawsze zdołały zapobiec lub rychło je stłumić. Zaburzenia te bywały niezaprzeczenie naganne i karygodne. Wydarzają się one wszakże i na uniwersytetach innych, zagranicznych (nie wyłączając faszystowskich Włoch). Bywają spowodowane łatwem roznamiętnianiem się młodzieży, niekiedy też, czemu zaprzeczyć się nie da, złemi wpływami z zewnątrz. Czy jednak będzie lepiej, jeżeli powaga władz uniwersyteckich zostanie podkopana, ich dyscyplinarne sądownictwo niemal usunięte a w miejsce tego wejdzie rodzaj stałego „nadzoru policyjnego“ nad młodzieżą? Sądzę, że spowodowałoby to tylko znaczne pogorszenie stosunków.

Kończąc niniejsze uwagi, podnieść jeszcze muszę, że kieruję się w nich wyłącznie obiektywnymi względami a jakkolwiek motyw polityczny jest mi najzupełniej obcy.

Pragnę tylko dobra naszych szkół akademickich, z którymi od długiego szeregu lat moja działalność ściśle była złączona, pragnę harmonji i zgody między władzami rządowymi a ciałami profesorskimi, pragnę też z całego serca pomyślnego rozwoju nauki i kultury w naszej Ojczyźnie. Ponieważ mam przekonanie, że rząd nasz, wstępując na drogę autokratycznego dyktatorstwa w kierowaniu szkołami akademickimi i nauką, popełniłby krok błędny i w następstwach zgubny, zachęcam najusilniej do opuszczenia tej drogi. Próba ujęcia nauki i kształcenia młodzieży w najwyższych zakładach w pętą scentralizowanej biurokracji musi wydać owoce jak najgorsze.

STANISŁAW ESTREICHER,

profesor i b. rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego,
członek czynny Polskiej Akademii Umiejętności.

PROJEKT NOWEJ USTAWY.

Dzisiejsza nasza ustawa o szkołach akademickich, pochodząca z roku 1920, przysłała do skutku po długich naradach, odbywanych na podstawie porozumienia gromad profesorskich, ministerstwa i ciał ustawodawczych. Przez lat dwanaście funkcjonowała nienagannie i nie wywoływała żadnych tarć ani zasadniczych narzekań. Szkoły najwyższe — zaimprovizowane w Polsce w ogromnej swej większości w warunkach nader trudnych — rozwijały się i doskonaliły na jej podstawie należycie. Jeśli pojawiały się jakieś krytyczne głosy co do ustawy z 1920 roku, to albo dotyczyły jej strony technicznej (stylizacja niektórych przepisów)¹ albo odnosiły się do drugorzędnych przepisów. Nie zachodziła też potrzeba żadnej zasadniczej zmiany ustawy; wystarczałaby jej nowelizacja.²

Zasadą ustawy z r. 1920 było przyznanie szkołom akademickim samorządu w dość skromnych rozmiarach, kontrolowanego przez ministerstwo. Zasada ta była słuszną. Bez samorządu w zakresie administracyjnym, bez wolności w wybo-

¹ Np. artykuł prof. Makarewicza i Longchamps'a w *Przeglądzie prawa i admin.* 1920.

² Tu muszę zaprzeczyć z gruntu fałszywym pogłoskom, jakoby jakakolwiek konferencja rektorów domagała się zasadniczej zmiany ustawy z r. 1920. Kilka konferencji domagało się zmian w tej ustawie, ale zmian w jej stylizacji i w niektórych szczegółowych przepisach (t. zw. nowelizacji). Zmiany te konferencja z r. 1927 sprecyzowała i przedstawiła ministerstwu. Wszystkie jednak konferencje rektorów z lat 1920—1932 były zgodne w zapatrywaniu, że zasady ustawy z r. 1920 są zdrowe i zmiany nie wymagają.

rze władz akademickich (rektor, senat, dziekani), bez daleko idącego wpływu gromad profesorskich na dobór nowych sił naukowych, tak samo, jak bez wolności co do metod nauczania, nie mogą się nigdzie szkoły akademickie rozwijać. Przykłady scentralizowania władzy nad szkołami wyższymi w rękach rządu (Francja), a zwłaszcza przykłady narzucania szkołom akademickim profesorów z góry lub pozbawiania katedr profesorów niemiłych ministerstwu — nie są wcale do naśladowania zachęcające. Ustawa z r. 1920 stała się też słuszną na stanowisku przyznania szkołom pewnego samorządu (zwanego często całkiem mylnie „autonomją”); ale samorządu kontrolowanego przez rząd. Czy to układanie programów i warunków egzaminów, czy to zarząd funduszami państwowymi, czy to nominacja profesorów, czy to inne ważne sprawy — nie były nigdzie przez nią wyeliminowane z pod wpływu rządu. Szkoły „proponowały”, a rząd rozstrzygał; albo szkoły „uchwalały”, a rząd „zatwierdzał” uchwały; o tem, aby rząd nie miał w dzisiejszych warunkach zabezpieczonego należycie wpływu na najważniejsze sprawy zarządu, uczenia, doboru sił, niema też mowy. Prawdą jest jednak, że w wielu ważnych kwestiach rząd nie decydował sam, lecz tylko na podstawie wniosków i w porozumieniu ze szkołami. W przypadkach takich wykluczonem było tylko arbitralne rozstrzyganie, ale nie wpływ rządu — a należy to wyraźnie podkreślić, gdyż całkiem mylnie szerzone jest zapatrywanie, że dzisiejsza t. zw. (błędnie) „autonomja” szkół wykluczała wpływ rządu na funkcjonowanie i rozwój szkół akademickich.

W przeciwstawieniu do obecnego stanu rzeczy, rząd w rozsyłanym obecnie projekcie nowej ustawy o szkołach akademickich, poszedł odmiennymi torami. Pragnie bowiem znieść wszelki „samorząd” szkół akademickich, a przemienić je na „zakłady” państwowe, kierowane zgóry przez ministra W. R. i O. P. Słowa „samorząd” nie użyto w projekcie ustawy ani razu i istotnie nie można w niej odnaleźć niemal i szczypty samorządu. Jako „władzę naczelną” szkoły oznaczył art. 3 „Ministra W. R. i O. P.” Konsekwentnie też w każdym niemal artykule zastrzega projekt, że wszystkie ważniejsze kwestje dla życia szkoły ma odtąd „rozstrzygać”, „ustalać” lub wydawać co do nich „rozporządzenia” i „zarządzenia” minister.

Jeśli nawet tu i ówdzie jakiekolwiek uprawnienie pozostawiono organom szkolnym, to sparaliżowane jest to równoczesnem oświadczeniem, że „ustali“ jeszcze tę kwestję bliżej rozporządzenie ministra. Nawet „statuty“ szkół, które mają być uchwalane przez zebranie profesorów, może minister „z własnej inicjatywy“ zmieniać — wskutek czego nie będą one bynajmniej wyrazem woli organów szkolnych.

Nie ulega też chyba wątpliwości, że cały szereg bardzo doniosłych kwestyj nie został, widocznie umyślnie, uregulowany w ustawie, lecz przekazany do „rozporządzeń“ lub do „szczegółowych przepisów“, jakie minister z czasem wyda. Projekt ma w ten sposób charakter ramowy, to znaczy, że ciała ustawodawcze, o ile go uchwalą, powierzą ministrowi zadanie, aby arbitralnie — w miarę swego uznania — regulował odtąd rozporządzeniami i zarządzeniami problemy tak zasadniczej doniosłości, jak np. skład i zakres działania władz szkolnych, organizację sekretariatu (to jest biur) szkoły, ankiety w sprawie obsadzania katedr, tworzenie i zwijanie wydziałów i katedr etc. Tu i ówdzie ma tego dokonać minister „po wysłuchaniu“ senatu lub Rady wydziałowej — ale nigdzie nie jest powiedziane, aby ze zdaniem władz szkolnych miał obowiązek się liczyć.

Tak oto ma zostać zrównana szkoła akademicka z innemi zakładami szkolnemi (średniemi i zawodowemi) i poddana pod jednostajny strychulec władz centralnych, które mają odtąd wykonywać „nadzór nad jej działalnością“ i to we wszelkich kierunkach. Nawet nad zarządem „własnym majątkiem szkół“ ma być ten nadzór rozciągnięty (narówni z dotąd istniejącym — całkiem słusznym — nadzorem nad ich administracją majątkiem państwowym). Oznacza to, że w praktyce projekt ustawy zamierza ograniczyć w wysokiej mierze przyznaną przezeń w teorii szkołom akademickim osobowość prawną.

Zmienia również projekt obecną, dobrą, wypróbowaną organizację władz akademickich. Naczelnej dotychczasowej władzy akademickiej, t. j. senatowi odbiera wszelkie poważniejsze atrybucje. Natomiast stara się rozszerzyć w pewnych kierunkach uprawnienia t. zw. „ogólnego zebrania profesorów“, a więc ciała wielogłowego, niezdolnego do rządzenia, które wszędzie tam, gdzie (w niektórych szkołach) istniało, zupełnie

zawodziło i było przyczyną licznych skarg. Co więcej: zamiast senatu wysuwa projekt na pierwszy plan rektora — ale rektora jako organu zależnego ściśle od ministra. Od ministra zależy „zatwierdzenie“ rektora; minister może też każdej chwili rektora usunąć. (Wedle innej proponowanej stylizacji mógłby rektora usunąć w chwili, gdy tenże straci „zaufanie Prezydenta Państwa“, co byłoby z wielu względów pomysłem zgoła błędnym). Minister może nawet w pewnych wypadkach narzucić szkole rektora, nie mającego zaufania kolegów. Od ministra ma odbierać rektor w każdej sprawie wskazówki, a wykonanie ich ma być przez ministra kontrolowane. Słowem rektor staje się organem władzy centralnej, a przestaje być organem samorządowym.

Bardzo poważnym ciosem w dotychczasowy samorząd jest dalej ograniczenie wpływu ciał profesorskich na dobór nowych sił. Dotychczasowy dobór ten dokonywał się przez zgodne współdziałanie rad wydziałowych i ministra. Rady proponowały kandydata, minister zatwierdzał (lub nie zatwierdzał) propozycji. Wedle projektu przesłanego w listopadzie do opinii senatom, punkt ciężkości ma zostać przesunięty na rzecz ministra, który — w pewnych warunkach — może narzucić ciało profesorskiemu kandydata wbrew opinii przyszłych kolegów. Jakie to miałyby następstwa pod względem harmonijnego współdziałania narzuconego profesora z resztą kolegów, wyjaśniać nie potrzeba. Nie ulega chyba wątpliwości, że ten punkt musi być zmieniony, jeśli nie ma wywołać ciągłych konfliktów już nie tylko szkół akademickich z ministrem, ale także ciał profesorskich z oktrojowanymi zgóry profesorami.

Zniesiony ma też zostać poważniejszy wpływ senatu i rad wydziałowych (bo ma być ograniczony tylko do „wysłuchania“ opinii) na reorganizację wydziałów i studjów, a nawet na tworzenie i kasowanie katedr. Nawet bez wniosku rad wydziałowych, nawet wbrew ich życzeniom, mogą być teraz dowolnie wydziały i katedry kasowane. W związku z świeżo wydanym dekretem z dnia 27 października 1932 r. oznacza to możność dowolnego przenoszenia profesorów i ich katedr z jednej szkoły do drugiej albo też dowolnego przenoszenia ich w stan spoczynku w razie „reorganizacji“. Wierzę zupełnie, że przy wprowadzaniu tak drakońskiego przepisu nie grały roli u obecnego

ministra motywy polityczne, lecz jedynie tylko wzgląd na łatwiejszą możliwość dostosowania rozbudowy szkół wyższych do obecnej mizerji finansowej; — ale należy się zapytać, czy nie tkwi w tem możliwość usuwania niemiłych rządowi profesorów i ciągłych konfliktów, o ileby jakiś przyszły minister nadużył tego postanowienia dla represyj politycznych? Niewątpliwie postanowienia takie mogą wprowadzić dezorganizację do szkoły; w każdym razie wprowadzają element niepokoju i brak poczucia stałości do życia akademickiego, co na rekrutowaniu nowych sił nie może się odbić korzystnie.

Bardzo ryzykowną rzeczą jest też przeniesienie sądownictwa nad młodzieżą z rąk senatu do rąk czynników „wyznaczonych przez ministra“. Takim czynnikiem ma być „odwoławcza komisja dyscyplinarna, wyznaczona przez ministra z pośród zwyczajnych profesorów szkoły“, przyczem minister ma prawo łagodzenia lub darowywania kar prawomocnie przez nią nałożonych — i to nawet bez wniosku organów akademickich. Również sposób i zakres sprawowania władzy nad stowarzyszeniami akademickimi ma być „ustalony“ przez rozporządzenia ministra, co należy rozumieć jako zapowiedź daleko idących zmian w stosunku do obecnego stanu rzeczy, gdy stowarzyszenia akademickie podlegały senatowi.

Wszystkie te nowe postanowienia, wprowadzone do projektu, zmieniają zasadniczo konstrukcję obecną ustroju szkół wyższych, który naogół funkcjonował dobrze i pozwalał szkołom należycie się rozwijać. Jako motyw tej zmiany przytacza się często zaburzenia studenckie, którym senaty nie umiały zapobiec. Ale gdyby tak było, to ograniczenia w takich dziedzinach, jak obiór władz akademickich, osobowość prawna szkół w zakresie własnego majątku, stałość katedr, powoływanie profesorów, wpływ senatu, opieka nad stowarzyszeniami i t. p. i t. p., nie pozostają w żadnym związku z walką z zaburzeniami studenckimi. Zaburzenia te, wywoływane periodycznie dla celów politycznych przez niektóre stronnictwa, są rzeczą głupią, szkodliwą, nawet w pewnych warunkach zbrodniczą. Powtarzają się one corocznie nietylko u nas, ale wszędzie zagranicą: i w Paryżu, gdzie rektor jest naczelnikiem szkoły z ramienia rządu (jako przełożony całego okręgu szkolnego) i we Włoszech, gdzie uniwersytety zostały ujęte w obcegi fa-

szyzmu. Czy zapobiegnie im u nas odebranie rektorowi i senatom najwyższej władzy dyscyplinarnej i przeniesienie jej na ministra — zobaczymy! Należy się obawiać, że nie i że młodzież, wyjęta z pod moralnego wpływu rektora i senatu, odpowie na wszelkie próby represyj policyjnych tem większą burzliwością.

Toteż ogół profesorów i uniwersytetów i innych szkół akademickich patrzy z prawdziwym niepokojem na następstwa. Jakie projekt musi wywołać, jeśli stanie się ustawą. Zniesienie osobowości prawnej szkół wywoła, jak wszędzie tak i u nas, zmniejszenie ofiarności publicznej. Ograniczenie praw senatu pozbawi szkoły doskonale funkcjonującego organu najwyższego, gdzie wyrównywały się rozliczne interesy poszczególnych wydziałów i gdzie wyrabiała się wiekami tradycja zgodnego zarządu. Uczynienie z rektora manekina, zależnego od rządu, pozbawi go powagi wobec kolegów, społeczeństwa i młodzieży; żaden wybitniejszy profesor nie przyjmie teraz chętnie tak wątpliwego, a przykrego zaszczytu. Ograniczenie praw rad wydziałowych co do powoływania nowych sił, wywoła szereg tarć i musi się przyczynić do obniżenia poziomu naukowego profesorów, dobieranych w przyszłości niewiadomo wedle jakich kryteriów. Harmonia istniejąca przez długi szereg lat między władzami szkolnymi a władzami centralnymi będzie należeć do przeszłości; trzeba się przygotować na ciągłe konflikty, szykany i walki, które stworzą atmosferę niepokoju, utrudniającego spokojną pracę naukową i dydaktyczną. Uważam też cały projekt za skok w ciemność i to bardzo przepaścistą. Dałem temu odpowiedni wyraz na posiedzeniu „państwowej Rady Oświecenia“. Jednakże bez skutku.

Pragnąłbym wmyśleć się w psychologię ludzi, którzy taki projekt ułożyli i ciałom ustawodawczym przedłożyli. Nie myślę sobie upraszczać tego w sposób tak wulgarny i symplicystyczny, jak np., że to ma być zemsta za protest brzeski, albo że w ministerjum pokutuje duch rosyjski. Nie! Powody, które podyktowały tego rodzaju przepisy, leżą głębiej. Projekt jest objawem reakcji, jaka daje się w tej chwili odczuwać na każdym polu przeciwko idei swobodnego rządzenia się społeczeństwa, samorządu korporacyjnego i niezawisłości jakiejkolwiek działalności od kierownictwa zgóry. Hasła dyktatury są w tej

chwili u rządzących najpopularniejsze, gdyż widzieli i przeżyli różne nadużycia haseł liberalnych. Wahadło, które w dziedzinie politycznej poszło przed laty o wiele dalej na lewo, niż na to dojrzałość polityczna naszego społeczeństwa dozwalała, przesuwa się obecnie skrajnie na przeciwległą stronę. Projekt jest zrodzony z tego samego ducha, co ograniczył samorząd i samodzielność we wszelkich istniejących dziedzinach. Nietylko zresztą u nas.

Nie wchodzę, czy te ograniczenia w innych dziedzinach i w innych krajach (Włochy) były potrzebne; ale pragnę podkreślić, że w każdym razie w dziedzinie pracy umysłowej, pracy twórczej, taki zwrot jest niepotrzebny i zgubny. Praca umysłowa, jaką jest działalność profesora, uczonego i artysty, nie znosi kierownictwa zgóry, narzucania jednolitego szablonu, kontroli i obawy szyszan. W takich warunkach ona zamiera. W postanowieniach projektu tkwi ogromne niebezpieczeństwo dla rozwoju zarówno szkół wyższych, jak i pracy naukowej. Delikatna ta roślina zaledwie u nas kiełkuje w porównaniu do Zachodu Europy. Wymaga też ona swobody, rzeźwego powietrza i spokoju, aby się u nas rozrosła. Projekt, który tej atmosferze spokoju i bezpieczeństwa poważnie zagraża, jest projektem, dla rozwoju szkół niebezpiecznym. Ciągła interwencja ministra w drobne nawet szczegóły administracji szkolnej, nadzór nad nauczaniem, nieustanna płynność jego zarządzeń i „szczegółowych przepisów“, które będą się zapewne zmieniać z każdą zmianą ministra — a cóż dopiero ze zmianą kierunków politycznych u góry! — to jest właśnie, co może doprowadzać do tarć i konfliktów między przedstawicielami nauki i nauczania, a przedstawicielami władzy centralnej. Oto dlaczego nie należało zrywać z zasadą utrzymania swobody na polu nauki i nauczania, choćby nawet w tych bynajmniej nie przesadnych granicach, w jakich ona w obecnej ustawie z roku 1920 ku pożytkowi całego społeczeństwa była zagwarantowana.

JAN MICHAŁ ROZWADOWSKI,

profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego,
członek czynny i były Prezes Polskiej Akademii Umiejętności.

NA POWROZIE.

W groteskowych zaiste wyścigach zmaconego ducha ludzkiego, na które od lat kilkunastu patrzyłem, pierwszą nagrodę wzięły chyba Rosja sowiecka i Turcja.

Rosja głosi urzędowo, że człowiek jest sam dla siebie początkiem i końcem rzeczy, że cała dotychczasowa kultura, owoc przepotężnej Myśli, działającej we Wszechświecie, a wcielonej w nieskończonych, tysiące lat trwających wysiłkach ludzkości, jest zła i obłudna; że należy ją zastąpić nową kulturą proletariacką, do której klucz ona posiada i którą w czyn wprowadza właśnie ona, Rosja sowiecka, że zatem właśnie ona kroczy na czele całego świata.

Turcja przyjmuje urzędowo naukę jakiegoś niedouczzonego półgłówka, że całą kulturę ludzką stworzyli Turcy, jako potomkowie starożytnych Chetytów, że oni są macierzą ludzkości i cywilizacji.

Zachodnie kraje starej Europy nie wzięły dotychczas udziału w tym obłudnym wyścigu, ceniąc wysoko swoje stare dziedzictwo: swobodne współpracownictwo ducha. To też tam nie próbowano naruszyć dotychczas swobody nauki, chociaż już we Włoszech, kraju odwiecznej, starej cywilizacji, kazano w ostatnich czasach przysięgę na wierność idei faszystowskiej składać także ludziom nauki, profesorom wszechnic; to zaś może już nieraz wchodzić w konflikt z przekonaniem naukowym. Ale oczywiście i tutaj Rosja sowiecka zwycięża o wiele końskich długości, przekuwając całą naukę na proletariackim kowadłe i to nietylko takie jak historia, ekonomja albo filozofja,

które łatwo dadzą się przekuwać, ale nawet takie jak matematyka albo językoznawstwo!

Polska nie występowała dotychczas czynnie w tych wyścigach, ale próżna jak zwykle, a porwana zapalem sportowym, postanowiła teraz zgłosić swój udział; tylko, połowiczna jak zwykle, chce to uczynić pod hasłem nowej ustawy dla szkół akademickich.

Ta zamierzona obecnie i ułożona już przez Ministerstwo W. R. i O. P. ustawa znosi właściwie w zupełności swobodę naukową i samorząd uniwersytetów, składając w ręce ministra całkowitą władzę dyskrecyjną w stosunku do profesorów, do nauczania i do młodzieży.

Celem jej jest trzymanie nauki a raczej uczonych na powrozie, co zresztą na jedno wychodzi, no a także i młodzieży akademickiej. I dla każdego jest jasnem, że w tej policyjnej ustawie o to właśnie chodzi, a nie o dobro nauki.

Nie posądzam nikogo o złą wolę; a nawet myślę, że prawdziwej, świadomej sobie złej woli jest bardzo mało na Bożym Świecie. Ale cóż nam przyjdzie z dobrej woli ludzi, przekonanych, że sami z siebie, nie radząc się kompetentnych, wiedzą najlepiej, jak należy kierować losami i rozwojem Instytucyj? Ludzi, którzy żyją w przekonaniu, że spłynął na nich źródł wiadomości i znajomości rzeczy, pozwalający im rozumieć wszystko, także sens i potrzeby całej nauki wogóle i wszystkich nauk w szczególności. Ale cóż będzie, jeżeli jednak Minister pomyli się i za wcielenie owej wszechwiedzy weźmie na przykład którego z członków Rady Oświecenia, do której (nawiasem mówiąc) nie powołano nikogo z najwybitniejszych myślicieli i uczonych polskich, jako takich. Jeżeli za nieomylną powagę uzna na przykład p. Kadena-Bandrowskiego, który głosi, że Homer, Dante i t. d. to „trupy“ a życie tkwi tylko we współczesnych utworach?

Potworne jakieś zaślepienie! Bo i cóż zostanie ludziom, którzy zapierają się i odrzucają całą długą, cudną i straszną spuściznę swoich ludzkich przodków? Chyba tylko jedno ciemne Nic.

Biskup MICHAŁ GODLEWSKI,
profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego,
członek korespondent Polskiej Akademii Umiejętności.

SINT UT SUNT, AUT NON SINT.

W dziejach uniwersytetów, którym kultura Europy tyle zawdzięczała i zawdzięcza, ciekawe i nader pouczające spostrzegamy oscylacje. Gdy korzystały wszechnice z zupełnego samorządu, gdy mogły swobodnie organizować się i nauczać, szeroko i daleko promieniowały po świecie. Uczelnie w Paryżu, Bononji, Padwie, Oksfordzie, Cambridge, Wiedniu, Lipsku etc. etc. były wówczas nie tylko przybytkami wszelkiej wiedzy i areopagami najgłośniejszych uczonych, lecz czemś więcej jeszcze; dzięki powadze, jaką w sprzyjających warunkach zdobyły, stawały się rodzajem najwyższych trybunałów, które w ostatniej instancji rozstrzygały kwestje z dziedziny nauki, obyczajowości, zatargi nawet natury politycznej, otwarcie wypowiadając swoje zdanie, piętnując zło, wychowując tem samem społeczeństwa, wśród których działały; słowem, były ich sumieniem, ich światłem i zarazem ich chlubą!

Ilekoć jednak gwałt wciskał się do tych przybytków i niepowołane czynniki podważały ich ustrój i niezależność, kurczył się ich rozmach, gasło światło, topniał autorytet i następowało to, co jest największem nieszczęściem w życiu każdej instytucji: vegetacja i martwota! Zmiany zaś te i oscylacje, skrzętnie w rocznikach uniwersytetów opisane, stwierdzają między innemi jedną wielką prawdę, że niezbędnym warunkiem dla rozwoju nauki i jej wpływów cywilizacyjnych jest jej swoboda i niezależność. Od wieków rozumiano tę prawdę!

Świadczą o tem akty erekcyjne wiekopomne wszechnic; przywileje, jakimi je obdarzano; gwarancje ich swobód, udzie-

lane przez roztropnych rządców; wysiłki i mozoły całego zastępu działaczy, profesorów, celem odparcia szkodliwych dla nauki ingerencji. „Do naszych przywilejów i swobód“, wołał w obecności księcia Saskiego w 1445 r. znany profesor Jan Kone w Lipsku, „nie może się wtrącać żaden król, żaden kanclerz; uniwersytet sam się rządzi, zmienia i ulepsza swoje statuty, stosownie do potrzeby“ (Janssen, *Geschichte des Deutschen Volkes*).

Rozumiano tę prawdę i za oceanem! U stóp niebotycznych Andów, nad La Platą, na tajemniczej ziemi Inkasów, wśród szczeru oręża i wstrząsów rewolucyjnych, zakwitły wielkie autonomiczne uczelnie i stały się ogniskami kultury: Lima, Buenos-Ayres, Sant Jago, gdzie naszemu Domejce, rektorowi swobodnej wszechnicy, wzniosła pomnik jego przybrana i wdzięczna ojczyzna.

Tylko w dwóch państwach ciężka była zawsze dola uniwersytetów: w Hiszpanji i w Rosji! I nie dziw: strupieszale Habsburgi, a po nich wsteczne i wszeteczne Burbony trzymały naród w upodleniu, a jego ducha w okowach... a w Rosji była Azja!

U nas na ziemiach odrodzonej Ojczyzny, pod opiekuńczemi skrzydłami Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, korzystając z samorządu, rozwijały się i rozwijają się uniwersytety i z zapalem służą nauce. Ale dzisiaj, niestety, groźne chmury zawisły nad niemi.... Niebezpieczne prądy biją w ich ściany, chcą pokruszyć ich fundament, godzą w rdzeń ich życia!... A wobec widma skutków, jakie stąd wyniknąć mogą; wobec widma marazmu, jaki powstać może tam, gdzie życie naukowe silnem było tętnem, mogą zaiste stanąć żywo w pamięci tragiczne słowa, w tragicznych chwilach wyrzeczone: *Sint ut sunt, aut non sint...*

BRONISŁAW DEMBIŃSKI,

profesor Uniwersytetu Poznańskiego,
b. rektor Uniwersytetu Lwowskiego,
członek czynny Polskiej Akademii Umiejętności,
prezes Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu.

WOBEC ZAMIERZONEJ REFORMY.

Jako jeden z najstarszych profesorów, bo prawie przed pół wiekiem rozpocząłem wykłady w Uniwersytecie Jagiellońskim, pragnę uświadomić sobie, czerpiąc z własnych doświadczeń i rozważań, jaki jest duch i rytm w życiu wyższych uczelni w Polsce wskrzeszonej. Czy, powołane do nowych zadań naukowych, narodowych i obywatelskich, spełniły swe obowiązki, czy skorzystały z pełni wolności politycznej i nieczem nie krępowanej swobody rozwoju?

Z radością odpowiadam na te pytania twierdząco.

Uznania godna, wprost zdumiewająca jest praca organizacyjna, naukowa i nauczycielska wyższych uczelni w okresie ostatnich czternastu lat. Powstawały uniwersytety wskrzeszone, albo do życia powołane. Powstawały katedry, pracownie, zakłady, laboratoria, seminarja, dzięki hojnemu poparciu rządu. Nauka polska rozwinęła się i rozwija stale, pogłębia i rozszerza zakres badań, o czym chlubnie świadczą liczne ogłaszane prace, znane i uznawane w kraju i zagranicą. Udział polskich uczonych w kongresach międzynarodowych był coraz liczniejszy i znaczący. Mnożą się szeregi młodych pracowników w różnych dziedzinach wiedzy, rozgałęziającej się w kierunku specjalizacji. Przyrost młodzieży, garnącej się do nauki, jest wynikiem umiejętnej działalności pedagogicznej, zataczającej coraz szersze kręgi, pociągającej zdolne umysły, rozmiłowane w nauce. A naprawdę potrzeba miłości nauki, skoro widoki zdobycia bytu, a chociażby skromnego stanowi-

ska, często zawodzą. Znaczny przypływ młodzieży do szkół akademickich nasuwa obawy wobec trudności, wylaniających się z tak zwanego kryzysu i poważną stanowi troskę. Czy reforma szkoły średniej zdoła skierować fale młodzieży, płynące z bogatych źródeł warstw społecznych, na drogi, na których każdy znajdzie zadowolenie i pracę, odpowiadającą zdolnościom i przygotowaniu naukowemu i fachowemu, przyszłość pokaże. Zależać to będzie w wysokiej mierze od przebiegu i rozwiązania ogólnego przesilenia, od uruchomienia i ożywienia warsztatów pracy i stworzenia nowych możliwości zdobycia pracy i stanowiska. Ale o tem wspominam tylko ubocznie, chociaż łączy się to pośrednio ze wzrostem, dolą i przyszłością młodzieży akademickiej.

Uniwersytety stanęły wobec wzmożonych zadań i obowiązków, aby pielęgnować naukę, stać na straży jej rozwoju, a równocześnie metodycznie wyszkolić zastępy uczniów, zadowolnić ich potrzeby duchowe, przygotować do nauki, a przez naukę do życia. Jestem przekonany, że uniwersytety zasadniczo spełniły i spełniają poważne obowiązki tak naukowe, jak nauczycielskie i wychowawcze, że wogóle życie uniwersyteckie rozwija się pomyślnie. Niema oczywiście instytucji i organizacji, któraby wobec zmieniających się warunków nie wymagała ulepszenia i reformy, jednak z zachowaniem istniejących i uznanych zasad, na doświadczeniu i żywej tradycji opartych. Odnosi się to do autonomji uniwersytetów.

Rozważając projekt reformy szkolnictwa wyższego, tak żywo omawiany, nie myślę, po oświadczeniach już wypowiedzianych, szczegółowo rozbierać artykułów projektu, zwłaszcza, że przewidziane i zapowiedziane są liczne rozporządzenia wykonawcze, od których interpretacja i stosowanie w praktyce zależą. Nie litera prawa, lecz duch stanowi o wprowadzeniu w życie ustawy. Dotychczasowa działalność profesorów wyższych uczelni zasługuje na zaufanie. Wybór i dobór powoływanych na katedry uczonych następował po wszechstronnem zbadaniu naukowych prac i po zasięgnięciu opinii kompetentnych specjalistów. Wnioski były w tej mierze gruntownie i sumiennie uzasadnione i oparte na szczegółowym omówieniu i rozważeniu w komisjach i na plenarnych posiedzeniach Wydziałów. Habilitacje podlegały tym samym

naukowym kryterjom. Podstawą kwalifikacji były zawsze ogłoszone i już znane rozprawy, ulegające publicznej ocenie naukowej krytyki.

Wychowawcza działalność jest najściślej związana z naukową działalnością i nie da się od niej oddzielić. Wychowanie jest wynikiem duchowej kultury, której ważnym ogniskiem są i pozostaną wyższe uczelnie, powołane do wytworzenia prawdziwych i trwałych kulturalnych wartości, nie ulegających zmiennym prądom. Kierunek wychowania publicznego zyska na wadze i sile moralnej, jeżeli oprze się na trwałych duchowych zdobyczach. Jednolitość kierunku wychowania nie da się przeprowadzić i narzucić zarządzeniami. Praca wychowawcza jest organiczną częścią całego życia narodowego, to też w dziedzinie wychowania jedynie współdziałanie państwa ze społeczeństwem może wytworzyć harmonję, pożądaną dla całokształtu życia narodowego i dla wewnętrznej spójni społeczeństwa. Łączy się to z doniosłym zagadnieniem co do granic władzy państwa w dziedzinie duchowej. Jeżeli spotkał uniwersytety zarzut, że nie mogą podołać wychowawczym zadaniom, to można również zapytać, czy samo państwo podoła wychowawczym zadaniom, jeżeli ciężar i całą odpowiedzialność tylko na siebie weźmie i jedynie w swem ręku zechce skupić wszystkie sprężyny ogromnego aparatu wychowawczego, od szkoły powszechnej do szkoły wyższej i najwyższej. Można wyrazić obawę, czy zamiast pobudzić umysły do samodzielności i wykształcić, nie stłumi albo nie osłabi wszelkiej indywidualności i nie podetnie skrzydeł samodzielnego twórczego ducha.

W urabianiu umysłu i charakterów wyższe uczelnie mają ważny udział i nie powinny swego znaczenia zatracić. Lata najpiękniejsze życia, stanowiące o przyszłości, jakie młodzież spędza w wyższych uczelniach, szczególnie wymagają pieczy. Nie można ukrywać, że wielkie są trudności w ujęciu bujnego życia młodzieży, zależnej od środowiska i różnych wpływów, wrażliwej, szukającej mozolnie drogi nieraz wśród wewnętrznej rozterki, a także troski o jutro. Widzę jednak tyle szlachetnych porywów i zdrowej myśli, tyle dobrej, a nawet mocnej woli, tyle wysiłków, że można i trzeba współczuć z młodzieżą, a nawet dużo wyrozumieć. Sama młodzież po-

winna nad tem czuwać, aby nie dała porwać się wirom i namiętnościom politycznym, co jej samej i uniwersytetom może przynieść szkodę. W tych trudnościach i zmaganiach się ze sobą i z przeciwnościami, młodzież znajdzie w profesorach zawsze dobrą i życzliwą radę. Węzły wzajemnego zaufania, jakie łączyły w różnych ciężkich chwilach młodzież z profesorami, nie mogą ulec rozluźnieniu. Ten, który wprowadza w świat prawd naukowych, jest nietylko uczonym, ale i wychowawcą młodzieży. Universitas, jedność, złożona z ciała nauczycielskiego z rektorem na czele i młodzieży akademickiej, jedność niewątpliwie nie tak jednolita jak dawniej, powinna, jako poważna jednostka autonomiczna, podjąć i spełniać w państwie ważne funkcje edukacji narodowej dla dobra powszechnego.

STANISŁAW STARZYŃSKI,

profesor i b. rektor Uniw. Jana Kaz. we Lwowie,
członek czynny Polskiej Akademji Umiejętności.

CHYBIONY PROJEKT.

Czyniąc zadość życzeniu, bym wyraził mą opinię o najnowszym projekcie ustawy o szkołach akademickich, będę się starał być ile możliwości zwieźłym, wychodząc przytem specjalnie ze stanowiska potrzeb i wymogów ustroju uniwersytetów i politechnik, dla których, jeżeli już uznano ogólną ustawę z r. 1920 za potrzebującą reformy, należałoby wydać osobną ustawę, pozostawiając unormowanie stosunków innych szkół akademickich osobnym aktem prawodawczym.

Nie spodziewałem się pojawienia się projektu rządowego, zapoznającego i lekceważącego podstawy i zasady urządzenia i funkcjonowania uniwersytetów, a takim jest niestety projekt obecny. Niszczy on bowiem to, co tradycyjnie nazywamy autonomją uniwersytetów, a co w rzeczy samej jest dziś już tylko samorządem i to nie pełnym, ale kontrolowanym przez rząd; podcina silnie niezależność duchową uniwersytetów, ignoruje cały nowożytny rozwój problemu uniwersyteckiego, wykazujący jak na dłoni, że wszędzie tam, gdzie tę autonomję i tę niezależność duchową skrupowano lub zduszono, trzeba je było w krótkim czasie przywracać, co też wszędzie dało najlepsze wyniki. Ten niespodziewany zwrot dziwi mnie tem bardziej, że właśnie tradycja polska szła w przeciwnym kierunku, począwszy od wzniosłych słów królewskich, jaśniejących w akcie erekcyjnym Uniwersytetu Jagiellońskiego, a skończywszy na wstępie do dzisiejszej ustawy z 13 lipca 1920. Nie pojmuję więc, co mogło spowodować ten nagły zwrot w policyjno-biurokratycznym kierunku, odpowiadający może absolutystycznej teorii o „ograniczonym rozumie poddanych“, ale bynajmniej nie-

zgodny z rolą należną uniwersytetom w XX stuleciu. Dziwi mnie także i dlatego, że specjalna komisja w Uniwersytecie Jana Kazimierza opracowała w maju b. r. na czternastu długich posiedzeniach całkowity skodyfikowany projekt ustawy uniwersyteckiej (miałem zaszczyt do niej należeć), że projekt ten zyskał pełną aprobatę wszystkich innych uniwersytetów, został przesłany rządowi i wydrukowany, tymczasem z tego projektu niema w projekcie rządowym ani śladu. Ten nagły zwrot kierunku tłumaczyć sobie można tylko dokonywującym się obecnie, ciągle i jawnie, przewartościowywaniem wszystkich wartości, oraz zupełnie fałszywym pojmowaniem t. zw. ideologii państwowej. To fałszywe pojmowanie dąży do wmówienia w społeczeństwo, że wszystko, cokolwiek państwo robi, jest zawsze dobre, już przez to samo i dlatego, że państwo to robi, a następnie do ujęcia i zagarnięcia w swe ręce wszystkich ile możliwości zakresów działania i poczynañ społecznych, do dalekosiężnej etatyzacji i całkowitego zurzędniczenia życia zbiorowego.

Jestto zasada onnipotencji państwa, która w ciągu stuleci walczyła i „luzowała“ się nawzajem z zasadą idącego aż do absurdu zacieśniania kompetencji państwa. Wypracowany obecnie projekt jest właśnie propagandowym i bojowym krokiem w tym kierunku: propagandowym, bo dąży do reglamentowania przez państwo sposobów zdobywania wiedzy i szukania prawdy; bojowym, bo stara się tę dążność zapomocą bardzo ostrych środków przeprowadzać. Na dowód przytaczamy tylko najdrastyczniejsze postanowienia. Wedle projektu schodzi rektor uniw. lub politechniki do roli zwykłego dyrektora każdego zakładu państwowego i staje się prawie wyłącznie organem wykonawczym ministra. Minister W. R. i O. P. zostaje uznany nietylko za sprawującego zwierzchni nadzór, ale za władzę *naczelną*, której ponadto pozostawia się tak prawo uzupełniania ustawy jak i szczegółowego określania różnych jej punktów, zarówno w sprawach najważniejszych, jak np. postanowienia dyscyplinarne w sprawach młodzieży, jak i w drobniejszych, ale z istoty swej należących bezwarunkowo do zakresu samostanowienia dotyczących ciał, np. ustanowienie regulaminu obrad senatu akademickiego. Rola i kompetencja senatu zredukowana do *minimum*. Krzesło rektorskie może zająć w ostatniej

konsekwencji profesor niewybrany rektorem, gdyż może dojść do tego, że wybór rektora większością głosów okaże się niemożliwym. Szeregi katedr mogą zająć osobistości pozbawione wszelkiej poważniejszej kwalifikacji; może wygasnąć z tego powodu wogóle wszelka dążność do głębszych, długoletnich studiów, przedsięwziętych pod kątem widzenia zdobycia kiedyś katedry uniwersyteckiej; może też wygasnąć i chęć frekwentowania wykładów, głoszonych przez trzeciorzędne siły. Zdobytą z trudem katedrę można będzie bez własnej winy utracić, ze względów nie mających z nauką nic wspólnego i t. d. i t. d.

Drugim ciężkim błędem projektu jest stanowisko, jakie on zajmuje w stosunku do młodzieży akademickiej. Nie mówi on wprawdzie wyraźnie o urzędniczym „rzeczniku dyscyplinarnym“, ale stworzenie takiego rzecznika jest zapowiedziane. Odwoławcza komisja dyscyplinarna ma się składać wprawdzie także z profesorów odnośnej szkoły akademickiej, ale ich wszystkich ma mianować Minister W. R. i O. P., a, jak już podniosłem wyżej, rodzaj kar porządkowych i dyscyplinarnych, kompetencje komisji dyscyplinarnych, tryb zawieszania słuchaczy w prawach akademickich, jako też tryb postępowania dyscyplinarnego ustalać ma rozporządzenie Ministra W. R. i O. P., może się więc tu właśnie znaleźć miejsce i na owego rzecznika. Nie można dość silnie ostrzec przed wprowadzaniem takiego elementu policyjno-urzędniczego do toku postępowania, uważałbym je za wręcz zgubne. Mam przekonanie, oparte na dowodach, zebranych we Lwowie, że władze akademickie i profesorowie postępujący taktownie dadzą sobie zawsze daleko łatwiej radę z młodzieżą, aniżeli jakiegokolwiek organa zewnętrzne a zwłaszcza policyjne, dzięki tradycyjnemu stosunkowi jakby patriarchalnemu, który pomimo wszystko trwa i jest nawet silniejszy, aniżeli by się to na zewnątrz wydawało. Pomimo mylnych nieraz pozorów, młodzież sercem i instynktem wyczuwa serce tam, gdzie ono jest istotnie. Przytem nie można zapominać, że młodzież nie jest jedynie jakimś zbiorowiskiem jednostek, które trzeba trzymać w karchach, ale że jest częścią składową uniwersytetu, bo wyraz „*Universitas*“ nie znaczy, jak nieraz mylnie się mówi, „*Universitas litterarum*“, ale znaczy „*Universitas professorum et studentium*“ i stąd też płynie pojęcie „*civis academicus*“.

Muszę też stwierdzić, że cała młodzież polska jest szczerze rozradowana i rozentuzjasmowana zmartwychwstaniem Polski, że znaczna większość młodzieży wogóle nie jest bynajmniej zmaterjalizowana, że znaczną część młodzieży polskiej ożywia duch nie tylko szczerze patriotyczny ale i ideowy, t. j. że nie zapomniała ona o wzniosłym haśle „Młodzieży, ty nad poziomy wylatuj!"; ono ją popycha do trwałego działania w pewnych określonych kierunkach w myśl pewnych idei, które ona uważa za najlepsze dla przyszłości Polski; nie poprzestaje ona więc na cichem wyznawstwie uczuć patriotycznych w głębi duszy, ale rozumie i urzeczywistnia patriotyzm czynny i jest gotowa do poniesienia w danym razie poważnych ofiar w obronie swych przekonań. Ponieważ nieraz napotyka w tem przeszkody różnego rodzaju, wynikają stąd nieraz, przy wrodzonej młodemu wiekowi krewkości, różne excesy. Nikt ich nie pochwała, są ubolewania godne, gdy przekroczą pewne granice, gdy są ofiary; ale sądzę, że pomimo wszystko są mniejszem złem, aniżeli policyjna edukacja i przesadna represja ostra, która jednych łamie, drugich demoralizuje, oraz, że nie zasługują bynajmniej na twarde i dotkliwe nazwanie ich „objawami niebываłego zdziczenia“.

Od wieków odczuwa to ludzkość niejako podświadomie, że uniwersytety są najwyższym stopniem nauczania, rozwoju wiedzy i rozszerzania kultury ducha, że zatem nie można im podwijać skrzydeł ani hamować lotu; jeszcze przed samą wojną, w r. 1913, powiedziałem w przemówieniu rektorskim, że praca uniwersytecka powinna wszystkie prądy poznawać i rozbiierać krytycznie, ale przyswajać sobie i propagować tylko te, które podnoszą człowieka na wyższy poziom wartości moralnej, intelektualnej i społecznej. Ale do tego potrzeba zupełnej niezawisłości i swobody sądu, oraz atmosfery spokoju, do której starsze Uniwersytety nasze, Jagielloński i Lwowski już od dawna, młodsze zaś od chwili zmartwychwstania w niepodległej Polsce, przywykły. Przyznaję, że nowy projekt uznaje zasadę wolności nauczania, ale ta wolność może być zakłócona pośrednio przez przepisy organizacyjne i administracyjne, a to właśnie czyni projekt, zapominając, ile to razy właśnie z uniwersytetów płynęły te hasła, które dawały pań-

stwom, panującym i społeczeństwom impuls do wielkich reform i wielkich czynów.

Kończąc, powtarzam, że takie projekty jak niniejszy nie zbliżają do ideologii państwowej i nie prowadzą do sanacji stosunków.

WOJCIECH ŚWIĘTOSŁAWSKI,

profesor i b. rektor Politechniki Warszawskiej,
członek czynny Polskiej Akademji Umiejętności.

UWAGI NAD PROJEKTEM NOWEJ USTAWY SZKÓŁ AKADEMICKICH.

Założenia ogólne.

Projekt nowej ustawy o Szkołach Akademickich oparty został na powziętej zgóry teorii, że ciało zbiorowe nie jest zdolne do płodnej i pożytecznej akcji i dlatego należy dać pełnię władzy osobie stojącej na czele Ministerstwa Oświaty.

Przyjęty punkt widzenia sprawił, że niepodobna znaleźć w ustawie paragrafu, którego wykonanie nie mogłoby być sparaliżowane przez odpowiednie rozporządzenie Ministra Oświecenia.

W tem znaczeniu Ustawę, poza kilku paragrafami, ustalającymi funkcje rektora, dziekanów i profesorów i innych, należących do ciała pedagogicznego, możnaby było zastąpić krótko ujętym paragrafem, stwierdzającym, że minister zostaje upoważniony do wydawania wszelkich zarządzeń, regulujących życie Szkół Akademickich.

Ujemne strony samego założenia.

Niepodobna nie upatrywać wielkiego niebezpieczeństwa płynącego z takiego sposobu ujmowania rzeczy. Każda ustawa państwowa, a więc i ustawa o szkołach akademickich, powinna być zredagowana tak, aby mogła przetrwać bez zmian przez długie lata. W tym okresie czasu mogą niejednokrotnie się zmienić gruntownie warunki polityczne a zatem i rządy, kierujące nawą państwową. Otóż ustawa, dając nieograniczone wprost uprawnienia ministrowi, stwarza wielkie niebezpieczeń-

stwo stałej ingerencji Władz w to życie, którego spokojny, apolityczny rozwój jest warunkiem koniecznym należytego funkcjonowania całego aparatu nauczającego. Wszak trzeba o tem pamiętać, że Uczelnie Wyższe są właściwą kuźnicą wszelkich badań i teoryj, które decydują o przyszłości i rozwoju kultury w danym kraju. Tu rodzą się i rozwijają idee i myśli, które często dopiero w kilka, kilkanaście lub kilkadziesiąt lat później znajdują swe zastosowanie i odbicie w życiu politycznem, gospodarczem lub ekonomicznem kraju. Na tem też tle niejednokrotnie powstawać mogą przeciwieństwa i rozbieżności poglądów, doprowadzające nawet do starć z kierownikami życia politycznego. Niepodobna więc zakłócać, przytłaczać lub zabijać pracy danego ośrodka naukowego, dlatego, że u steru stać mogą ludzie przeniknięci teorjami, wpływającymi z aktualnego życia politycznego.

R ó w n o w a g a w ż y c i u a k a d e m i c k i e m .

W każdym Państwie Szkoły Akademickie, jako najliczniejsze skupienia uczonych, mają specjalne i wyjątkowe zadania do spełnienia. Praca twórcza zespołu nauczającego stwarza warunki rozwoju kultury danego kraju, to też pracy tej niepodobna unormować przez żadne zarządzenia i przez żadną ustawę. Tu się przysposabiają kadry przyszłych pracowników, którzy stać się mają mózgiem twórczym narodu. Ta specyficzna rola Szkół Akademickich, polegająca na pracy dla przyszłości, wymaga przedewszystkiem niezmaconego spokoju i wielkiej równowagi w wykonywaniu tej pracy. To też ustawa, nadająca nadmiernie wielkie uprawnienia Ministrowi Oświecenia, nie może gwarantować, że spokój ten zawsze będzie zachowany. Każde większe zdarzenie polityczne przeżywane wewnątrz kraju będzie prowadziło do zmiany na stanowiskach kierowniczych politycznych, a to ze swej strony grozi za każdym razem naruszeniem równowagi życia szkół akademickich.

Trzeba podkreślić z całą mocą, że od stanowiska, zajętego przez każdorazowego Ministra Oświecenia, zależeć będzie bieg i sprawność pracy Uczelni Akademickich. Może też się zdarzyć, że przez długie lata od czasu wejścia w życie tej ustawy, życie akademickie naruszone nie będzie dzięki rozumnemu

i umiarkowanemu wyzyskiwaniu, a raczej niewyzyskiwaniu przez Ministra uprawnień. Może się jednak zdarzyć, że osoba Ministra, jego temperament polityczny, przypadkowe nawet zatargi z tym lub innym ośrodkiem, mogą się stać powodem tak gwałtownego zakłócenia biegu życia akademickiego, że wynikłe stąd straty zniwelują to, co uzyskane zostanie dzięki umiarowi i taktowi ministrów poprzednich.

Brak prób wyzyskania ustawy obecnie działającej.

Trzeba zaznaczyć, że w przeciągu 12 lat istnienia obecnie działającej Ustawy o Szkołach Akademickich nie próbowano usunąć braków, jakie w toku rozwoju szkolnictwa zostały ujawnione.

Ministerstwo nie podjęło próby usunięcia braków w granicach obowiązującej ustawy, wychodząc z założenia, że tylko nowelizacja ustawy zdolna jest ulepszyć warunki pracy życia Szkół Akademickich. Inaczej na tę rzecz patrzyły Senat Akademicki i Rady Wydziałowe Politechniki Warszawskiej. Podjęły one w roku zeszłym i prowadzą obecnie intensywną pracę nad usunięciem braków i udoskonaleniem biegu życia akademickiego w ramach obowiązującej ustawy. Zdaniem profesorów Politechniki, pracy usunięcia braków można dokonać, opierając się na istniejącej ustawie o Szkołach Akademickich.

Błędy w administrowaniu majątkiem.

Wysuwane są często oskarżenia przeciwko profesorom za błędy, popełnione w administracji gospodarczo-ekonomicznej szkół. Błędy takie istotnie były, ale nie wpływały one z t. zw. autonomji, a właściwie samorządu gospodarczo-ekonomicznego Szkół Akademickich, lecz z innych przyczyn.

Jeżeli chodzi o kontrolę finansów, to Szkoły Akademickie w tem znaczeniu nigdy autonomicznymi nie były. Kontrola władz państwowych jest w Polsce o wiele ściślejsza i bardziej krepująca, niż kontrola prowadzona w swoim czasie przez rządy państw zaborczych. Jeżeli więc były błędy i niedociągnięcia, wpływały one raczej z nienormalnych warunków realizowania budżetów. Przez długie okresy czasu nikt z kie-

rowników zakładów nie wiedział, czem faktycznie rozporządzać może. Ciężkie warunki finansowe państwa doprowadzały z konieczności do tak dalekiej ingerencji władz w tym zakresie, że samorządu gospodarczo-administracyjnego uczelni polskich nie można porównać na jego niekorzyść z samorządem Szkół Akademickich podczas zaboru.

Stosunek do młodzieży.

Wysuwane są ciężkie zarzuty przeciwko profesorom za to, że nie mają oni dostatecznego wpływu i nie korzystają ze swych uprawnień w zakresie oddziaływania na młodzież i powstrzymywania jej od wybryków. Zarzuty te są tylko w pewnym stopniu słuszne. Być może, iż wpływ moralny profesorów na młodzież mógłby być większy. Nie stoi to jednak w żadnym związku z tą częścią działalności profesorów, która dotyczy sądów, wymierzanych kar lub utrzymywania dyscypliny wśród młodzieży. Gdyby proste zarządzenia dyscyplinarne prowadziły zawsze do wyników dodatnich, Rząd, sprawujący w pełni władzę autonomiczną nad obywatelami danego kraju, nie miałby nigdy do czynienia z rozruchami ulicznymi, demonstracjami, ekscesami lub wreszcie jawnym buntem. Wszak metody kar administracyjnych sądów koronnych, nakładanych na młodzież i środków najostrzejszych, włącznie do masowego usuwania całych zastępów młodzieży, wypróbowane były niejednokrotnie przez Rosję i nigdy nie doprowadzały do wyników dodatnich. Rozruchy studenckie powtarzają się od czasu do czasu we wszystkich państwach, są one zawsze odbiciem pewnych warunków politycznych w kraju lub pewnych idei, które w głowach młodzieży nurtują. Rozruchy ustają nie pod wpływem kar i represyj władz autonomicznych akademickich, lub też władz rządowych, ale pod wpływem zmiany nastrojów ogólnych młodzieży. Nastroje te jednak nie mogą się zmieniać pod wpływem perswazji lub moralnego wpływu profesorów. Zmieniają się one wraz ze zmianą prądów politycznych, moralnych i etycznych całego społeczeństwa, a młodzieży w szczególności. Rola wychowawcza profesorów może w wielu przypadkach osłabić, przytępić ostrość wystąpienia, usunąć ich jednak całkiem nigdy nie zdoła.

Praktyczna niewykonalność ustawy.

Przytoczone wyżej motywy sprawiają, że olbrzymia większość profesorów ustosunkowała się nieprzychylnie do projektu nowej Ustawy o Szkołach Akademickich. Profesorowie ci są przytem przeświadczeni, że, gdyby nawet ustawa ta weszła w życie, faktycznie wykonywana prawie nigdy nie będzie. Ministrowie W. R. i O. P. sami dochodzić będą do wniosku, że z uprawnień im nadanych korzystać nie należy i milcząco lub jawnie przelewać będą swe uprawnienia na tych, którzy uprawnienia te ustawowo posiadać powinni. Jeżeli więc ogół profesorów jest nieprzychylnie usposobiony do nowego projektu, dyktowane to jest przez uczucie niepokoju, że mogą się zdarzyć przypadki, gdy uprawnienia, w pełni lub w części wyzyskane przez czynniki polityczne, wyrządzą niepowetowane szkody szkolnictwu wyższemu a tem samem całemu krajowi.

KS. KONSTANTY MICHALSKI,

profesor i b. rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego,
członek korespondent Polskiej Akademii Umiejętności.

MECHANIZM CZY ORGANIZM.

Zarówno mechanizm jak i organizm posiada pewną strukturę; a jednak istnieje między nimi głęboka różnica, gdyż mechanizmowi została struktura narzucona z zewnątrz, organizm zaś wydobywa ją z siebie, z własnej swej istoty. To też mechanizm można swobodnie rozłożyć na części składowe, by jedne z nich zatrzymać, inne wymienić i w nowe złożyć całości; żywy zaś organizm nie wytrzymuje zbyt daleko sięgających i radykalnych zmian tak, iż kto doń wkracza jako w martwy automat, albo zabija albo wprowadza w stan nieprawidłowego funkcjonowania. Pamiętamy, jak często powtarzał u nas ś. p. Leop. Wł. Jaworski, mniejsza o to, czy pod wpływem scholastyków czy de Maistre'a czy Spenna, że każdą instytucję społeczną należy w ustawodawstwie ujmować całościowo i organicznie a nie atomistycznie, jeżeli się pragnie, żeby spełniała swe zadania bez zgrzytów i konfliktów. Pamiętamy, jak często dowodził, że nie należy obcego ustawodawstwa przenosić żywcem i mechanicznie w ustrój własnego społeczeństwa, gdyż każda społeczność posiada własne tradycje i własną strukturę, zależną od wewnętrznego celu i całego systemu funkcji. Kto przebudowuje teraźniejszość, nie oglądając się na przeszłość, stwarza utopję; kto wpatruje się w przeszłość, tracąc z oczu przyszłość, hamuje rozwój i wprowadza wszędzie starczą petryfikację. Prawa biologiczne sięgają głęboko w życie ludzkie i wszelkie jego wytwory.

Skoro więc zjawia się projekt zmiany ustroju szkół akademickich, nie można ani na chwilę zapominać o tem, że polskie życie akademickie skryształizowało się w ustawie z r. 1920

tak, iż odrzucając główne jej zasady, przesunęłoby się samo życie na zupełnie nowy tor. Na wszystkich konferencjach rektorskich i zeszłego i obecnego roku akademickiego uznawano jednomyślnie potrzebę nowelizacji ustawy o szkołach akademickich, zaznaczając jednak równocześnie, że punktem wyjścia powinny dla niej być trzy czynniki, t. j. obowiązująca dotąd ustawa, uchwały konferencji rektorskich, wreszcie opinie uczelni, przedyskutowane na posiedzeniach senackich. W oświadczeniach rektorów wypowiedziała się powszechna opinia uniwersytecka, według której przyszłość powinna łączyć się z przeszłością, jeżeli się nie chce wprowadzać w życie uniwersyteckie ostrego przesilenia. Tymczasem nowy projekt dwa pierwsze czynniki zupełnie pomiął, a trzeci uwzględnił w mierze całkiem niedostatecznej. Jeżeli chodzi o ustawę z r. 1920, to nowy projekt nietylko ją pomiął, ale jej się wprost przeciwstawił, zrywając z samorządem jako z centralną ideą organizacji szkół akademickich. Tem samem wszedł projekt na drogę futuryzmu i skrajnego antyhistoryzmu, który odrywa się od przeszłości, głosząc nowe zasady, ale takie, gdzie ma górować automat nad życiem, mechanizm nad organizmem. Dotychczasowa ustawa wskrzeszała tradycje wiekopomnego dzieła Kazimierza Wielkiego i Jagiełły, więc zapewniła wyższym uczelniom samorząd i ustrój korporacyjny, upatrując w tem jedynie skuteczną i jedynie nieomylną gwarancję swobody nauki i nauczania. Dzieje dowodzą, że, ilekroć zamierzono wykonać zamach na swobodę nauki, zawsze zacieśniano lub całkiem znoszono samorząd uniwersytecki, gdyż wówczas już łatwo było nakazać milczenie prawdzie na drodze administracyjnej i usunąć tego, który ją głosił. Nie ulega wątpliwości, że ktoś mógłby nadużyć katedry dla politycznej agitacji, ale wówczas zwróciłaby się przeciwko niemu w imię nauki cała uczelnia, zmiatając go raz na zawsze z widowni. Trafnie powiedział Max Weber, mówiąc o nauce jako o powołaniu życiowem, że polityka musi być wykluczona z sal wykładowych tak po stronie słuchaczy jak i po stronie profesora, który powinien się kierować wyłącznie sumieniem naukowem. Na katedrze profesorskiej należy przede wszystkim służyć prawdzie, a służąc jej ze wszystkich sił, służy się najskuteczniej kulturze własnego narodu i państwa. Ustawa z 1920 r., mając zaufanie do siły

prawdy, nadała uniwersytetom ustrój samorządowy jako najsilniejszą i ściśle biorąc jedyną gwarancję swobody naukowej. Żeby się stało, gdyby nowa ustawa gwarancję tę znosiła.

Chociażby ustawa była najlepszą w swych zasadach, to jednak w szczegółach może się okazać ułomną i niepraktyczną. Dobrze się więc stało, że u nas już od r. 1918 rok rocznie zjeżdżali się rektorowie wszystkich wyższych uczelni, ażeby stwierdzać dostrzeżone w życiu uniwersyteckim braki i przedstawiać swe uwagi w formie memoriałów Ministrowi W. R. i O. P. W roku bieżącym wyszedł z druku zbiór uchwał powziętych na zjazdach rektorskich, a chociaż niektóre z tych uchwał wobec zmiany stosunków straciły znaczenie lub praktyczność, to jednak całość zawiera bogaty materiał, który należałoby wziąć pod uwagę w każdym projekcie reformy ustawy akademickiej. Uchwały łączyły się jednak organicznie z ustrojem samorządowym, więc z natury rzeczy zostały pominięte w nowym projekcie.

Senaty akademickie, jako trzeci czynnik, wchodzący w rachubę, nie mogły wpłynąć w odpowiedniej mierze na rodzaj reformy, gdyż w decydującej chwili powstania projektu nie zaproszono ich do zabrania głosu tak, iż nie mogły oddziaływać na samo jego ujęcie. Obecnie senaty już się wypowiedziały, wypowiedziały się wszystkie bez wyjątku przeciwko projektowi. Byłoby się stało lepiej, bez porównania lepiej, gdyby wszystko było się potoczyło w kierunku wprost przeciwnym.

Przejdźmy od związku z przeszłością do zasadniczego ujęcia szkoły wyższej przez nowy projekt. Słusznie wysunięto na czoło projektu, bo do artykułu drugiego, myśl, w której całkowicie streszcza się pogląd na szkoły akademickie. Zacytujmy dosłownie: „podział na wydziały (oddziały, studia) ustala, oraz wszelkie jego zmiany, jako też tworzenie i związanie wydziałów, oddziałów, studjów, katedr i zakładów zarządza Minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego po wysłuchaniu opinii...“ Na podstawie tego artykułu powstanie więc nieograniczona w przestrzeni i czasie władza, która może zawsze, dosłownie zawsze, stworzyć lub zwinąć każdą katedrę, każde studjum, każdy wydział. Zdawaćby się mogło, że w tym przypadku uprzywilejowane są tylko wydziały teologiczne, posiadając oparcie w konkordacie. Wcale nie. Na podstawie

konkordatu mają wszystkie diecezje prawo do własnego seminarjum, a profesorowie wydziału teologicznego otrzymują misję kanoniczną od miejscowego biskupa; niema natomiast w konkordacie mowy o tem, że w tym lub innym uniwersytecie ma wydział teologiczny istnieć, wystarczy bowiem, że będzie istniał jeden w całej Polsce i to nie z bezwzględną pewnością. Nastroje niemal z każdym rokiem się zmieniają tak, iż, co pewne jest dzisiaj, może być całkiem wątpliwe jutro. Oczywiście ani na chwilę nikt nie pomyśli, żeby ten lub inny minister chciał z zawziętością burzyciela niszczyć przybytki polskiej nauki, ale tu chodzi o bezosobistą ustawę, z której nie powinny logicznie wypływać następstwa, mogące w każdej chwili ugodzić w zasadnicze podstawy życia uniwersyteckiego. Wychoząc z artykułu drugiego jako z przedsionka o wielu, zbyt wielu drzwiach, dojdzie się z prawem życia i śmierci do każdego zaułka szkoły akademickiej. Napróżnoby się wprowadzało poprawki do innych artykułów, jeżeliby utrzymał się w obecnem swem brzmieniu ten, który ujmuje zasadniczo uniwersytet jako mechanizm tak, iż można go w każdej chwili zwiększyć, zmniejszyć lub przekształcić, nie zostawiając mu żadnej samobrony, nawet na drodze porozumienia. Artykuł ten, razem z ramowością ustawy, stworzy atmosferę niepewności, której nie znosi żaden żywy organizm, a najmniej ten, którego zadanie polega na budowaniu myśli naukowej. Dodać tylko można, że artykuł drugi unicestwia gwarancję tego, co zawiera naczelne zdanie projektu w artykule pierwszym: „szkoły akademickie zorganizowane są na zasadzie wolności nauki i nauczania“.

Na ujęcie mechanistyczne szkół akademickich wskazuje także taka a nie inna ramowość projektu. Ramowość ustawy może być zaletą lub wadą, błogosławieństwem lub zgubą zależnie od tego, czy ramy zwiastują swobodny rozwój życia, czy też pochodzący z zewnątrz schemat *a priori*. Dotychczas statuty poszczególnych uczelni mieściły się i mieścić musiały w ramach tej samej ustawy, ale każda uczelnia sama układała własny statut tak, iż mogła w nim wypowiedzieć swe dążenia, określić specyficzne cele i tradycje i wskazać warunki miejscowego rozwoju, dowodzące przez to, że jest żywym organizmem, a nie automatem. To też w jednych uczelniach istniały zebrania ogólne profesorów, w innych nie; w jednych dzielono wy-

dział filozoficzny na dwa, na humanistyczny i przyrodniczy, w innych przeciw temu podziałowi zawsze się oświadczano. Różnice między statutami poszczególnych szkół nie wywoływały żadnych konfliktów, lecz raczej umożliwiały doświadczalne i porównawcze wypróbowanie pewnych szczegółów. Jedne szczegóły okazały się praktyczne dla wszystkich uczelni, inne tylko dla niektórych, większych lub mniejszych, np. zebranie ogólne profesorów. Nowy projekt najpierw z doświadczenia tego i praktyki nie korzysta, wprowadzając do ustawy obowiązujące ogólne zebrania, które dla liczniejszych szkół akademickich okazały się niepraktycznymi. Donioślejsze jednak znaczenie posiada fakt, że ramy ustawy mają wypełnić treścią dwa czynniki, t. j. rozporządzenia Ministra WR. i OP. oraz statuty, uchwalane przez ogólne zebrania profesorów. Jaki będzie stosunek jednego czynnika do drugiego? Chyba najprzód muszą się zjawić rozporządzenia, gdyż inaczej statut poruszałby się w granicach nieokreślonych; jeżeli tak, to rozporządzenia z natury rzeczy wyznaczają zakres kompetencji statutom; gdy wreszcie statuty zostaną uchwalone przez wielogłowe zebrania profesorów, to i tak warunki życia i pracy się nie ustalą, bo statut może w każdej chwili zmienić minister z własnej inicjatywy (a. 2, 4). W takiej atmosferze niepewności najłatwiej się rozpalają zarzewia konfliktów. Niepewność musi płynąć stąd, że wszystko i zawsze w ramach ustawy może ulec zmianie na podstawie rozporządzenia.

Trzecia cecha nieorganicznego ujęcia szkół akademickich przejawia się w tem, że przetrąca się ich kręgosłup, którym dotąd były senaty. Dotąd przez senat łączyły się ze sobą organicznie wszystkie wydziały, tworząc jedną całość, odtąd zaś mają stanowić *membra disiecta*; dotąd obowiązkowo na senacie rozstrzygały się wszystkie ważniejsze sprawy uniwersyteckie, na senacie rozstrzygało się wszystko ze względu na całość, na senacie przedstawiały swe wnioski poszczególne komisje, w senacie wreszcie kształcili się przyszli rektorowie w administracji całością; odtąd to wszystko miałoby być obcięte i przeobrażone z niezmierną szkodą dla całości życia uniwersyteckiego.

Pomińmy swobodę doboru sił nauczycielskich i wyboru władz, ażeby się zatrzymać już tylko na młodzieży, która

wchodzi jako część organiczna w żywą całość szkoły akademickiej. Ważniejszym od poszczególnych postanowień projektu jest tutaj zagadnienie tak często powtarzane, czy w uczelniach wyższych nie należałoby oddzielić radykalnie wychowania od nauczania, by w udyscyplinowanie obywatelskie wprowadzić ingerencję innych czynników. Wraca więc zasadnicze pytanie, czy te dwie funkcje nie łączą się ze sobą tak ściśle i tak organicznie, iż gwałtowny rozdział musiałby niszczyć jedną i drugą przez wewnętrzne konflikty.

Zarzucano Sokratesowi jednostronny intelektualizm, zarzucano mu, że utożsamiał jasne pojęcie cnoty z cnotą samą; a jednak w perspektywie dziejowej musimy dziś przyznać, że był to szczęśliwy intelektualista, który przez intelekt trafiał do uczucia. Przecież nawet swawolny Alcybjades wyznaje w *Sympozjonie* Platona, że żywiej biło mu serce, ilekroć przemawiał Sokrates, a chociaż podziwiał także zdolność oratorską Peryklesa, to jednak w czasie jego przemówień nigdy nie biło mu serce. Sokrates stał się wychowawcą młodzieży ateńskiej, ponieważ był nieporównanym, rzetelnym nauczycielem, że aż serca biły. Nie znałby życia uniwersyteckiego, ktoby przypuścił, że profesor tylko naucza, a nie wychowuje. Młodzież wstępuje w bramy uniwersyteckie, kiedy jej dusza całą swą istotą woła o światopogląd, kiedy miejsce dotychczasowej sugestji zaczyna zajmować zdecydowanie myśli krytyczna i odzywa się osobliwa wrażliwość na to, co zostało zdobyte samodzielnym myśleniem. Sokratesa nie zdoła jej wtedy zastąpić żaden Perykles. Czy można przypuścić, że wykłady na wydziale teologicznym nie budują w duszach poglądu na świat, na życie, na państwo i obowiązki obywatelskie? Czy można na chwilę pomyśleć, że na wydziale prawa wnika się w całą budowę państwa od podwalin aż do szczytów z takim skutkiem, że u słuchaczy nie kształtują się żadne przekonania, a z przekonań nie rodzi się żadna siła motoryczna? Czy koło katedr wydziału filozoficznego grupują się tak martwe dusze, iż w czasie wykładu ani ich nie dotknie filozoficzny Eros, ani nie wzruszy piękno ojczystej literatury, lub *mysterium fascinosum*, zawarte w dziejach własnego narodu i państwa? Czy można zaryzykować zdanie, że przyroda nie przekształca człowieka, a studia pedagogiczne żadnego w nim

nie zostawiają śladu? Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że ktoby chciał w szkołach akademickich oderwać wychowanie od nauczania, musiałby znieść autonomię nauki i nauczania. Nauczanie i wychowanie od siebie się różnią, ale nikt nie zdoła myślom i prawdzie odjąć ich wewnętrznej wartości pedagogicznej.

Profesor może oddziaływać na młodzież także jako kurator stowarzyszeń naukowych, samopomocowych, oraz ideowych. Czy mimo wszystko i tutaj nie wpłynie silniej i głębiej Sokrates aniżeli Perykles? Dwie rzeczy trzeba odrazu i z góry przyznać. Jedną jest niebezpieczeństwo, które tkwi w organizacjach międzyuczelnianych, gdyż wobec haseł, wydanych przez centralę, mógłby się rektor jakiejś uczelni znaleźć w niemożności porozumienia się z miejscową młodzieżą. Reprezentacja ogólna młodzieży nazewnątrz jest potrzebna, to pewna, ale niemniej pewne jest to, że młodzież musi szanować własne władze akademickie i samorządowe. Drugą bolączkę stanowi przerost organizacyj studenckich, mnożących się w takim tempie, że już nie można znaleźć dla nich kuratorów. Kiedy od spraw organizacyjnych przejdziemy do samego życia młodzieży, to napewno muszą nas mocno zmartwić listopadowe karnawały. Widmo to zażegnać należy, uwzględniając tło społeczne, rasowe, polityczne i narodowościowe zajęć, zażegnać należy koniecznie, obmyśliwszy odpowiednie środki. Dopiero po tych uwagach można rozstrzygnąć pytanie, czy należałoby wprowadzać podwójne komisje dyscyplinarne do szkół akademickich. Możliwość odwoływania się do wyższej instancji w tej samej szkole byłaby chyba w wysokim stopniu niepedagogiczna, a z pośród profesorów żaden nie będzie chciał należeć ani do komisji, od której będzie odwołanie, ani do komisji, któraby po raz wtóry tę samą sprawę rozstrzygała. Wprowadzając dwie instancje dyscyplinarne, wprowadziłoby się do szkół akademickich nieskończoną ilość konfliktów.

Jeszcze w ostatniem dziele roztacza Bergson przed nami cały czar swej bogatej wyobraźni i myśli intuicyjnej, by nas przekonać, że nie należy, w żaden sposób nie należy stosować kategorii z dziedziny martwych mechanizmów do tego wszystkiego, przez co przepływa rozmach życia, *élan vital*, jeżeli się

nie chce kłamać rzeczywistości. Poważniejszą staje się sprawa, kiedy chodzi już nie o teoretyczne ujęcie rzeczywistości, lecz o jej spotęgowanie lub osłabienie. Chciałoby się zrobić wszystko, by rozmach twórczy polskiego życia duchowego, polskiej myśli, płynący poprzez nasze wyższe uczelnie, nie skrzepnął w uścisku automatu.

BOLESŁAW HRYNIEWIECKI,

profesor i b. rektor Uniwersytetu Warszawskiego,
członek czynny Polskiej Akademii Umiejętności.

NAUKA W SZPONACH BIUROKRACJI.

System biurokratyczny.

Ktokolwiek nami rządzi, jakakolwiek partja przychodzi do władzy, widzimy zawsze i wszędzie stały, nadmierny rozrost biurokracji, która, niby wielki polip, sięga mackami swojemi w coraz to nowe dziedziny życia narodowego. Jest to bolączka, na którą cierpią i inne kraje, u nas jednak staje się coraz dokuczliwsza, gdyż po uzyskaniu niepodległości, zmuszeni do improwizacji w organizowaniu państwa, otrzymaliśmy materiał ludzki, wykształcony przez rządy zaborcze i naśladowaliśmy ślepo i naśladujemy wciąż z uporem wzory najgorsze, jakie inne narody już złożyły do rupieciarni przeżytków.

Dla biurokracji wyraz zaufanie nie istnieje; istnieje tylko system naczelników i podwładnych; pierwsi prowadzą kartoteki poufne i składają wyższym władzom raporty o tych, którzy są postawieni niżej w hierarchji, a zasada jest taka, że każdy jest podejrzany.

Ten system, być może dobry w organizacji policji lub w rejestracji przestępców, przenika we wszystkie dziedziny, nawet takie, jak działalność pedagogiczna, gdzie jedynie wzajemne zaufanie może być dźwignią normalnego rozwoju. Ciężka i odpowiedzialna praca nauczyciela jest nieraz hamowana przez konieczność odpowiadania na rozliczne ankiety i okólniki, a w chwilach wolnych, które mógłby on z pożytkiem dla zdrowia duszy i ciała spędzić, musi odrabiać takie kawałki, jak statystyka błędów, popełnionych przez uczniów, statystyka odrobionych zadań i t. p.

Biurokracja przenika i do szkół akademickich.

Biurokracja przenika i do szkół akademickich. Dość spojrzeć na te wielkie księgi inwentarzowe, materiałowe i t. p., jakie zaprowadzono w każdej, nawet małej pracowni naukowej, obliczone tak, jak na wielkie przedsiębiorstwo fabryczne; w tych księgach winny być notowane nietylko pozycje inwentarzowe, co jest rzeczą konieczną i zrozumiałą, lecz odmierzana i zapisywana każda kropla barwnika, każdy gram chemikalijskiej, jakie zużył w ciągu dnia każdy student. Gdyby profesorowie i asystenci chcieli się ściśle do tych przepisów stosować, wówczas byłby to prawdziwy strajk włoski nauki, gdyż wszelka czynność twórcza musiałaby ustać na korzyść częściej pisaniny.

Wzorowym np. kierownikiem ogrodu botanicznego według biurokracji będzie nie ten, kto ogród wzbogaci mnóstwem nowych gatunków hodowanych, wyposaży go w dobrze oznaczone i rozplanowane grupy roślin i umiejętnie zorganizuje pracę naukową, lecz ten, kto potrafi w grubej księdze opisać, kiedy która baba i na której grzędzie pełła, kiedy i gdzie kopła a kiedy grabiła; skąd, dokąd i kiedy koń wozził gnój, a kiedy liście, kiedy zaś rośliny.

Biurokracja jest dokuczliwa, gdyż każe wszystkim profesorom, którzy przecież na katedrę mogli się dostać tylko po złożeniu wyczerpującego curriculum vitae, pisać znów życiorysy i to, broń Boże, nie na maszynie, lecz własnoręcznie, starym sposobem, przy pomocy pióra „pismem wyraźnem i czytelnem“, jak głosi okólnik. A cóż pocznie nieszczęsny profesor, który pisze niewyraźnie?

Biurokracja staje się natrętnie ciekawa, gdy np. w tej samej ankiecie, skierowanej do profesorów, każe podawać wiadomości, czem zajmuje się żona, czy który profesor nie ma czasem wuja lub ciotki, kuzyna lub kuzynki w ministerjum.

Nie brak też biurokracji naszej złośliwości i to w gorszym stylu, gdy w tej samej ankiecie, w punkcie 23 zapytuje profesorów, czy który z nich nie cierpi czasem na „niedorozwinięcie umysłowe“.

Nic więc dziwnego, że niejeden z nas dostaje gęsiej skórki, patrząc podejrzliwie na papierzyska, jakimi nas obficie zasila

ministerjum, czy nie tai się w nich nowy zamach na nasz czas, na naszą godność, na naszą twórczą pracę naukową i boi się, jak ognia, załatwiania spraw z czynnikami biurokratycznymi.

A sprawność naszej biurokracji i szybkość załatwiania spraw jest przysłowiowa: np. na naszym wydziale, czysto formalne sprawy, jak zatwierdzenie asystenta, czasem przez pół roku nie są załatwiane; znam taki wypadek, gdy młody pracownik wyjechał zagranicę za zgodą swych władz uniwersyteckich, wykonał tam pracę naukową, zdażył wrócić, a w miesiąc po powrocie przyszła odpowiedź, że ministerjum nie zgadza się na urlop płatny. Sprawy mianowania nowych profesorów lub przeniesienia z katedry nadzwyczajnej na zwyczajną trwają już nie miesiące, lecz lata. Tego rodzaju wniosek musi czekać na biurkach ministerjalnych, aż się „jak tigi ucu-kruje, jak tytuń uleży“. A gdy o tak bezsporną sprawę chodzi, jak mianowanie profesora honorowego, na co trzeba całym dorobkiem naukowym życia zasłużyć, wówczas odkłada się załatwienie wogóle ad calendas graecas. Nawet gdy sprawa jest załatwiona, można całą Europę w tym czasie objechać, zanim papiery przywędrują z alei Szucha na Krakowskie Przedmieście.

Tymczasem najważniejsze sprawy szkół akademickich, jakie Ministerjum porusza, są zawsze niezmiernie pilne i terminy prekluzyjne na odpowiedź są bardzo krótkie, często nawet wcześniejsze, niż terminy, w jakich pismo dostaje się do rąk władz uniwersyteckich.

Próba zajęcia ostatniego okopu.

Ostatnia próba zmiany ustawy szkół akademickich wraz z rozporządzeniem o stosunkach służbowych jest nową próbą wkroczenia biurokracji do ostatniego okopu, do istniejącego jeszcze, choć nikłego, samorządu szkół akademickich.

Jakiegokolwiek byłyby wady obecnej ustawy, ma ona tę wielką zaletę, że jest czemś stałym, a nauka wymaga przede-wszystkiem stabilizacji stosunków, tymczasem projekt obecny w większości swoich artykułów przewiduje dopiero specjalne rozporządzenia p. ministra, a mogą one być takie, że przekreślą całą ustawę. Na takim płynnym, zmiennym fundamen-

cie nie można budować tak ważnego dzieła, jakim jest nauka i nauczanie w szkołach akademickich.

Nowy projekt w artykule 1-ym wysuwa wprawdzie hasło, że szkoły akademickie są zorganizowane na zasadzie wolności nauki i nauczania, tymczasem szereg następnych artykułów temu przeczy. Nie jest do pomyślenia wolność nauki i nauczania bez prawa urządzania zakładów naukowych, bez swobody działalności naukowej, bez ustabilizowanego kierownictwa zakładami naukowymi, tymczasem szereg artykułów wolności tej zagraża lub ją ogranicza.

A już najgroźniejszym dla wolności nauczania jest artykuł, który przewiduje możliwość mianowania profesorów na katedry wbrew życzeniom Rady Wydziałowej. Tak poważnemu gronu, jakim jest Rada Wydziałowa, nie przysługuje nawet prawo wyboru komisji, kwalifikującej profesorów tak, jak sama określi, gdyż skład jej i sposób działalności ma dopiero określić minister.

Bezduszny, iście biurokratyczny charakter ustawy ujawnia się zwłaszcza w stosunku do starszych profesorów. Według nowego projektu profesorowie, ustępujący z katedry z powodu przekroczenia granicy wieku (65 lat), którym nie został nadany tytuł profesora honorowego, tracą prawo wykładania, jakie mieli według dawnej ustawy.

Dla biurokraty niezrozumiałą jest rzeczą, żeby ktoś po uzyskaniu emerytury chciał się jeszcze pokazywać w biurze, co rzeczywiście nie miałoby sensu, i w ten sam sposób sądzi o profesorach, zapominając, że są to ludzie nauki, których praca naukowa, o ile nie przeszkodzi temu jakaś poważna choroba, kończy się dopiero ze śmiercią, że tym ludziom może być często drogi związek z uniwersytetem, a dla szkół akademickich może być niezmiernie cenna ich pomoc i współpraca, zwłaszcza wobec wielkiego braku sił naukowych (około 50-u katedr mamy nieobsadzonych).

„Murzyn zrobił swoje, murzyn może odejść“ oto zasada biurokracji. Nie darzy ona również sympatią ani zaufaniem tych profesorów, którzy po ustąpieniu z katedry są zaszczycony tytułem profesorów honorowych (o ile minister na to się zgodzi), chociaż składają się z ludzi najzasłużeńszych, którzy są prawdziwą chlubą uniwersytetu. Mogą oni wprawdzie wykła-

dać, ale ustawa nic nie mówi, żeby mogli należeć do Rad Wydziałowych, jak to było dotąd, gdy Wydziały, o ile zapragnęły, korzystały z pomocy starszych i tak doświadczonych kolegów w szeregu swych spraw. Profesorowie honorowi mają zato jedno jeszcze, dość humorystycznie brzmiące prawo: „uczestniczenia w uroczystościach akademickich“.

Przykra jest rola przyszłego rektora według projektu nowej ustawy: może on być mianowany, nie mając poparcia większości profesorów; wyposażony w większą władzę, niż dotąd, na niekorzyść Senatu, może być w każdej chwili zwolniony, jeżeli biurokracja w jakimkolwiek jego zarządzeniu ujrzy, że „nie podołał“ swym obowiązkom. Z męża zaufania profesorów i głowy zgromadzenia uniwersyteckiego, rektor ma być odtąd wyposażonym w duże plenipotencje zwierzchnikiem uniwersytetu, a jednocześnie łatwo usuwalnym urzędnikiem ministerjum. Tego rodzaju rola posłusznego pionka nie licuje z powagą i znaczeniem szkół akademickich.

Tak samo w stosunku do młodzieży nowy projekt dąży do oddania wszystkich jej spraw, poza wykładami, w ręce ministerjum.

Zasada braku zaufania.

Nowy projekt ustawy akademickiej jest nawskroś prześiąknięty biurokratyczną zasadą wzajemnego braku zaufania: dąży do zepsucia dobrych stosunków między uczelniami a ministerjum, przez nowy system obioru rektora podkopuje zaufanie między rektorem a gronem profesorskim, dąży do wywołania rozdzwiewu pomiędzy profesorami przez wprowadzenie dwojakiej kategorii profesorów: wybranych, a mianowanych, niszczy kontakt młodzieży ze szkołą akademicką poza wykładami, stara się unicestwić tak drogą uczelniom wyższym ciągłość tradycji, pozbawiając starych, zasłużonych profesorów wszelkiego wpływu.

Mówią niektórzy, że są w tym projekcie niektóre dobre i słuszne rzeczy. Zgoda. Lecz wiemy przecież, że i łyżka dziegiu może zepsuć smak beczki miodu, a coś dopiero mówić, gdy, jak w tym projekcie, jest najwyżej łyżka dobrego, polskiego miodu w beczce obcego dziegiu.

Gdy przed laty marszałek Piłsudski, jako Naczelnik Państwa, wręczał uroczyście rektorowi i dziekanom odrodzonej stołecznej wszechnicy berła i łańcuchy, jako oznaki władzy i dostojęstwa, to nie była to przecież zabawa w maskaradę, lecz akt symboliczny potwierdzenia i gwarancji przez Głowę Państwa samorządu szkół akademickich, zgodnego z tradycją dawnych polskich uniwersytetów.

Pamiętam ówczesne przemówienie marszałka, który na pierwszym miejscu postawił obowiązek pracy naukowej i podniósł jej znaczenie dla państwa. Dziś każdy z nas, postawiony przez najwyższą władzę na pewnym odcinku nauki, czuje się, jak żołnierz na placówce, której wszystkimi siłami musi bronić od niebezpieczeństw, jakie jej grożą, a które, osłabiając powagę nauki, podważają i państwo.

Niechże nam nie mówią, że w tym nawskroś biurokratycznym, nieudolnym projekcie tkwi zdrowa myśl państwowa! Dąży on do osłabienia najważniejszego tworzywa, na którym opierają swój byt państwa i narody, do osłabienia tętna nauki polskiej.

Mówił raz marszałek Piłsudski, że, dobierając sobie pomocników, rzuca ich odrazu na głęboką wodę i patrzy, czy dadzą sobie radę. Los tego rzuconego na głębie spraw akademickich projektu, który spotkał się z powszechnym sprzeciwem najpoważniejszych kół naukowych, przypomina z anegdotki ukraińskiej los tonącego chłopca, do którego stojący na brzegu stawu sąsiedzi wołali: „Nie męczcie się, kumie! nie traćcie sił po próżnicy! Idźcie prędzej na dno!”

FRANCISZEK BUJAK,

profesor Uniwersytetu Jana Kaz. we Lwowie,
prezes Polskiego Tow. Historycznego,
członek czynny Polskiej Akademii Umiejętności.

W SPRAWIE REFORMY SZKÓŁ AKADEMICKICH.

Stoję zdala od polityki, nie biorę nawet i nie brałem nigdy bezpośredniego udziału w zarządzie Uniwersytetu, którego jestem członkiem, patrzę więc na zagadnienie zamierzonej i rozpoczętej już reformy szkół akademickich z perspektywy dalszej, niżbym może powinien. Nie brałem udziału w tworzeniu dotychczasowych ustaw i rozporządzeń o szkołach akademickich, ani nawet nie przyczyniłem się do powstania statutu Uniwersytetu Lwowskiego. Zachowuję wobec nich obiektywność i uznaję potrzebę pewnych zmian, uważam jednak za swój obowiązek zabrać głos, gdy przygotowuje się przewrót w tej dziedzinie.

Pozostawiając obronę autonomii i samorządu szkół akademickich konferencji rektorów tychże szkół, do których wobec ich jednomyślności mam pełne zaufanie, oraz profesorom szkół akademickich, dość licznie jeszcze reprezentowanym w ciałach ustawodawczych, zwłaszcza tym z nich, którzy potrafią się wyzwolić z uprzedzeń i nakazów partyjnych, ograniczę się do kilku uwag ogólniejszych o projekcie ustawy o szkołach akademickich.

Już przy pierwszym czytaniu projektu zwróciło moją uwagę ciągle powtarzanie się wyrazów: „Minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego“. W 54 artykułach właściwego projektu (potem idzie jeszcze 12 artykułów postanowień przejściowych i końcowych) powraca Minister W. R. i O. P. 82 razy, a są artykuły, w których ten termin użyty jest 4 razy, taki np. jest art. 51, dotyczący odpowiedzialności dy-

scyplinarnej studentów. Minister ustala, określa, zatwierdza, wyznacza, zarządza, żąda i t. d., wszystko niemal od niego zależy bezpośrednio lub pośrednio.

Wobec tej wszechmocy i wszechobecności ministra z autonomji szkół akademickich nie pozostały nawet nikłe pozory. Statut każdej uczelni wyższej nie tylko państwowej, ale nawet prywatnej, uchwalony przez ogólne zebranie profesorów w ramach projektowanej ustawy i zatwierdzony przez ministra, może być następnie przez tegoż ministra z własnej jego inicjatywy zmieniony, przyczem, rzecz charakterystyczna, minister nie potrzebuje się już krępować samą ustawą, bo niema o tem wzmianki (art. 2, p. 4). Można wprawdzie podnieść, że również i statut nadany przez Ministra musi określać ustrój Szkoły Akademickiej „w ramach i rozwinieciu zasad ustawą niniejszą ustalonych“ (p. 3, art. 2), ale to istoty rzeczy nie zmienia, bo przecież zasadą naczelną i myślą przewodnią projektu jest wola Ministra; co do nielicznych stosunkowo punktów, których projekt nie pozostawia dezyzji Ministra, są to przecież tylko zasady, które mają być „rozwijane“ w statutach. Minister może przedewszystkiem nie zatwierdzić statutu, w którym Szkoła próbowałaby „rozвивać zasady“, niezgodne z jego poglądami; może następnie rozwijać je po swojemu, według własnego zdania o potrzebach nauki i państwa. Projekt niniejszy, po wejściu w życie jako ustawa, usuwa zatem sprawy szkół akademickich z pod kompetencji sejmku, oddając ich regulowanie wyłącznie rozporządzeniom ministerjalnym. To udzielenie Ministrowi pełnomocnictwa na dowolne przekształcanie stosunków prawnych szkół akademickich jest niewątpliwie jednym z najbardziej dowcipnych kurjozów prawniczych.

Obok rzeczownika „Minister“, rzuca się w oczy jako najczęstszy i najbardziej charakterystyczny w projekcie czasownik: „ustala“, „ustalony“, który powtarza się około 30 razy. Z dosłownego brzmienia odpowiednich ustępów wynika, że częstotliwa forma tego czasownika oznacza nie „ustalanie“, ale raczej „zmienianie“. Minister może ustalać każdą ze spraw tyle razy, ile razy zajdzie potrzeba; o tem zaś, kiedy ta potrzeba zajdzie i w jakim kierunku, będą oczywiście rozstrzygały o tem względy bieżącej polityki rządowej. Sprawy szkół

akademickich znajdują się, po wejściu w życie tej ustawy, na huśtawce politycznej. Huśtawka, jak wiadomo, przyprawia ludzi bardzo często o ból głowy i chorobę morską, która ubezwładnia. Przyszłość okaże, jak dalece ubezwładniać będzie ta ustawa naukę polską.

Nasuwa się pytanie, czy tej opieki Ministra nad szkołami akademickimi nie jest przypadkiem nieco za wiele i to nie tylko dla szkół, ale i dla samego Ministra, bo tyle drobiazgowego zatrudnienia i codziennego kłopotu może mu odejmować zdolność obejmowania całokształtu spraw nauki i szkół wyższych; zajęty drzewami, może nie widzieć lasu.

Podobnie, jak autonomję, usuwa projekt także całkowicie samorząd szkół akademickich. Według art. 9 organem rektora w zakresie jego funkcji administracyjnych ma być sekretarjat, łączący w sobie wszystkie biura z kierownikiem sekretariatu na czele, organizację zaś tego sekretariatu ustala minister. Pojęcie ustalania oznacza tu niewątpliwie odsunięcie rektora i senatu od wpływu na dobór całego aparatu administracyjnego szkoły, nigdzie bowiem niema wzmianki o ich prawach pod tym względem. W tych krótkich słowach „organizację sekretariatu ustala Minister W. R. i O. P.” oraz w rozporządzeniu o stosunkach służbowych profesorów, wydanem 27. X b. r., mieszczą się najistotniejsze punkty programu w stosunku do szkół akademickich. Tu ukryto i owego „rzecznika” dyscyplinarnych spraw studentów, który w poprzednich redakcjach projektu podobno figurował, i „biuro personalne”.

W założeniu swoim projekt jest *ustawą ramową*, mnie się jednak zdaje, że daleko odpowiedniej byłoby go nazwać *ustawą idealną*, t. j. taką ustawą, która w rzeczywistości nie ma istnieć. Istnieć ma tylko porządek administracyjny, znany nam zresztą skądinąd.

Łatwo sobie wyobrazić, jak będzie wyglądał rektor, choćby nawet wybierany na 3 lata, jako zwierzchnik tego kierownika sekretariatu i wszystkich urzędników tegoż sekretariatu, aż do woźnych włącznie, na których dobór ani on, ani senat nie będzie miał wpływu.

Jeżeli rektor ma być mężem zaufania Pana Prezydenta Rzplitej, tedy kierownik sekretariatu, a może i naczelnicy poszczególnych oddziałów administracji Szkoły Akademickiej

będą się uważali za mężów zaufania p. Ministra i stosunek swój do rektora będą wzorowali na stosunku Ministra do Prezydenta Rzplitej, z tą tylko różnicą, że rektor nie będzie mógł dać im dymisji.

Intencje zainicjonowanej obecnie reformy szkół akademickich są absolutnie jasne, ma ona zmienić do gruntu, poprostu „przenicować” nasze stosunki w tej dziedzinie. Muszę się ograniczyć do tego ogólnego scharakteryzowania projektu, bo nie mam miejsca na bardziej szczegółowe omawianie go, zrobią to zresztą inni, bardziej odemnie powołani i ukwalifikowani.

I najlepsza ustawa może zawieść nadzieje, jeżeli nie znajdzie dobrych wykonawców, a naodwrot złą ustawa może być unieszkodliwiona przez rozumnych wykonawców, o ustawach bowiem decydują zawsze ludzie, którzy je wykonują. Ludzie i systemy mijają; to prawda, ale czy w naszym przypadku możemy się tem pocieszać i cierpliwie czekać, licząc na to, że wkrótce się okaże szkodliwość tej ustawy dla kultury narodowej i dla interesów państwa? Mam przekonanie, że ustawa ta, gdyby nabrała mocy prawnej, mogłaby trwać długo, może nawet przetrwać dzisiejszy system, ponieważ jest to poprostu idealna ustawa, oddająca w ręce administracji ustrój i funkcjonowanie szkół akademickich do swobodnej każdej chwili decyzji. Takiej ustawy nie będzie się chciał wyrzec żaden następny rząd, bo stanowić będzie w jego ręku równie dogodny instrument, jak w ręku rządu obecnego.

Jeżeli istotnie rząd chce przeprowadzić tę reformę, to ją bezwątpienia przeprowadzi w Sejmie i w Senacie, bo do tego wystarczy rozkaz. Projekt spotkał się wprawdzie z jednomyślnym oporem Konferencji Rektorów, ale otrzymał aprobatę Rady Oświecenia Publicznego. Co prawda, opinia tego ciała, powołanego ad hoc do życia i złożonego z osób zamiarowanych, jest właściwie opinią samego Ministerstwa a nie społeczeństwa, ale z tem musi sobie już poradzić prasa rządowa.

Choć rząd może omawiany projekt uczynić ustawą, to jednak powinienby może zastanowić się, czy to „upaństwowienie” państwowych szkół akademickich jest pożyteczne, czy się opłaci, biorąc rzecz z punktu widzenia wyrachowania

politycznego. Projekt niniejszy nie liczy się z naszą tradycją historyczną, sięgającą średnich wieków, ani wspólną tradycją europejską. Ale autonomia uniwersytetów i szkół akademickich nie jest tylko szacownym zabytkiem przeszłości, ona potrzebna jest profesorom i studentom jako naturalny żywioł, w którym pomyślnie rozwija się kultura naukowa. Ona potrzebna jest także Narodowi i Państwu, bo one muszą mieć obok tych, co mają wolę i władzę rozkazywania, także i tych, którzy reprezentują myśl i sumienie. W czasie, gdy obecny kryzys coraz wyraźniej okazuje się kryzysem kultury europejskiej, może nie jest wskazane usuwać w Polsce jedną z podstaw tej kultury. Ja osobiście mam przekonanie, że, patrząc na całość tych spraw nietylko sub specie aeternitatis, ale także sub specie humanitatis et status, przeprowadzaną obecnie reformę szkół akademickich należy uznać za szkodliwą.

MAKSYMILJAN T. HUBER,
profesor Politechniki Warszawskiej,
b. profesor i b. Rektor Politechniki Lwowskiej,
b. prezes Akademii Nauk Technicznych,
członek korespondent Polskiej Akademii Umiejętności.

NA MARGINESIE PROJEKTU NOWEJ USTAWY SZKÓŁ AKADEMICKICH.

Już w zaraniu każdej tworzącej się kultury oceniały społeczeństwa potęgę wiedzy. Posługiwała się nią umiejętnie kasta kapłańska w starym Egipcie, strzegąc zazdrośnie zdobytych tajemnic naukowych przed resztą narodu. Umieeli ją wyzyskać w starożytności twórcy państw wielkich i zdobywcy, którzy otaczali szczególną opieką wybitnych przedstawicieli wiedzy czystej i stosowanej, czyli, jak mówimy teraz krótko: nauki i techniki. Nie troszczyło się zrazu o potęgę nauki duchowieństwo średniowiecznej Europy, ponieważ wybujały fanatyzm religijny ludów dawał mu i bez tego władzę ogromną. Wtedy powstały pierwsze korporacje uczonych, zawiązki przyszłych uniwersytetów i dzisiejszych szkół akademickich różnego typu. Korporacje takie w krajach, przodujących rozwojowi kultury europejskiej, pozyskały opiekę panujących i, w miarę swego znaczenia, przywileje samorządu, zagwarantowane przez władze świeckie i duchowne.

Korporacje te, w wieku XI i XII jeszcze oddzielne dla nauk prawa, medycyny i teologii, łączą się w wieku XIII w „*Universitas*“, popadając jednocześnie w zależność od episkopatu. Może się to dzisiaj wydawać dziwnem, że wydział filozoficzny, stanowiący kręgosłup naukowy uniwersytetów współczesnych, powstał w formie obecnej dopiero znacznie później. Najstarsze zatem są wydziały (dawne szkoły, kolegia), z których dwa, wyrażając się terminologią nowoczesną (choć może nie

używaną jeszcze powszechnie), są wydziałami technicznymi (prawo i medycyna), a trzeci, t. j. wydział teologiczny, wprowadza do dziedziny ducha ludzkiego uniezależnionej od nauki we współczesnym tego słowa znaczeniu.¹

Rozrost wydziału filozoficznego, który musiał nastąpić dzięki ogromnemu rozwojowi nauk, zwłaszcza matematyczno-przyrodniczych i doprowadził w naszych czasach tu i ówdzie do podziału na wydział humanistyczny i matematyczno-przyrodniczy, wycisnął dopiero na uniwersytetach piętno instytutów pielęgnujących naukę czystą, oczywiście obok nauk stosowanych i teologii. Równolegle z wspaniałym rozkwitem nauk matematyczno-przyrodniczych, począwszy od XVIII stulecia rozwijała się i nowoczesna technika, przyczem te dziedziny umiejętności oddziaływały korzystnie na siebie nawzajem. To doprowadzić musiało w jednych krajach do otwarcia wydziałów lub studiów technicznych na istniejących uniwersytetach, w innych zaś do tworzenia politechnik i innych szkół akademickich, poświęconych naukom technicznym.

Godny uwagi jest fakt, że rządy, zakładające politechniki (np. w Niemczech i innych krajach Europy środkowej), godziły się odrazu na wzorowanie ich statutów na statutach uniwersyteckich, że zgadzały się zatem na tworzenie nowych korporacji uczonych-inżynierów. Widać stąd, że ustrój samorządowy, zabezpieczający najlepiej wolność nauki, został uznany (na podstawie wiekowych doświadczeń na uniwersytetach) za najodpowiedniejszy dla wszelkich szkół najwyższych. Rozkwit i sława politechnik środkowej Europy, oraz idący równolegle olbrzymi postęp techniczny jako też dobrobyt (do wojny

¹ Dla wyjaśnienia dodam, że za przykładem H. St. Chamberlaina stosuję wyraz „technika“ wogóle do wszystkich dziedzin wiedzy, stosowanej na korzyść materialną człowieka. Różne gałęzie techniki przemysłowej, rolniczej, górniczej i t. p. są oczywiście przynajmniej tak stare, jak prawo i medycyna, ale, wskutek odwiecznej instytucji niewolnictwa, na które zwalano pracę ręczną, były traktowane z uczuciem wyższości. To uczucie, zrozumiałe może jeszcze u osób, pracujących istotnie umysłowo, w odniesieniu do szarej rzeszy pracowników fizycznych nieukwalifikowanych, prowadziło jednakże zbyt często do śmiesznego patrzenia z góry (np. przepisywacza biurowego) na rzemieślnika pracującego umiejętnie narzędziem cięższem od pióra.

światowej) świadczą, że owe przewidywania były zupełnie słuszne.

Nad tem wszystkim przechodzi do porządku nowy projekt ustawy o szkołach akademickich, dążący do radykalnej reformy ustroju tych szkół i to reformy, przypominającej dawne zamachy rządów autokratycznych w różnych państwach, nigdy dotąd nie uwieńczone trwałym powodzeniem. Wszelkie instytucje społeczne i państwowe normują od wieków swoją działalność ustawami, opracowanymi tak, ażeby jaknajmniej pozostawiało pola do rządzenia niemi według zasady: „*Hoc volo, sic iubeo; sit pro ratione voluntas*“. Czytając projekt nowej ustawy, trudno oprzeć się wrażeniu, że autorom projektu chodziło właśnie o to, ażeby Minister W. R. i O. P. miał jaknajwiększą swobodę stosowania tej zasady. Nie potrzebuje wykazywać, czem to grozi dla naszego szkolnictwa akademickiego i całej nauki polskiej, gdyż uczynili to już szczegółowo liczni pp. Koledzy z pośród najzasłużeńszych i najbardziej doświadczonych.

Wierząc w najlepszą wolę ludzi, stojących obecnie u steru nawy państwowej, łatwo jednakże przewidzieć niebezpieczeństwa sparaliżowania normalnego życia szkół akademickich przy jakiegokolwiek zmianie rządu. Ale nawet nie sięgając myślą w przyszłość, widać, że projekt ustawy grozi doraźnem wstrzymaniem rozwoju najgłówniejszych ognisk naukowych, jakimi są nasze szkoły akademickie. Rozwój ten zaznaczył się już pięknie w ciągu minionego okresu działania ustawy o szkołach akademickich z roku 1920. Pomijając przypadki wyjątkowe, potwierdzające tylko regułę, wiemy dobrze, jak długą i uciążliwą jest droga młodego uczonego, prowadząca do objęcia stanowiska profesora wyższej uczelni, którego władza przełożona nie mogła przenosić lub usuwać przedwcześnie bez jego zgody. Nowy projekt, uprawniający Ministra do „tworzenia i zwijania wydziałów, oddziałów, studjów, katedr i zakładów“, nie jak dotąd na wniosek rady wydziałowej i senatu, lecz tylko „po wysłuchaniu opinii“ tych ciał akademickich, zdąża widocznie do zniesienia powyższych cennych przywilejów. Grożąca wskutek tego niepewność jutra wstrzyma niewątpliwie wielu kandydatów od obrania kariery naukowej i dopływ nowych sił, już teraz zbyt słaby, zmniejszy się katastrofalnie. Szczególnie niebezpiecznem byłoby to dla politechnik i innych szkół akademic-

kich podobnego typu, które muszą (podobnie, jak niektóre wydziały uniwersyteckie) obsadzać katedry wybitnymi specjalistami o doświadczeniu praktycznym. W warunkach dotychczasowych wakuje kilkanaście ważnych katedr w obu naszych politechnikach, niektóre od roku 1919, po części dlatego, ponieważ tędzy specjaliści są wynagradzani bezporównania lepiej na innych posterunkach. Urok niezależnego dotychczas stanowiska profesora szkoły akademickiej widocznie jeszcze nie wystarcza, ażeby poprzestać na dochodach skromniejszych, wzamian za obowiązek pracy naukowej i nauczycielskiej. W trosce o poziom naukowy naszych uczelni nie obsadzano dotychczas katedr siłami mniej wybitnymi, których znalazłoby się pod dostatkiem; oczekiwano poprawy stosunków. Widmo projektowanej nowej ustawy odbiera nietylko wszelką nadzieję poprawy, ale każe się obawiać trwałego obniżenia poziomu naukowego naszych uczelni akademickich każdego typu.

Nie chcę powtarzać druzgocących argumentów, które już widnieją na łamach artykułów w tej sprawie ogłoszonych, potępiających projekt nowej ustawy, ale nie mogę pominąć milczeniem faktu, że nie spotkałem w publicystyce żadnych głosów przemawiających za nim. Czy przytoczone zdanie Juvenala nie trafia w sedno rzeczy?

Chciałbym jednakże dotknąć sprawy jeszcze jednego z ciężkich błędów nowej ustawy. Tkwi on w wyraźnej tendencji do ujęcia w karby młodzieży szkół akademickich, niezależnie od władz szkolnych. Źródłem tej tendencji są zapewne zarzuty, czynione przez sfery rządowe, z okazji niedawnych zaburzeń młodzieży, że profesorowie nie potrafili swoim wpływem powstrzymać młodzieży od wybryków. Szkoda, że nie pamiętano przytem o perskiem przysłowiu: „nie kładź wiatru do klatki“. Historia poucza, że represjami administracyjnymi nikt jeszcze wichrów młodości nie osadził trwale w klatkach, choćby pozłaczanych.

Gdyby źródłem obfitości reform we współczesnej Polsce była istotnie tylko „radosna twórczość“ (niesłusznie przez niektórych ośmieszana), to z całą pewnością tempo opracowywania ich byłoby znacznie powolniejsze i troszczonoby się bezporównania więcej o opinię społeczeństwa. Nie gardzonoby w takim razie wzorami krajów o starej, wysokiej kulturze i nie

kierowanoby się jakgdyby wyłącznie ambicją, ażeby u nas było koniecznie całkiem inaczej. Ale też nie napotykanoby tego rodzaju trudności, jakie wynikły np. ze zbyt pośpiesznej reformy szkolnictwa niższego i średniego.

Niestety jednak, wydaje się zbyt często, że nasi reformatorowie są jakby zahipnotyzowani przelewającą się od lat kilkunastu powodzią reform u naszego sąsiada wschodniego, reform kierowanych umysłowością rosyjską, lekceważącą „zgniły zachód“, w myśl hasła „*ex Oriente lux*“. Rozmach i rozmiary olbrzymie jakiegokolwiek przedsięwzięcia, o nieznanym wynikach, zawsze imponują widzom, ale widzów doświadczonych pobudzają do krytycyzmu i ostrożności. Nie zamykając oczu na, nieliczne wprawdzie, realne wartości nowych reform w Z. S. R. R., łatwo dojrzeć w nich odrazu niesłuchanie rozpleciony zarazek biurokratyczny, przenoszony do nas coraz skuteczniej. Że korporatywnego ustroju i samorządu szkół akademickich rząd bolszewicki nie ścierpi, było do przewidzenia. Wszak wogóle pozbawił swoich obywateli największych dóbr człowieka, jakimi cieszy się każdy obywatel któregośkolwiek z państw demokratycznych zachodnio-europejskich. Mam na myśli: wolność osobistą, obejmującą i swobodę wyznania, niezależne sądownictwo i wolność nauki. Społeczeństwo ludzkie usiłowano ukształtować na wzór społeczeństw owadzych, np. gniazda mrówek, nie pomnąc, że w takich formach żywot, godny człowieka z gatunku *homo sapiens*, pędzą chyba jedynie „komisarze“.

EMIL GODLEWSKI,

profesor i dziekan wydziału medycznego Uniwersytetu Jagiellońskiego,
członek czynny Polskiej Akademii Umiejętności.

PROJEKT NOWEJ USTAWY AKADEMICKIEJ.

W biegu reorganizacyjnych prac naszego młodego państwa przyszła kolej na szkolnictwo wyższe. Dziedzina to niesłychanie trudna do organizowania, bo zespala główne źródło twórczości ducha ludzkiego, jakim jest naukowa działalność, z działalnością dydaktyczną przygotowywania polskiej młodzieży w warsztatach naukowych do naukowej i zawodowej pracy w różnych kierunkach. To też do racjonalnego przeprowadzenia takiej reorganizacji potrzebna jest współpraca projektodawców z ludźmi całkiem fachowymi, którzy znaczną część życia swego poświęcili pracy uniwersyteckiej.

Dnia 7 listopada 1932 r. Ministerjum W. R. i O. P. przesało senatom akademickim projekt nowej ustawy, przeznaczony im czas do 20 listopada na zapoznanie się z tym projektem, na przemyślenie go i danie swej opinii. Dwanaście dni ma wystarczyć na zbadanie projektu ustawy we wszystkich fakultetach i senacie, — projektu ustawy, która miałaby normować życie najwyższych uczelni naszego państwa, niestety, według intencji ministerjum, na dłuższy okres czasu! Czy 12 dni na to tak ważne zadanie nie za krótki czas?

Każdy, co już przez długi szereg lat pracował w uniwersytecie i zżył się z jego organizacją, odnosi po przestudjowaniu tego projektu ustawy przedewszystkiem wrażenie, że projektodawcy postanowili skończyć z wszelkiego rodzaju samorządem wyższych uczelni i to we wszystkich dziedzinach, zarówno w organizacji nauczania, jak z samorządem w sprawach stosunku do młodzieży akademickiej, jak wreszcie z sa-

morządem administracji i gospodarczym. Samorząd, zwany popularnie autonomją, zostaje w tej ustawie zupełnie zniszczony, nie ma prawa więcej istnieć. Pozostałe okruchy nie są nawet cieniem autonomji. Drugie wrażenie, które się odnosi, jest, że mamy do czynienia nie z ustawą, regulującą istotnie bieg postępowania władz akademickich, ich stosunek do władz centralnych państwowych, ich stosunek do młodzieży akademickiej, ale, że to jest zbiór plenipotencyj dla ministra W. R. i O. P., ograniczających najgruntowniej władze akademickie, pochodzące z wyboru w dotychczasowym znaczeniu tego słowa, t. j. z nieskrępowanego, niezależnego, swobodnego wyboru. Część plenipotencyj dana jest ministrowi w sposób określony, druga część to są plenipotencje *in blanco*, t. j. upoważnienie ministra do nadania ich sobie samemu w formie dowolnych rozporządzeń. Takich upoważnień *in blanco* daje projekt ustawy aż 24!

Przy dalszem studjowaniu projektu ustawy odnosi się wrażenie, że dzięki niej wytworzy się sytuacja, w której prądy polityczne reżimu państwowego będą się mogły odbijać na składzie i działalności uniwersytetu, a ustosunkowanie ciała nauczycielskiego do młodzieży ma być zależne od niewiadomych rozporządzeń ministra, któremu projekt ustawy ma nadać w tym kierunku szereg uprawnień.

Ograniczona rola uniwersytetu.

Powiedziałem, że projekt ustawy ogranicza t. zw. autonomję nauczania. Dotychczas cała inicjatywa i wykonywanie organizacji nauczania spoczywały w rękach ciał profesorskich. Do tworzenia wydziałów, studjów, katedr zasadniczo dawały inicjatywę i projekty uniwersytety, władze zaś centralne zatwierdzały lub dawały inicjatywę do zmian organizacyjnych, które wydziały lub senaty uniwersyteckie przeprowadzały: była więc ścisła współpraca władz rządowych i uniwersyteckich. Projekt obecnej ustawy (art. 2) ogranicza rolę uniwersytetu tylko do wydawania opinii; — a więc bez zgody uniwersytetu mogą być tworzone albo znoszone wydziały, studia i katedry. Rozporządzenie Prezydenta, wydane w ostatnich dniach października, dopuszcza przeniesienie danego profesora w stan nieczynny. Po upływie roku zostaje on zwolniony

zupełnie ze swego stanowiska. I oto mamy pierwszy krok w kierunku ograniczenia uniwersytetów w organizacji nauczania, bo gdy w uniwersytecie danym będą, mimo jego woli, zwijane katedry, czy całe wydziały, przenoszeni i zwalniani profesorowie, to nie może być mowy o samorządzie w nauczaniu.

Sprawa uzależnienia od zarządzeń ministra zwalniania profesora, to początek zbiurokratyzowania stanowisk profesor-skich, tak niezdrowego dla ich pracy naukowej i nauczyciel-skiej. Dotąd zwijanie katedr nieraz się odbywało i to było uprawnieniem rządu, ale miało to miejsce tylko po opróżnieniu katedry przez śmierć lub ustąpienie profesora. Obecnie na podstawie motywów, o których tylko minister decyduje, może być katedra zwinięta, profesor zwolniony, a potem, ewentualnie np. po roku, katedra na nowo otwarta i obsadzona kim innym. Taka usuwalność za rocznem wypowiedzeniem wprowadza profesorów w stan niepewności o jutro ich i ich rodzin, a to do spokoju, potrzebnego do działalności naukowej, nie może się przyczynić!

Nietylko usuwalność, ale i przenoszalność profesorów stanowi niebezpieczeństwo dla nauki polskiej. Przy dzisiejszym rozroście wiedzy większość uczonych pracuje w pewnym, ściśle określonym dziale swej naukowej gałęzi. W biegu swej pracy dostosowuje profesor do tego kierunku pracowników, asystentów, całą szkołę współpracujących z nim młodych kandydatów. Bibliotekę zakładu naukowego, czy seminarjum, zaopatruje on w dzieła, do tej pracy mu potrzebne. Biblioteka uniwersytecka pod wpływem tego profesora, i uwzględniając jego twórczy kierunek, również kompletuje w tym dziale czasopisma i książki. Powstaje więc środowisko pewne, specyficzne, wypracowane latami starań danego człowieka. Jakże to ma znaczenie doniosłe, tego dowodem może być szereg ludzi, którzy, mimo nieraz usilnych starań większych uniwersytetów, dawnego swego środowiska nie chcieli porzucić, czując, że znajdują się na dłuższy łańcuch lat w centrum czy atmosferze niedostosowanych do ich działalności.

Momenty twórczości naukowej są nieraz wysoce subtelne, a indywidualność ludzka jest bardzo różna, często jej plastyczność jest ograniczona a twardość paragrafów ustawy, która może w innych dziedzinach, np. wojskowej, dać przypuszczał-

nie dobre wyniki, doprowadzić może tu, w tym dziale, gdzie o twórczość naukową chodzi, do jej zabicia, zniszczenia, a przecie z tego nie pożytek, ale prawdziwa szkoda dla nauki wypłynie. Twierdzić, że ktokolwiek, choć na wysokim stanowisku hierarchji państwowej postawiony, określi lepiej, niż ci, którzy sami twórczo pracują, gdzie człowiek pracujący naukowo lepiej będzie się rozwijał — byłoby przecie rzeczą zbyt ryzykowną.

Stanowisko rektorów i senatów.

Jednym z istotnych przejawów samorządu uniwersyteckiego był swobodny wybór swych władz na podstawie wolnego, niczem nie skrepowanego głosowania. Dzisiejszy projekt ustawy rozszerza władzę rektorską, jeżeli jednak przez uchwałę ciał ustawodawczych stanie się on ustawą, to dziś urzędujący rektorzy będą ostatnią generacją tych, którzy zawdzięczają swą godność naprawdę wolnym wyborom. Jeżeli bowiem ministrowi przysługiwać ma nieograniczone prawo nieprzedstawienia do zatwierdzenia Prezydentowi Rzplitej, wybranego przez uniwersytet, rektora, jeżeli Prezydent Rzplitej ma prawo przed końcem kadencji „cofnąć mu zatwierdzenie“, t. zn. każdej chwili berło rektorskie odebrać elektowi uniwersytetu, to znaczy, że takie nowe pokolenie rektorów to będą rektorzy tak dobrze, jak z nominacji ministerjalnej. Władzę będą mieli niewątpliwie szerszą, bo ją zwiększono atrybucjami, odebranymi senatowi, ale autorytet mniejszy, bo w największej liczbie przypadków nie będą mieli, jak dotychczasowi rektorzy, poczucia zaufania ze strony tych, którymi mają rządzić. Przecie projekt ustawy przewiduje możliwość, że rektorem będzie ktoś, kto nie miał za sobą absolutnej większości głosów elektorów, jeżeli go tylko minister, po odrzuceniu pierwszego elekta, zatwierdził. Czy tak wybrany rektor będzie wśród ciał profesorskich otoczony tym szacunkiem i powagą, jakie mieli byli i mają dzisiejsi rektorowie?

Czy nie przyjdzie moment, że ten rektor, na którego np. padły dwa głosy, a został mimo tego rektorem (w myśl obecnego projektu jest to możliwe) poczuje się komisarzem rządowym, narzuconym ciału profesorskiemu, w którego skład mogą wchodzić najpoważniejsi uczeni?

Władzę senatu akademickiego, który był dotąd najwyższą władzą uniwersytetu, redukuje projekt ustawy tak, że zostają tylko okruchy dawnego znaczenia. Niewątpliwie pomyślano to tak dlatego, że na wybór senatu władze centralne nie będą miały takiego wpływu, jak na wybór rektora. To zmniejszanie władzy zbiorowej, złożonej z członków wszystkich fakultetów, uważać muszą wyższe uczelnie za szkodliwe dla powagi uniwersytetu, jako całości, i niewątpliwie, jako następstwa tego, ujawnią się tarcia między wydziałami albo nieporozumienia z rektorem.

Prawa profesorów.

Za bardzo ujemne dla życia akademickiego musimy uważać ograniczanie swobody uniwersytetów poszczególnych w dobieraniu sobie nowych sił profesorskich. Kompetencje każdego wydziału zostają w tym kierunku ograniczone przez zmianę dotychczasowej kompetencji innych uniwersytetów. Dotąd ankietą, prowadzona z innymi uniwersytetami, miała charakter informacyjno-doradczy dla rady wydziału, który obsadza katedrę. Dziś może ona być miarodajna wprost dla ministra co do nominacji profesora. Do tego dołączone jest zastrzeżenie, że raz odrzucony przez ministra kandydat nie może być powtórnie przedstawiony. Jeżeli władze będą tego przestrzegały, to raz odrzucony kandydat, choćby kolosalnie powiększył swój dorobek naukowy w dalszym biegu swego życia, byłby zawsze stracony dla uniwersytetów. Byłaby to krzywda dla tego, któremu w ten sposób złamano życie i dla uniwersytetu, który go może wychował, przygotował sobie, a traci go, bo nie odpowiada poglądom ministra.

Usunięcie od możliwości dalszego ochotniczego wykładania profesorów-emerytów, ograniczenie do 65-go roku życia prawa wykładu docentów, odbieranie tytułu tytularnym profesorom, gdy dojdą do 65 roku życia — ludziom, którzy nieraz za długoletnią swą pracę naukową żadnej innej nie mieli nagrody — to wszystko uważamy za niepotrzebne przykrości, robione uniwersytetom i uczonym. Tyle lat patrzę na pracę uniwersytetów, a nie przypominam sobie żadnego przypadku, w którym dla wyższej uczelni wynikła stąd szkoda, że profesor-emeryt wykłada obok swego świeżo nominowanego następcy,

albo, że wykłada docent, który np. ma lat 67, a tem samem większe jeszcze doświadczenie naukowe.

Ubezważnienie.

Dotychczasowemi statutami miał każdy uniwersytet zagwarantowaną osobowość prawną w zakresie swojej własności prywatnej. Obecny projekt traktuje uniwersytet tak, jak bezwłasnowolnych, będących pod kuratelą. Nie wolno im niczego kupić, niczego sprzedać, ani zaciągnąć długów, ani przyjąć daru, z którym związane są jakiekolwiek zobowiązania, — na to wszystko trzeba pozwolenia ministerjum.

Ograniczenie uprawnień w stosunku do młodzieży akademickiej.

Stosunki między władzami uniwersyteckimi a młodzieżą mają w myśl projektów ministerjalnych ulec radykalnym zmianom w kierunku ograniczenia kompetencji uniwersytetów. Ministerstwo zamierza odebrać władzom wyższych uczelni szereg uprawnień, które im dotąd przysługiwały w normowaniu stosunków stowarzyszeniowych młodzieży oraz środków utrzymania dyscypliny.

Jeden z artykułów (53) zastrzega dla ministra prawo układania statutów ramowych dla stowarzyszeń akademickich, normowania nadzoru nad nimi, odpowiedzialności władz stowarzyszeniowych i t. d. Atrybucje te przysługiwały dotąd senatom akademickim, a ingerencja czynników ministerjalnych do tych spraw musi rozluźnić związek między zrzeszeniami studentekimi a władzami szkół wyższych.

Dalej przewiduje projekt stworzenie dwóch typów komisji dyscyplinarnych, z których jedna ma być zorganizowana przez senat uniwersytecki, druga nominowana przez ministra. Ta ostatnia jest instancją odwoławczą. Tworzenie dwóch instancji komisji dyscyplinarnych musi stworzyć pewien chaos w jurysdykcji akademickiej a odwoływanie się młodzieży od wyroków senatu do decyzji ministerstwa nie przyczyni się do utrzymania autorytetu władz akademickich. Pozatem ma minister prawo zmniejszyć karę, nałożoną studentom. To postanowienie jest dla władz uniwersyteckich ubliżające, a w decyzję o losach za-

sądanego studenta wprowadza momenty, które nie powinny tu wchodzić w rachubę. Jakież to mogą być motywy, które będą ministra skłaniać do darowania kary, motywy, którychby widocznie nie mógł wyczuć i uwzględnić rektor, senat i dyscyplinarna komisja? Mnie się wydaje, że to tylko obliczone jest na polityczne przesłanki, a one nie powinny wchodzić w grę w uniwersyteckich stosunkach, bo to może być podstawą niekaralności dla pewnej części młodzieży. Dla godności uniwersytetu jest ten punkt wysoce szkodliwy.

Wogóle z całej osnowy przepisów dyscyplinarnych widnieje chęć przesunięcia władzy nad młodzieżą uniwersytecką poza uniwersytet, tak jakby rektorzy, dziekani i profesorowie nie mogli sobie w obecnych czasach polskich dać rady z polską młodzieżą. Jeżeli tak było, to albo winni są profesorowie, którzy są dziś za słabi wobec młodzieży i wpływu na nią nie mają, albo może młodzież jest obecnie szczególnie niedobra, nieuczciwa, jak się to dziś wyraża „zdziczała“.

Co do profesorów, jako przewodników młodzieży, toż przecie to są po większej części ci sami ludzie, którzy i dawniej w uniwersytetach pracowali, albo ich wychowawcy. Co do zarzutu zdziczenia młodzieży, to, będąc kilkadziesiąt lat profesorem, a dawniej uczniem Jagiellońskiego Uniwersytetu, nie mogę się dopatrzyć jakichś wybitnych zmian w zachowaniu się młodzieży. Zdarzają się czasem ubolewania godne wybryki, ale one były zawsze i miały podobny charakter. Wszyscy starsi profesorowie pamiętamy rozruchy w Uniwersytecie Jagiellońskim, lwowskim i w Politechnice w sprawie Wahrunda, potem Zimmermanna, gdy niewątpliwie popełniane były gwałty, rwania wykładów, demolowanie audytorjów, pamiętamy wielokrotnie rozruchy antysemickie, walki Polaków z Rusinami, w czeskich uniwersytetach starcia Niemców z Czechami, nie mówiąc o wielu zajściach personalnych i strajkach studenckich. Ówczesni aktorowie tych rozruchów są dziś statecznymi obywatelami, profesorami, i t. d. Jeżeli może teraz wpadają więcej w oczy ekscesy studenckie, to pochodzi to przede wszystkim stąd, że, gdy dawniej było kilka tysięcy akademików w trzech polskich wyższych uczelniach, to dziś jest w jedenastu szkołach wyższych około pięćdziesięciu tysięcy akademików. W wielkich zbiorowiskach ludzkich znajdzie się zawsze pewna

liczba ludzi złych, nieraz niegodziwych, ale uogólnianie ich czynów na ogół młodzieży akademickiej jest dla niej i dla uniwersytetów krzywdzące. A przecież pamiętać trzeba, że niejednokrotnie wielkiego rozgłosu nabiera sprawa, która jest dziełem zaledwie kilku ludzi.

Pozatem, pamiętać musimy, że dziś i starsze pokolenie, może właśnie dlatego, że przeszło przez wojnę lub ciężkie czasy wojenne, nie zawsze daje młodzieży budujący przykład swoim postępowaniem i kolizjami z praworządnością.

Że policyjne ujęcie młodzieży, do czego zdaje się zdążać ustawa, która z rąk uniwersyteckich chce odebrać władzę dyscyplinarną nad studentami szkół wyższych, nie doprowadzi do rezultatów, którychby sobie projektodawcy życzyli — to wydaje mi się zupełnie pewne. Ustawicznym scysjom między młodzieżą a policją nie będzie końca, co też nie leży w interesie autorytetu państwa. Nasza polska młodzież z pod zaboru rosyjskiego dała dowód, że wszystkie policyjne represje nie wykorzeniły z niej na szczęście tego, co wykorzenić chciały.

Ale i pod austriackim zaborem zdarzały się także bezowocne próby takich metod. Przypominam sobie rozruchy w szkole czernichowskiej, zostającej pod zarządem ówczesnego Wydziału krajowego. Chciano je tłumić żandarmami, których oddział sprowadzono do Czernichowa, masowymi relegacjami i t. d. Wówczas napisał (w C z a s i e w r. 1898) mój śp. Ojciec, długoletni profesor szkół rolniczych w Dublanach i Uniwersytecie Jagiellońskim, artykuł, przestrzegający władze przed używaniem takich metod, artykuł, kończący się słowami: „muszę powiedzieć z najgłębszego przekonania, że do zamierzonej sanacji nie tędy droga“.

Zdaje mi się, że ten głos człowieka, który brał udział w wychowywaniu 40 roczników młodzieży polskiej, ze wszystkich trzech zaborów — ten głos z za grobu wywołany — powinien zwrócić uwagę tych, którzy chcą w ten sposób w wolnej Polsce normować stosunki wśród młodzieży uniwersyteckiej; środki policyjne nie wiele pomogą a może wiele znieprawia.

Wymownym dowodem dążności ograniczania kompetencji profesorów w sprawach młodzieży, jest projekt ustawy o stypendjach, obecnie rozpatrywany przez ciała ustawodawcze. O nadawaniu stypendjów dotychczas decydowały senaty aka-

demickie, na podstawie wniosków rad wydziałowych. Jeżeli obecnie decydować ma o jednej piątej stypendjów wyłącznie minister, a rozdawnictwo reszty, pozostawionej uniwersytetowi, ma podlegać zatwierdzeniu ministra, to jest to nietylko uszczupleniem kompetencji władz uniwersyteckich. Nie może nie nasuwać się też pytanie, na jakich motywach oparta będzie decyzja ministra np. co do rozdania 20% funduszu stypendyjnego i dlaczego ma decyzja senatu wymagać aprobaty ministra. Przecie ani o zdolnościach, ani o pilności, ani o sytuacji materialnej studentów, nie może być minister lepiej poinformowany, aniżeli profesorowie, dziekani lub senat akademicki. A więc chodzi tylko o polityczne momenty. W tych warunkach rozstrzyganie odbywać się ma na podstawie informacji pochodzących z poza instytucji, która może jedyna mieć dane co do naukowej wartości kandydata.

Ale takie normowanie rozdawnictwa stypendjów jest dla ich efektywności niezmiernie niebezpieczne; o tę efektywność zaś musi chodzić, bo stypendja rozdawane są z państwowych funduszy a ich celem jest naukowy rozwój kandydatów i polskiej nauki. A teraz pomyślmy, że każdy rząd będzie korzystał z upelnomocnienia i możliwości obdarzania stypendjami młodzieży właśnie z jego stronnictwa. Jaki stąd może powstać chaos, jak nieobliczalne szkody mogą i muszą wyniknąć dla nauki!

A nadto widzę w tem niebezpieczeństwo dla moralnego zdrowia młodzieży. Jednostki słabsze, albo będą za pieniądze stypendyjne zmieniać swoje przekonania, albo będą przyznawać się do przekonań, których nie mają. Nie wiem co gorsze. Kupowanie przekonań, albo wallenrodyzm za pieniądze muszą mieć wprost fatalny wpływ na kształtowanie charakterów przyszłych obywateli państwa, muszą być czynnikiem znieprawiania młodego pokolenia.

Tradycje samorządu uniwersytetów.

Jak widzieliśmy z powyższych uwag, samorząd uniwersytetów ma zostać zupełnie obalony. Nie pozostanie z niego nic. Uniwersytety mają się zamienić na zwykłe urzędy, młodzież zostanie w znacznym stopniu wyjęta z pod wpływów profesorów, a poddana władzom policyjnym lub częścią bez-

pośrednio ministerstwu. Należy się obawiać dalszych zaostrzeń sytuacji. Trudno przecie przypuścić, aby 24 pełnomocnictw, które przewiduje projekt ustawy, nie poprowadziło rozporządzeń specjalnych ministra po tej samej linii.

Obecnie reprezentacje wszystkich wyższych uczelni są jednomyślnie zgodne w tem, że projektowana reforma jest dla życia ich szkodliwa. Jestem przekonany, że zbiorowe ciała naukowe także tego projektu nie poprą. Dotychczas ani jeden senat akademicki żadnego uniwersytetu ani politechniki nie oświadczył przez usta swego rektora, że projekt ten odpowiada jego życzeniom. A więc dlaczego ma to być narzucone wyższym uczelniom wbrew ich woli, przeciw ich opinii, opartej na tyloletniem doświadczeniu, i ze szkodą dla całej ich działalności?

Samorząd uniwersytecki opierał się na długowiecznej tradycji, wywodzącej się od Władysława Jagiełły. W czasie naszej niewoli uniwersytety, wyposażone w ten samorząd, były przecie twierdzami polskości. Tu także pracą naukową polscy uczeni zjednywali sławę dla polskiego imienia, stąd na całą Polskę i Litwę promieniowała wiedza i kultura, tu zjeżdżali się młodzi, żeby zdobywać wiedzę ogólną i zawodową. Uniwersytety polskie w Krakowie i Lwowie skupiały polską młodzież, gromadzącą się w polskich naszych uniwersytetach nieraz z terenów od Wileńszczyzny, aż po Karpaty. Liczni młodzi doktorzy opuszczali swoją uczelnię, jako doskonali fachowcy, którzy w życiu zdobywali ogólne uznanie, a dla naszych uniwersytetów byli i są dotąd prawdziwą chlubą. Owa „autonomja“, którą uniwersytety miały, nietylko więc nic im nie szkodziła, ale przeciwnie, dzięki niej, miały one możność rozwijania swej działalności, dawania pola i środków dla rozwoju indywidualności naukowej i ludzkiej, a także mogły żyć tak, jak im dyktowało narodowe ich sumienie, miłość pracy naukowej i młodzieży polskiej.

Dzięki swemu samorządowi, uniwersytety, pracujące na terenie zostającym pod rządami austriackimi, mogły sprowadzać na katedry Uniwersytetu Jagiell. ludzi ze wszystkich zaborów. Ludzie tej miary, co Cybulski, Malinowski, Morawski, Janczewski, Rostafiński, Zaremba, Natanson, Kostanecki, Chrzanowski, Marchlewski, Zdziechowski, Dembiński, Pawlicki,

Rudzki, Rydygier, Wicherkiewicz, Ulanowski i wielu innych, nie pracowaliby na katedrach naszego uniwersytetu, gdyby polskie uniwersytety nie miały samorządu uniwersyteckiego.

Czy się co stało, co wymaga zmian w tym kierunku za czasów, gdy się skończyła niewola, gdy zaczęliśmy czuć, że mamy opiekę naszego państwa? że mamy polskie uniwersytety w Polsce? Z władzami centralnymi i resortem ich oświatowym żyliśmy w najlepszych stosunkach, aż do ostatnich czasów. Nie było przez okres ten w żadnym uniwersytecie żadnego rektora, któremu by którykolwiek minister oświaty mógł sprawiedliwie zarzucić, że utrudniał przewidzianą w ustawie kontrolę lub starał się obniżyć jego autorytet. Czy może nominacje profesorów wypadną lepiej, gdy wybór ich będzie w wyższym stopniu zależny od ministra? Wydaje mi się to więcej niż wątpliwe. Jeżeli może są tu gdzieś niedociągnięcia, to one płyną nie ze złej woli grom profesorów, nie z osobistych pobudek lub politycznych motywów, ale z braku ludzi u nas, bo nie do wszystkich gałęzi wiedzy mamy dotąd przedstawicieli prawdziwie twórczo uzdolnionych. Ale ograniczenie autonomii na to nie pomoże nic.

Niesłuszny zarzut.

W wywiadzie, opublikowanym w pismach, powiedzieć miał pan minister, że profesorowie lubią sobie wyobrażać, że jedynie oni reprezentują interesy nauki. Nie przypuszczam, żeby tak było u ogółu profesorów, bo przecie wiedzą dobrze, że poza uniwersyteckimi katedrami są ludzie o wysokim poziomie naukowym i najlepszym zrozumieniu nauki. Iluż takich ludzi zasiada obok nas w Akademii Umiejętności lub w innych towarzystwach naukowych. Iluż to ludzi w Polsce w zaborze rosyjskim, w którym nie było polskiego uniwersytetu od zamknięcia Szkoły Głównej, tak niezmiernie zasłużyło się dla nauki, czy to własną naukową pracą twórczą, czy pracą organizacyjną, wydawniczą i t. d.

Czy np. jubileusz tegoroczny Kasy im. Mianowskiego nie był wyrazem uznania i czci ze strony uczonych dla tych, którzy przez lat 50 pracowali z prawdziwym zrozumieniem nauki dla jej dobra, dla jej rozwoju, dla zwiększenia liczby ludzi, wzbogacających twórczością swego ducha dorobek polskiej nauki.

W swem głębokiem przemówieniu dał temu wyraz prof. Kostanecki, prezes polskiej Akademii Umiejętności, a zarazem senior profesorów wydziału lekarskiego Un. Jag. A nadanie przez uniwersytet warszawski doktoratu honorowego, tego najwyższego odznaczenia, na jakie stać wyższą uczelnię, p. Stanisławowi Michalskiemu, tak niezmiernie zasłużonemu pracownikowi w usługach organizacji nauki, choć nigdy nie był profesorem, czy nie było wyrazem uznania jego zasług przez uniwersytet stolicy? Takich przykładów dałoby się wyliczyć bardzo wiele. To też takie twierdzenie, uogólniające może całkiem wyjątkowe pojęcia niektórych ludzi, nie jest sprawiedliwym zarzutem pana ministra pod adresem wszystkich profesorów. Ale zdaje mi się, że nie będzie zarozumiałością ze strony profesorów uniwersytetu, gdy twierdzić będą, że np. ci, którzy kilkanaście lub kilkadziesiąt lat pracy swego życia w uniwersytecie mają za sobą, mają w tym kierunku takie doświadczenie, z którego przy reorganizacji uniwersytetów wartoby skorzystać i którego lepiej byłoby nie lekceważyć.

Profesorowie boją się tej ustawy

A to właśnie doświadczenie każe nam przyznać rację twierdzeniu pana ministra, podanemu w jego wywiadzie, że profesorowie boją się tej nowej ustawy. Tak jest, przynajmniej większość profesorów uważa ją, na podstawie doświadczenia, zyskanego w biegu ich życia i ich uniwersyteckiej pracy, za grożące nauce i uniwersytetom niebezpieczeństwo. Zmniejszenie autonomii fachowych czynników w sprawach uniwersytetów uważamy za niesłychanie ryzykowny krok, wykonany na zbyt wrażliwym materiale. Przewidujemy nie, jak pan minister, szarmonizowanie pracy ministerjum z pracą czynników akademickich, nie niwelację antagonizmów, ale wytworzenie pewnych tarć, których dotąd nie było, przewidujemy tarcia wewnętrzne z narzuconymi nam rektorami lub, wbrew woli wydziałów, narzuconymi nowymi członkami grom profesorów, a wreszcie wyczuwamy wprowadzenie politycznych haseł do uniwersytetu, które atmosferę naukową będą mąciły, przewidujemy wprowadzenie kategorii profesorów popieranych i niepopieranych przez władzę. Na osobniki słabsze mogą te wyróżnienia oddziaływać

fatalnie, a w wyższych uczelniach stwarzać się będzie atmosfera niedobra, gdy się wyrodzi uczucie, że nie tylko nauka, ale i czynniki polityczne odgrywać mogą rolę. Czy to jest dla nauki zdrowe?

A jeżeli przy zastosowaniu artykułu 2 zacząć się usuwania, przenoszenia sił nauczycielskich, jeżeli, przy częstych w Polsce zmianach na naczelnem stanowisku ministerjalnem, za każdym razem dobierać się będzie „jednolicie skoordynowany personel profesorski“, a usuwać się będzie dostosowanych do poglądów poprzedniego ministra profesorów, to takie ukształtowanie stosunków nie wyjdzie na dobre polskiej nauce, utrudni nauczanie, a obniżenie wpływu uniwersytetu na młodzież i zmniejszenie powagi uniwersytetów w kraju nie powiększy autorytetu państwa, ani wobec młodzieży, ani w społeczeństwie, ani poza granicami Polski.

W trosce o dobro wyższych uczelni polskich, z którymi związana jest duchowa przyszłość naszej Ojczyzny, przestrzegamy tych, od których decyzji zależy wniesienie i uchwalenie tej ustawy, przed grożącym niebezpieczeństwem.

KS. JÓZEF ARCHUTOWSKI,
profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego,

SPRAWY AKADEMICKIE.

Projekt nowej ustawy o Uniwersytetach w Polsce spotkał się z jednomyślną krytyką tych wszystkich, którzy nie tylko są zainteresowani, ale też są najbardziej kompetentni i posiadają w tych sprawach długie doświadczenie. Negatywne stanowisko względem niego zajęli jednomyślnie wszyscy PP. Rektorowie naszych wyższych uczelni, gdy już we wrześniu P. Minister Oświaty przedstawił im wytyczne zasady nowej ustawy; negatywnie też wypowiedziały się wszystkie Rady Wydziałowe i Senaty Akademickie, gdy Ministerstwo w połowie listopada przysłało im gotowy już projekt nowej ustawy do opinii. Wreszcie, w ostatnim czasie, na szpaltach wielu pism codziennych zabiera głos wielu profesorów, najbardziej poważnych i dla nauki wielce zasłużonych, którzy w serdecznej trosce o dobro, wielkość i wolność polskiej nauki rzeczowemi dowodami wykazują, że proponowana ustawa jest dla nauki polskiej szkodliwa, że wniesie do warsztatów ich pracy zamęt i rozstrój, że spowodzi dla całego państwa fatalne następstwa.

Ten jednomyślny głos najwyższych przedstawicieli i ciał zbiorowych naszych Uniwersytetów jest nadzwyczaj wymownem świadectwem i, mniemam, bardzo poważnym argumentem, który najzupełniej powinien wystarczyć, aby projekt ustawy o Szkołach Wyższych został zmieniony gruntownie albo raczej zupełnie wycofany.

Jeśli zaś argument autorytetu stracił u wielu dziś swoje dawne znaczenie, jeśli ludzie powojenni nie chcą go szanować, to niech przynajmniej przemówią argumenty podawane.

P. Minister Oświaty, w wywiadzie, udzielonym agencji

„Iskra“, przewidywał nieprzychylnie stanowisko profesorów Szkół Wyższych. Tłumaczył zaś je tem, że „element profesorski stoi dość daleko od życia, zmian nie lubi, odnosi się do nich nieraz nieufnie i podejrzliwie“. Nie umiem odpowiedzieć, dlaczego zasłużyli sobie profesorowie na taką charakterystykę ze strony p. Ministra? Że jest ona nieuzasadniona i krzywdząca stan profesorski, nie ulega dla mnie żadnej wątpliwości. Ale mniejsza o to, bo bardziej krzywdzącym ich cześć i dobre imię był w wywiadzie inny zarzut, a mianowicie: zarzut „niechęci do czynnika rządowego, pochodzącej z czasów zaborczych“. Zarzut ten jest bardzo bolesny, tembardziej, że najmniej uzasadniony i niezgodny z prawdą. Czy stan profesorski dał kiedy choć najmniejszy powód, aby go posądzać i oskarżać o brak patriotyzmu i niechęć do władz państwowych? Zarówno starsi, którzy za czasów zaborczych tylko dla polskiej nauki i polskiej kultury pracowali, jak też młodsi, co już za czasów odrodzonej Polski weszli do grona profesorskiego, wszyscy ochotnie pracę swoją, życie swoje poświęcają dla dobra i większej chwały Ojczyzny.

Wielu dziwiło się, dlaczego stan profesorski nie odpowiedział zbiorowym protestem na ten zarzut, którego żaden z ministrów polskich do dnia dzisiejszego nie odważył się publicznie w twarz im rzucić... Inne stany, powiadano, lub ugrupowania nie omieszkalyby to uczynić. Przypuszczać można, że szacunek dla władz rządowych powstrzymał profesorów od tego kroku.

Mogę śmiało i otwarcie powiedzieć, że nie oddalenie od życia i nie lęk zmian, — bo oni sami życie posuwają naprzód, drogi życia nowe wytykają, młode pokolenie na te nowe drogi prowadzą, sami idąc na ich czele, — nie brak patriotyzmu i życzliwości dla czynników rządowych, — bo pracy ofiarnej dla dobra i chwały państwa przykład dają, dla państwa dobrych i duchem obywatelskim przejętych pracowników wychowują, — wreszcie, nie względy nawet opozycji politycznej, — bo naogół czynnej polityki nie uprawiają (na Uniwersytecie Jagiellońskim jeden tylko profesor jest Senatoren Rzeczypospolitej); nie te są powody, że profesorowie Szkół Wyższych wypowiadają się przeciwko projektowi nowej ustawy o szkołach akademickich.

Jakie są w rzeczywistości powody ich negatywnego ustosunkowania do niego, — jawnie, szczerze sami to wypowiadają. Dzisiejsze pokolenie profesorów Szkół Wyższych ma głębokie przekonanie i pełną świadomość, że w niemałej mierze i oni są odpowiedzialni za przyszłość nie tylko nauki i kultury polskiej, ale też mocy i wielkości państwa polskiego, które na tamtych się opierają.

Prof. Fritz Haber, jeden z najgłośniejszych uczonych chemików współczesnych niemieckich, powiada: „Światowa potęga Niemiec opierała się (przed wojną) na trzech kolumnach: na potędze militarnej, potędze ekonomicznej i potędze naukowej. Ale była wielka różnica między temi trzema podstawami znaczenia Niemiec. Siła militarna państwa wywoływała pełną respektu nieufność zagranicą. Gospodarcze powodzenia przemysłu niemieckiego wzbudzały poważanie, ale z mieszanymi uczuciami, zależnie od tego, czy do głosu przychodził kupujący czy konkurent. Jedynie rozwój kulturalny nakazywał bezsporny szacunek i zarazem zjednywał i zbliżał narody.“ A następnie, stwierdziwszy upadek po wojnie siły militarnej i ekonomicznej, twierdzi: „nasz byt, jako narodu, zależy od utrzymania stanowiska mocarstwowego w dziedzinie duchowej, co „jest nierozłączne z naszą pracą w dziedzinie nauki“.

Profesorowie polscy podobnie są przekonani o znaczeniu i roli polskiej nauki. Przekonanie to nakazuje im bronić przybytków nauki, ognisk polskiej myśli, głównych czynników i podstaw duchowej potęgi państwa i narodu polskiego, i występować przeciwko wszelkim zakusom, mającym na celu pomniejszenie roli Uniwersytetów i kulturalnotwórczej ich działalności.

P. Minister w wywiadzie wspomnianym wyraża się o tem z pewnym przekąsem: „Niektórzy panowie profesorowie lubią sobie wyobrażać, że jedynie oni reprezentują interesy nauki.“ Muszę wyznać szczerze, że *de facto* tak jest, i nikt temu zaprzeczyć nie może, albowiem z natury rzeczy profesorowie są ludźmi nauki, życie swoje całe nauce poświęcają, z nauki i dla nauki żyją.

Nie pomniejszają oni roli innych czynników, a przede wszystkim Rządu i Ministra Oświaty, nigdy nie głoszą, jakoby rząd miał „zwalczać naukę, nauczanie i ograniczać swobodny ich rozwój“. Takiego zarzutu nie stawiają. Przeciwnie, uznają

i stale się domagają, aby każdy rząd miał to przeświadczenie o swej roli w dziedzinie nauki, jakiego wyraz dał p. Minister, kiedy oświadczył, że „dla rządu sprawa twórczości naukowej i przygotowania elity intelektualnej są zagadnieniem pierwszorzędnej wagi“, a kiedy indziej: „Nauka zarówno stosowana jak i nauka czysta stanowi poważne zagadnienie dla rządu.“ Słowom powyższym p. Ministra tylko przyklasnąć trzeba. Jeśli zaś można ponadto wypowiedzieć życzenie, to chyba jedynie to, aby czynami były potwierdzone.

Niestety, dotychczasowe postępowanie czynników rządowych często bywało niezgodne z temi twierdzeniami. Nie rzadkie były na terenie Uniwersytetów posunięcia czynników rządowych, które pozwalały profesorom wysnuwać wniosek, iż polskie władze nieżyczliwie i po macoszemu traktują sprawę Szkół Wyższych i nauki. Memorjały i postulaty Rad Wydziałowych, Senatów Akademickich, Konferencyj pp. Rektorów, zdaje się, najbardziej uzasadnione i słuszne, a dla dobra nauki lub normalnego biegu studiów młodzieży konieczne, nierzadko bywały przez Władze Zwierzchnie odrzucane lub milczeniem pomijane. Dyrektorowie klinik, laboratorjów i seminarjów (mówię o tem, co dzieje się w Uniwersytecie Jagiellońskim) często narzekają na warunki, w jakich muszą sami, i młodzież pod ich kierunkiem, pracować.

Rozumiem, że na odpowiednie urządzenie Zakładów potrzebne są środki pieniężne, a stan finansowy państwa naszego nie pozwalał i dziś tem bardziej nie pozwala na zbyt wielkie wydatki. Z tego profesorowie zdają sobie doskonale sprawę. Nie chcą jednak i nie mogą zrozumieć, że na rozmaite obchody, zjazdy, olimpiady, wyścigi i t. p. znajdują się zawsze fundusze, gdy jednocześnie brak ich na budowę klinik, na budowę Biblioteki Jagiellońskiej, na dotacje naukowe dla pracowni i seminarjów.

* * *

Wydanie przed kilku laty rozporządzenia o magisterjach, zwanych „dyplomami chlebowemi“, było zaczątkiem zmniejszenia znaczenia Uniwersytetów. Jednem z ważniejszych zadań, jedną z głównych funkcyj Szkoły Akademickiej stało się masowe kształcenie młodzieży i przygotowywanie funkcjonarjuszów dla państwa, pracy zaś naukowo-twórczej, szukaniu

prawdy, — tym najcenniejszym klejnotom Szkół Wyższych, — wyznaczono miejsce drugorzędne. Jest całkiem zrozumiałe, że państwo chce i musi mieć urzędników z wyższem wykształceniem, że więc odpowiednia organizacja studjów dla dyplomów chlebowych była konieczna; ale faktem pozostaje niezaprzeczonym, że to ułatwienie studjów dla zdobycia dyplomów chlebowych bardzo ujemnie wpłynęło na obniżenie się badawczej i naukowo-twórczej pracy, zarówno młodzieży, jako też profesorów. Niektóre Wydziały stały się szkołami dla celów zawodowych; nie mogą być, jak powinny, ogniskiem idei, ostoją nauki, postępu i kultury.

Obecny projekt ustawy o szkołach akademickich jest dalszym ciągiem pomniejszenia ich roli, a ponadto, wprowadzeniem do ich życia, dotychczas harmonijnego, destrukcyjnego czynnika rozstroju i zamętu.

Nie chcę tutaj powtarzać, co już wielu profesorów powiedziało o szkodliwości nowego projektu, ani też mówić o potrzebie wolności nauki i nauczania, o autonomji albo raczej o samorządzie, już i tak bardzo a bardzo okrawanym; chcę natomiast zwrócić tutaj uwagę na konsekwencje dla Uniwersytetów nader niebezpieczne i zgubne, które nastąpiłyby, jeśliby projekt stał się ustawą obowiązującą.

Projekt ustawy nie obejmuje całokształtu życia akademickiego, jest tylko projektem ustawy ramowej, pomija zaś szereg spraw, które później mają być regulowane rozporządzeniami p. Ministra. Dlaczego nie został opracowany projekt całkowitej ustawy, któraby mogła przetrwać bez zmiany przez długie lata, i to bez względu na zmiany warunków politycznych, które u nas tak często się zdarzały? Zwykle i normalnie bywa tak, że daje się rzecz nową, doskonalszą od starej; tutaj jest przeciwnie: ustawa stara (nie była ona doskonała, wymagała nowelizacji, ale) obejmowała całość życia akademickiego, regulowała wszystkie niemal sprawy z niem związane, w nowej zaś widzimy liczne luki i braki, które dopiero przyszłe rozporządzenia mają uzupełnić. Rozporządzenia... Właśnie te rozporządzenia, — a liczba ich będzie niemała, — budzą uzasadnioną obawę, że będą powodem nierzadkich tarć między Uniwersytetami i Ministerstwem. Jeżeli już dzisiaj p. Minister nie liczy się z opinią Senatów Akademickich i chce narzucić swoją

ustawę, to tem bardziej w rozporządzeniach swoich nie będzie się z niemi liczył, zwłaszcza, że Senaty, według projektu nowej ustawy, będą prawie całkowicie pozbawione władzy. Czy rozporządzenia te będą dobrze i gruntownie przemyślane, racjonalne? Czy nie należy się obawiać, że będą, tak samo, jak nowy projekt, jak wiele innych projektów, „na kolanie“ opracowane? Ile z tego powodu może być nieporozumień, starć między Uniwersytetami i Ministerstwem, trudno teraz przewidzieć. Ale bezwątpienia będą. Do życia akademickiego zakradną się niepokoje i zamieszki, tak bardzo niebezpieczne dla pracy naukowo-twórczej. A te ingerencje stałe Ministrów, jako władzy naczelnej? Czy nie należy się lękać, że następujący jeden po drugim ministrowie będą chcieli raz po raz poprawiać i reformować Uniwersytety i nowe rozporządzenia wydawać? Dobrze powiedział p. Minister na uroczystości 25-lecia Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, iż „nie przeszkadzać, ale pomagać w organizowaniu nauki... oto zadanie rządu“. Podkreślamy te słowa, i pragnęlibyśmy, aby ministrowie mieli je stale w pamięci i na nich się opierali. Ale są one w rażącej sprzeczności z tendencją nowego projektu, który nie tylko nadzór, ale też władzę naczelną nad Uniwersytetami oddaje całkowicie w ręce ministrów oświaty.

W sprawie obsadzania wakujących katedr dotychczasowe postępowanie Rad Wydziałowych było bardzo skrupulatne. Kwalifikacje wysuniętych kandydatów badała najpierw specjalna komisja, potem cała Rada Wydziału. Wszelkie animozje lub poglądy polityczne ustępowały na dalszy plan, brano pod uwagę przede wszystkim przymioty osobiste i uzdolnienia dydaktyczno-naukowe, tak, że kandydat, przedstawiony Ministerstwu do zatwierdzenia, zasługiwał całkowicie na to zatwierdzenie. (Mówię o tem, na co patrzę w Uniwersytecie Jagiellońskim). Profesor, powołany do Rady Wydziałowej, wchodził do niej, ciesząc się zaufaniem kolegów, mógł pracować z nimi w zgodnej harmonii. Zatargi koleżeńskie należą u nas do wyjątków, do rzadkości. Według nowej ustawy Minister ma prawo nie zatwierdzić proponowanego kandydata i sam mianować innego kandydata profesorem, i to nawet wbrew woli Rady Wydziału. Jakie pobudki będą odgrywały przy tem rolę? W projekcie niema o tem mowy. W każdym

razie, można się domyślać, że niekoniecznie naukowe ani z nauką związane, bo te byłyby napewno uwzględnione przez Radę Wydziału.

Ile z powodu tego narzucania przez Władze wyższe obcego i nie mającego zaufania kolegów kandydata może być nieporozumień, dysonansów a nawet zatargów, trudno przewidywać. Niewątpliwem dla mnie jest, że takie zatargi powstaną, a wtedy będzie zatrute i nieznośne życie koleżeńskie na Wydziale, powstanie niechęć do pracy. Bo pracować naukowo można tylko w atmosferze ładu i pokoju, *inter arma silent Musae*.

To samo mogę powiedzieć o następstwach wyboru Rektora według projektu nowej ustawy. W tradycji Uniwersytetu Jagiellońskiego jest, że wybór Rektora był dotychczas dokonywany jednomyślnie przez delegatów wszystkich Wydziałów. Wybór nie odbywał się nigdy lekkomyślnie, poważnie i wszechstronnie dyskutowano najprzód o przymiotach i kwalifikacjach kandydatów. Jeśli wybranego jednomyślnie kandydata na Rektora Minister, według projektu nowej ustawy, nie zatwierdzi, co wtedy, pytam, może wyniknąć? Przewidywać można, że wybory ponownie się odbędą i będzie ponownie ten sam kandydat wybrany, albo też nie zechcą wyborcy innego kandydata wybierać. Czy to nie będzie powodem do powstania zatargu z Ministrem, zatargu, który niewątpliwie odbije się fatalnie na życiu akademickim? Ale dajmy na to, że wyborcy ci sami, lub inni, zgodzą się na nowe wybory a rezultatem ich będzie, że jeden kandydat otrzyma 98% głosów, drugi zaś 2% głosów. Minister może zatwierdzić tego ostatniego. Czy wybrany w takich warunkach i przez Ministra zatwierdzony Rektor będzie mógł liczyć na uznanie, na szacunek i poparcie kolegów? Jeśli będzie posiadał dużo taktu, życie na Uniwersytecie może się jako tako ułożyć, ale miłe ono nie będzie ani dla Rektora ani dla profesorów. Co zaś może się stać, jeśli taki Rektor będzie miał żywy temperament i zechce z władzy korzystać? Nikt nie może zaręczyć, że nie powstaną wtedy nieporozumienia, zatargi między „rządowym“, narzuconym rektorem a profesorami. Jakiem echem fatalnem odbiją się one na biegu życia akademickiego, nie chcę tu przewidywać.

Wreszcie ostatni punkt, nie mniej a może najbardziej drażliwy, tj. stosunek młodzieży do władz akademickich. Punkt ten jest podobno dla p. Ministra najważniejszy. P. Ministrowi chodzi o ujęcie spraw młodzieży w swe ręce i o stosowne postępowanie w razie naruszenia porządku na uczelniach.

Powodem proponowanych przepisów są ostatnie manifestacje na Uniwersytetach, znane wszystkim. Niekiedy rzeczywiście przybierały one niewłaściwą i nie licującą z godnością akademicką a nawet, w niektórych razach, wysoce karygodną formę, zakłócając normalny bieg życia akademickiego. Dotychczasowe przepisy w sprawie młodzieży, można to powiedzieć, były niewystarczające, i wymagały zmiany. Zajmowano się tem na konferencjach pp. Rektorów, Senat Akad. Uniwersytetu Jagiellońskiego opracował projekt nowelizacji przepisów dyscyplinarnych.

W projekcie nowej ustawy są podane tylko ogólne przepisy dyscyplinarne, szczegóły zaś mają być określone rozporządzeniem p. Ministra. Gdy dotychczas sprawy dyscyplinarne młodzieży były załatwiane definitywnie przez Senat na podstawie dochodzeń Komisji dyscyplinarnej (trzeba powiedzieć, że wszyscy studenci przyjmowali wyroki jego lojalnie), w projekcie są przewidziane aż dwie Komisje dyscyplinarne; jedna wybrana przez Senat, druga — odwoławcza, wyznaczona przez Ministra; ponadto zapowiedziane jest wprowadzenie rzecznika. Słowem ma być zaprowadzony rygor karny, przez który p. Minister żywi nadzieję, że młodzież akademicką zmusi do spokoju i powstrzymania się od manifestacji i awantur.

Młodzież, jak młodzież, jest burzliwa, bardzo wrażliwa (dziś bardziej, niż dawniej), zapalna, nie zawsze kieruje się rozsądkiem. Gdyby było inaczej, tj. gdyby postępowała jak ludzie dojrzały, wszyscy uznaliby to za nienormalne. Nie żądamy tedy od niej powagi mężów doświadczonych, nie mierzymy jej miarą naszych zapatrywań i postępowania.

Trzeba młodzież rozumieć i dla młodości mieć wyrozumienie. Jedno serdeczne i przyjazne słówko więcej zdoła z nią uczynić, aniżeli grożenie karami. Tak postępowali dotychczas profesorowie.

Zamiary w projekcie ustawy idą w kierunku karnego rygoru i niewątpliwie znajdą swe zastosowanie po pierwszym, choćby drobniejszym incydencie. Rozpoczną się oskarżenia, dochodzenia, posypią się kary. Czy będą skuteczne? Czy powstrzymają od następnych? Jestem w tym względzie pesymistą, raczej przewiduję, że, im ostrzejsze będą represje, tem większe, tem gorsze będą awantury młodzieży akademickiej. W życiu akademickiem może nastąpić rozprężenie, co dla nauki będzie wielką przeszkodą.

ROMAN DYBOSKI,

profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego.

członek czynny Polskiej Akademji Umiejętności.

WOLNOŚĆ NAUKI A INTERES PAŃSTWA.

Z rzadką w naszych stosunkach jednomyślnością wypowiedziały się w sprawie projektu nowej ustawy o szkołach akademickich zarówno zbiorowe przedstawicielstwa wszechnic polskich w postaci Rad Wydziałowych, Senatów i konferencji rektorów, jak i jednostki ze świata profesorskiego, zabierające głos na łamach dzienników wszelkich kierunków partyjnych. Wypowiedziano się nietylko jednomyślnie, ale także dość szczegółowo: projekt z kilku stron został poddany dokładnemu rozbirowi, punkt za punktem, i zestawiony z istniejącą ustawą o szkołach akademickich z r. 1920.

Solidaryzując się zarówno z zasadniczą postawą ogółu uczonych polskich wobec projektu jak i z krytyką poszczególnych jego punktów przez tylu znakomitych kolegów, nie zamierzam przyczyniać się do dyskusji jeszcze jedną szczegółową analizą projektu, lecz pragnę przez kilka uwag ogólniejszej natury usunąć jedno nieporozumienie, które niestety w całą tę dyskusję się wkradło. Jej warunki zewnętrzne mianowicie wytworzyły w umysłach niektórych postronnych obserwatorów zupełnie błędne mniemanie, jakoby w tej rzeczy stał z jednej strony interes uniwersytetów jako grupy, a z drugiej interes państwa jako całości.

By wykazać, że tak nie jest, pozwolę sobie zająć się danem zagadnieniem na tle pewnych zjawisk w rozwoju państwowości w świecie nowoczesnym.

1.

Gdy Anglja XVIII wieku przez krótkowidzący centralizm polityczny swych władców i ciasny egoizm gospodarczy dok-

tryny merkantylistycznej traciła kolonie amerykańskie, wielki myśliciel konserwatywny Edmund Burke grzmiącemi słowy przypomniawszy swym rodakom starą i wzniosłą zasadę angielskiego życia państwowego — zasadę w nowszych dziejach Imperjum Brytyjskiego za naszych dni znowu z powodzeniem w czyn wprowadzaną — że najlepszem wiaźadłem społeczności ludzkich jest wolność. Zasada ta, pozornie paradoksalna, jednak wielokrotnie przez doświadczenie dziejowe narodów potwierdzaną bywała: wszakże i historia naszej monarchii jagiellońskiej jest jednym z wielkich i świetnych przykładów jej słuszności.

Znana Europie głównie z teorii i praktyki angielskiej, spularyzowana na kontynencie przez poczetą pod znakiem wzorów angielskich rewolucję francuską, zasada wolności konstytucyjnej w Europie XIX wieku zyskała szerokie rozpowszechnienie i uznanie, doszła do pełnego wyrazu w myśli filozoficznej i twórczości literackiej, a do daleko mniej pełnego zastosowania w rzeczywistym życiu zbiorowem. Stał się z czasem naprzeciwko niej interwencjonizm państwowy, usprawiedliwiany w dziedzinie gospodarczej krzywdzącymi wybujałościami kapitalizmu prywatnego, a w politycznej — niezdolnością młodych demokracji do należytego korzystania ze swobód obywatelskich. Wojna światowa i wypadki powojenne w wielu krajach przyspieszyły postępy tej ideologii, i dziś rozlegają się po całym świecie pochwały silnej władzy centralnej, uważanej przez jej wielbicieli za jedyny środek celowego i planowego prowadzenia współczesnego życia społecznego w całej jego rozległości i zawiłości bez marnowania sił i bez dysproporcji w ich stosowaniu.

Przy tym stanie umysłów, klasyczne idee liberalne znajdują jednak obrońców pośród ludzi o szerszych widnokręgach historycznych. Z tej perspektywy, jaką otwiera znajomość dłuższych okresów dziejowych, pierwiastek wolności i pierwiastek autorytetu muszą się wydawać równie niezbędnymi dla życia państwowego, i połączenie ich we właściwej proporcji — ostatecznym sekretem sztuki politycznej. Ani nadmierna przewaga jednego ani drugiego nie wychodzi społeczeństwu na dobre. W szczególności zaś doświadczenie historyczne wieku XIX uczy nas wyraźnie, że, rozszerzając

zakres działania władzy państwowej w tej mierze, w jakiej tego wymagają nowoczesne stosunki społeczne, zbawienną jest rzeczą pozostawiać pewien stopień niezależności od tej władzy niektórym instytucjom, stanowiącym niejako sumienie narodu. Instytucje te bowiem, obok swych funkcji w ramach państwowości, służą naczelnym ideałom ogólnoludzkim, a w odniesieniu do życia państwowego pełnią wśród innych i tę dostojną i doniosłą służbę, że wytwarzają i doskonalą ten bezcenny i żywotny czynnik duchowy w społeczeństwie, jakim jest oświecona intelektualnie i uszlachetniona moralnie opinia publiczna.

Wśród tych instytucyj bezsprzecznie w ocenie całego cywilizowanego świata jedno z czołowych miejsc zajmują uniwersytety. One wszakże są świątyniami jednego z najwyższych w rzędzie owych ideałów przewodnich, które przyświecają całej kulturze ludzkiej w jej dziejowym pochodzie, — ideału Prawdy. A zaszczepiając w młodych umysłach cześć dla Prawdy i zapal do jej poszukiwania, dają im na drogę żywota tę dozę idealizmu, bez której żadna jakakolwiek działalność jednostki wśród społeczeństwa głębszej wartości mieć nie może. Twórcza zaś praca naukowa zarówno jak i zaprawianie do niej młodych adeptów nauki może się skutecznie dokonywać tylko w atmosferze wolności. Wolność jest równie niezbędna dla nauki jako organu kultu Prawdy, jak jest niezbędna dla sztuki jako organu kultu Piękna, jak jest niezbędna dla religii jako organu kultu najwyższego Dobra.

2.

Zasady te potwierdza szczególnie wyraźnie historia kultury wieku XIX, ucząc nas, że najszczytniejszym twórczym dokonaniem naukowym sprzyja nadewszystko atmosfera wolności warsztatów pracy naukowej od wszelkiego normowania ich działań przez władzę administracyjną. Drogę tej wolności odnalazła pod koniec XIX wieku Francja po manowcach, na jakie jej życie uniwersyteckie sprowadziła reglamentacja napoleońska. Co się tyczy Niemiec, jest dziś rzeczą jasną, że górująca powaga, którą przez większą część stulecia Niemcy się cieszyły jako potęga kulturalna (i która w późniejszej erze

imperjalizmu z własnej ich winy tak bardzo podupadła), była w znacznej mierze dziełem tej świetnej plejady niemieckich myślicieli naukowych, przeważnie jeszcze z epoki romantyzmu pochodzących, co nietylko stawali się pionierami nowych dyscyplin i nowych metod, ale też często nie wahali się — jak sławnych „siedmiu w Getyndze“ — poświęcać własną egzystencję materialną dla zasady wolności badania i nauczania.

Dawniejszą od uniwersytetów niemieckich tradycję zupełnej wolności miały prastare wszechnice angielskie, Oxford i Cambridge, dzięki bogatym fundacjom prywatnym niezależne od rządu także pod względem gospodarczym. Choć dalekie w swym tradycjonalizmie politycznym i religijnym i w swej abstrakcyjnej zadumie filozoficznej od pragmatycznego sposobu myślenia nowej ery mieszczańsko-przemysłowej i od jej reformatorskiego rozmachu, jednak i w XIX wieku, jak w poprzednich stuleciach swej egzystencji, nie przestają się cieszyć zarówno pełną swobodą oddziaływania na umysły narodu jak i powszechną czcią. Wydają też w tem stuleciu, może więcej niż w dawniejszych, genialnych odkrywców prawd naukowych i nowych przewodników myśli twórczej. A wydając — jak zawsze — także naczelnych mężów stanu Wielkiej Brytanji i przodowników we wszystkich dziedzinach jej czynnego życia zbiorowego, doznają z ich strony przez całą resztę ich życia wciąż nowych dowodów najwdzięczniejszej pamięci i głębokiej czci, jakkolwiek daleko od akademickich kręgów myśli i tradycyjnych uniwersyteckich poglądów unosi tych mężów dalsza ich karjera publiczna. Oto za naszych już czasów sędziwy Asquith, były wieloletni sternik nawy państwowej angielskiej, wycofując się z frontowej działalności politycznej w dostojne zacisze Izby Lordów, jako koronę zaszczytów swego długiego żywota przyjmuje tytuł lorda Oxfordu, według siedziby Uniwersytetu, którego był niegdyś uczniem i docentem i zawsze pozostał wiernym alumnem. Oto niemniej znakomity jego długoletni antagonistą polityczny, lord Balfour, były premier i minister spraw zagranicznych, jako kanclerz Uniwersytetu w Cambridge na obchodzie stulecia Uniwersytetu londyńskiego w r. 1927, przemawiając w imieniu wszystkich uniwersytetów brytyjskich, kornie chyli swą

siwą głowę wielkiego dostojnika państwowego przed inajestatem nauki ojczystej, w obliczu setek delegatów wszystkich uniwersytetów świata.

Nietylko towarzyszy uniwersytetom angielskim cześć pierwszych osobistości w państwie, nietylko pozostawiona im jest stale zupełna swoboda w pracy wychowawczej i badawczej, ale co więcej, z ich wiekowego doświadczenia państwo samo czerpie wzory i wskazówki dla własnego ustroju i własnej działalności. Najwymowniejszym tego może przykładem jest epokowy fakt w dziejach organizacji administracyjnej państwa brytyjskiego, że mianowicie wielki historyk Macaulay w r. 1853, na czele Komisji Królewskiej wypracowując normy kwalifikacyjne dla urzędników państwowych, postawił za zasadę, że egzaminy, dopuszczające kandydatów do stanowisk odpowiedzialnych w naczelnych władzach administracyjnych, winny być ściśle wzorowane co do wymagań na końcowych egzaminach uniwersyteckich w Oxfordzie i w Cambridge. I właśnie przez tę zasadę położył Macaulay podwaliny pod nowoczesną doskonałość aparatu urzędniczego ministerjów angielskich, owego niezrównanego *Civil Service*, którego sprawności i nieskazitelności ze słusznym podziwem zazdroszczą Anglii inne narody.

Jeżeli wykształcenie w Oxfordzie i Cambridge, choć dalekie naogół w swej treści od wymagań praktyki życiowej i zawodowej, mogło w wieku praktyczności mieszczańskiej być uznane za dobrą podstawę do służby w administracji państwa, to dlatego, że umiano należycie ocenić najogólniejsze a zarazem najcenniejsze wartości duchowe, które owe prastare wszechnice właśnie przez swą zupełną niezależność ideową wychowankom swym w posag na drogę życia dawały. Najpiękniej może w literaturze określa drogocенność tych wartości duchowych dla samego życia czynnego wykwinny poeta, znakomity krytyk i zasłużony działacz pedagogiczny Matthew Arnold, gdy właśnie w chwili gorącej kontrowersji przeciwko pewnym konserwatywnym ideom Oxfordu tak w uniesieniu wdzięcznego zachwytu się odzywa do swej oxfordzkiej *Alma Mater*:

„Jakież to przykład mógłby tak, jak twój, dawać nam natchnienie, byśmy zwalczali w samych sobie ducha filistyńskiego! Jakież

nauczyciel mógłby tak skutecznie, jak ty, uchronić nas od niewoli u tego żywiołu, który Schiller wedle pięknych i słuszych słów pośmiertnego hołdu Goethego pozostawił w nicości daleko za sobą: „das, was uns alle bändigt, das Gemeine“!... My, zjawy jednodniowe -- czemuż są nasze małe boje z Filistynami tego świata w porównaniu z tym bojem, który ty, królowo rycerskości i poezji, toczyłaś przeciwko nim od wieków i toczyć będziesz, gdy po nas już śladu nie zostanie!“ (*Essays in Criticism: Oxford.*)

3.

Jeżeli dziś profesorowie uniwersytetów polskich przewrotowemu projektowi nowej ustawy o szkołach akademickich przeciwstawiają wypróbowaną, tradycyjną zasadę wolności nauki, — zasadę głoszoną wprawdzie *expressis verbis* w pierwszym punkcie nowego projektu, ale w niwecz obróconą przez wszystkie niemal jego punkty dalsze, — to czynią to z pewnością nie w jakimś zapamiętaniu doktrynerstwa, i nie z braku zmysłu dla rzeczywistości życia społecznego naszych dni. Widzą i wiedzą, że wśród tej olbrzymiej fali studentów i studentek, jaką demokracje dzisiejsze wszędzie w Europie i Ameryce ślą w mury wszechnic, większość nie sięga swemi aspiracjami poza pewną przeciętną miarę wyższego wykształcenia i cel jego widzi nadewszystko w przygotowaniu do pracy zawodowej. Zdają sobie profesorowie sprawę także z tego, że przy powszechnym dziś rozroście funkcji społecznych państwa coraz liczniejsze i ściślejsze związki ową pracę zawodową z całym aparatem państwowości łączyć muszą.

Uznając te rzeczy jako niezaprzeczone fakty społeczne, trwamy jednak w przekonaniu, że należyte ich uwzględnienie możliwe jest w ramach istniejącego ustroju uniwersytetów, i że w szczególności polska ustawa o szkołach akademickich z roku 1920 w dostatecznej mierze ogranicza samorząd wewnętrzny uniwersytetów na rzecz kontroli państwa nad ich poważnemi państwowemi funkcjami.

Jeżeli przy samorządzie, w ten sposób już ograniczonym, teraz obstajemy, czynimy to w pierwszym rzędzie dlatego, że, mimo wzrastających trudności czysto technicznych, uważamy za rzecz pierwszorzędną doniosłości dla całej kultury polskiej, by uniwersytety nasze zachowały nadal swą funkcję wdrażania młodzieży w zagadnienia i metody twórczej pracy badawczej;

a w tym celu zachować im musimy niezbędną dla takiej pracy swobodę działania. Chodzi nam przytem nietylko o tych nielicznych, a jakże ważnych dla państwa i dla ludzkości wybrańców, co w dalszem życiu samodzielnyimi badaczami się staną; ale chodzi o cały ten szary tłum, co dziś tak obficie wszechnice zaludnia. Trzeba koniecznie, żeby każdy i każda w tym nieprzejrzanym tłumie oddychali choć przez kilka krótkich lat młodości powietrzem czystej i niezależnej od bieżących wymagań pracy poznawczej. Nabrawszy w płuca tego powietrza wyżyn myślowych, rozniosą jego tchnienie po całym społeczeństwie i sami zapobiegają temu, by owa rozrastająca się wszędzie tak gigantycznie w naszych oczach maszynierja państwowa była maszynierją tylko, a ludzie — jej kółkami. Jak słusznie i wzniosłe powiedzieli w swych przemówieniach zarówno ustępujący jak nowy rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego na inauguracji roku szkolnego 1932/33, uważamy za obowiązek naszych uniwersytetów, jako rdzennie i prawdziwie europejskich, ratować społeczeństwo od zgubnej dążności do standaryzacji człowieka, ratować je od tego, by się składać miało z bezduszných manekinów.

A więc, wracając do punktu wyjścia tych rozmyślań, stwierdźmy, że przy obronie koniecznej miary wolności nauki uniwersyteckiej jest naszym celem, by za sprawą należytego wychowawczego działania uniwersytetów była wytwarzana i utrzymywana w całym życiu państwowem i społecznem równowaga między twórczym pierwiastkiem wolności a porządkującym pierwiastkiem autorytetu, w której historia uczy nas widzieć zasadniczy warunek zdrowego rozwoju społeczności państwowych.

Profesorowie wszechnic polskich za czasów zaborczych każdym słowem swoim i każdym pociągnięciem pióra starali się służyć podtrzymaniu i podniesieniu godności kulturalnej naszego narodu w świecie cywilizowanym. Dzisiaj zaś w każdej prawie godzinie wykładu i w każdej dziedzinie nauki starają się budzić w swych uczniach zmysł państwowy i to obywatelskie poczucie, iż dobro państwa winno być jedną z głównych sprężyn wszelkiego ich działania.

Śmiało i głośno dziś przypomniać wolno, gdyby fakt wciąż tak oczywisty naprawdę osobnego przypomnienia miał potrze-

bować, że narówni z jakimkolwiek wśród rodaków my profesorowie wszechnic jesteśmy duszą i ciałem, głową i sercem nawskroś państwowcami polskimi.

Nie co innego też, jak właśnie nasze sumienie obywatelsko-państwowe i gorliwość o wspólny dom Najjaśniejszej Rzeczypospolitej naszej dyktują nam stanowisko, na którym w tej chwili razem stoimy.

WŁADYSŁAW SZAFER,

profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego,
członek czynny Polskiej Akademii Umiejętności.

WOLNOŚĆ NAUKI W PROJEKCIE NOWEJ USTAWY O SZKOŁACH AKADEMICKICH.

Wolność nauki a władza ministra.

Projekt nowej ustawy o szkołach akademickich, choć w pierwszym zdaniu podnosi zasadę wolności nauki, daje ministrowi W. R. i O. P. zupełną swobodę przeprowadzenia zmian obecnej struktury naukowej uniwersytetów. Oto zaraz w drugim artykule projektu powiedziano, że „podział na wydziały (oddziały, studia) jako też tworzenie i zwijanie wydziałów, oddziałów, studiów, katedr i zakładów, z a r z ą d z a minister, po wysłuchaniu opinii rady wydziałowej, gdy chodzi o zmianę w ramach wydziału, senatu we wszystkich innych wypadkach“. Aktu ustawodawczego wymaga tylko, według projektu, założenie nowej szkoły akademickiej.

Konsekwencje ewentualnego uchwalenia przez ciała ustawodawcze tych przepisów prawnych należy rozważyć łącznie z postanowieniami artykułów dotyczących możliwości tworzenia przez ministra zakładów, poświęconych wyłącznie badaniom naukowym, oraz przepisów w sprawie obsadzania katedr, które dają Ministrowi możliwość powierzania katedr także takim kandydatom, których nie życzą sobie przyjąć do swych gron rady wydziałowe.

Ponieważ nie znamy motywów do projektu ustawy, przeto trudno domyśleć się, jak pogodzone w nich zasadę wolności nauki z przytoczonymi postanowieniami nowej ustawy. Odsuwając na bok cele polityczne, którym ustawa służyć nie powinna, można przypuścić, że intencją wspomnianych artyku-

lów jest danie ministrowi pełnej swobody takiego zorganizowania uniwersytetów w Polsce, aby służyły one nauce lepiej, aniżeli czynią to dotychczas. Nadto domyślać się wolno, że minister, mogący także według swego uznania tworzyć na uniwersytetach zakłady poświęcone wyłącznie badaniom naukowym, pragnie w nowej ustawie mieć środek prawny do przeprowadzania takiej reorganizacji nauki na uniwersytetach, aby każdy z nich, poza pewnym minimum katedr z wszystkich dziedzin wiedzy, posiadał jedną lub kilka swoich specjalności, które szczególnie gorliwie rozwijać i pielęgnować będzie.

Specjalizacja uniwersytetów.

Jest rzeczą bezsporną, że szczególnie świetny rozkwit pewnych gałęzi nauk na uniwersytecie jest zjawiskiem pożądanym i zewszecmiar korzystnym. Każdy starszy uniwersytet posiada na kartach swej historii zapisane takie okresy rozkwitu, żyjące nieraz długo jeszcze w tradycji profesorów i uczniów. Zdarza się także, że okresy te, zazwyczaj krótkotrwałe i szybko przemijające, szczęśliwym zbiegiem okoliczności przedłużają się poza życie ich twórców i trwają przez czas dłuższy, a wtedy znaczenie ich dla nauki jeszcze się powiększa. Przykładów moglibyśmy tutaj przytoczyć wiele, zarówno z życia obcych jak i naszych wszechnic. Trzymając się ram mojej specjalności, przypomnę z obcych świetny rozkwit botaniki na uniwersytecie w Bonn, w czasie, gdy pracował tam nasz rodak, prof. Edward Strasburger, z naszych wspomnę o krótkim, lecz równie świetnym stanie botaniki na Uniwersytecie Jagiellońskim w czasie od roku 1912—1915, gdy obok Emila Godlewskiego (ojca) pracowali tu równocześnie: Marjan Raciborski, Władysław Rothert, Edward Janczewski, Józef Rostafiński i Adam Prażmowski, wszyscy tak wybitni uczeni, że mogliby być chlubą każdego zachodnio-europejskiego uniwersytetu.

Zapytajmy teraz, w jaki sposób dochodzi w uniwersytetach, zorganizowanych na zasadzie samorządu naukowego, do rozkwitu pewnych działów nauki. Dzieje się to poprostu dlatego, że rady wydziałowe, swobodne w wyborze kandy-

datów na wolne katedry, kierują się przy ich obsadzaniu w y-
 łącznie ich wartością naukową. Zaproszony do grona
 uczonych nowy członek wydziału, znajduje w nim nie tylko
 życzliwą, lecz wręcz przyjacielską atmosferę, tak bardzo
 korzystną dla pracy naukowej, a u kolegów po fachu, lub
 o pokrewnych specjalnościach, wszelkiego rodzaju pomoc
 i podnetę do twórczej pracy. Jest to naturalne, ponieważ
 właśnie jego osobę wybrali oni z pośród szeregu kandydatów,
 jako tego człowieka, który daje największe gwarancje, że naj-
 lepiej wywiąże się ze swych obowiązków wobec nauki i uni-
 wersytetu. Komisja wydziałowa, przygotowując sumiennie
 wniosek swój w tym względzie, a potem rada wydziałowa,
 najlepiej ocenić mogą wszystkie *pro i contra* kandydatów,
 gdyż tylko te ciała znają nawszkroś potrzeby i wa-
 runki pracy danej katedry, i dlatego ich opinia
 może być najtrafniejsza. Nie twierdzę, że opinia ta zawsze
 jest nieomylna, albowiem *errare humanum est*, jednakże moż-
 liwość popełnienia omyłki jest w dotychczasowym trybie nie-
 skończenie mniejsza, aniżeli będzie wtedy, gdy o wyborze
 kandydata decydować będzie sam minister. Choćby bowiem
 był on człowiekiem najrozsądniejszym i najgłębiej odczuwają-
 cym potrzeby nauki, łatwiej popełnić może omyłkę, aniżeli
 fachowe ciało kolegialne.

Jeżeli nowy profesor, wprowadzony dziś na katedrę na
 zasadzie wniosku fachowej komisji i decyzji pełnej rady wy-
 działowej, zatwierdzonej przez senat, jest jednostką twórczą,
 to ma on wszelkie warunki do tego, aby swoją specjalność
 naukową rozwinąć i dać się poznać w nauce światowej; ma
 on też wszelkie szanse kształcenia młodych uczonych, gdyż
 przez swe obowiązkowe wykłady i ćwiczenia pozostaje
 w stałym zetknięciu z młodzieżą studującą.

Tak powstają, rozwijają się, trwają dłużej lub krócej —
 i przemijają okresy rozkwitu pewnych kierunków nauko-
 wych na uniwersytetach. Dlatego słuszne jest porównanie
 uniwersytetu z ogniskiem, którego płomień to strzela języ-
 kami wysoko w górę, to znów zmniejsza się, lecz, zasycany
 coraz nowem paliwem, nigdy nie gaśnie. Uniwersytety i pie-
 lęgnowane przez nie nauki przechodzą i przechodzić muszą
 w swem życiu naprzemian chwile rozbłysków i przygasań,

gdyż to jest właśnie naturalną cechą nie tylko ich życia naukowego, ale w ogóle każdego życia w naturze.

Wyobraźmy sobie teraz, że któryś z ministrów oświaty w Polsce nie pozwoli odbywać się swobodnie tym długotrwałym procesom życiowym uniwersytetu i nie ograniczy się do wdzięcznego zadania podsycania ogniska nauki uniwersyteckiej paliwem w postaci swej cennej życzliwości i wystarczających dotacji, lecz — znajdując w nowej ustawie podstawę prawną — zechce sam „zarządzić” reorganizację nauki na uniwersytetach „po wysłuchaniu opinii rad wydziałowych”. Sądzę, że wtedy możnaby żywić jak największe obawy o los nauki, gdyż przy takiej reorganizacji byłyby szkodliwe nie tylko błędne pociągnięcia ministra, ale nawet, w zasadzie trafne, mogłyby obrócić się przeciw jej interesom.

To ostatnie twierdzenie wydać się może nieprawdopodobne i dlatego wymaga wyjaśnienia.

Przyjmijmy, że minister postanowił zreorganizować uniwersytety, kładąc nacisk na rzekomo konieczną potrzebę ich specjalizacji naukowej. Uniwersytet warszawski zechce on np. uczynić ośrodkiem specjalizacji w kierunku nauk biologicznych, dla Uniwersytetu Jagiellońskiego przeznaczył jako specjalność sławistykę, poznańskiemu przydzielił filologię klasyczną i t. d. Ponieważ nie ma on na przeprowadzenie tego planu pieniędzy, poza normalnym budżetem państwowych szkół wyższych, przeto najpierw ustali t. zw. zasadnicze minimum katedr, dla każdej przeciętnie pojętej uczelni wyższej. W ten sposób zyska najpierw na papierze, a potem w rzeczywistości (po przeniesieniu szeregu profesorów w stan nieczynny i skasowaniu ich katedr „niekoniecznych”), pewną ilość wolnych etatów, które przeznaczy na to, aby nimi wzmocnić pod względem naukowym przeznaczone do kierunkowej specjalizacji ośrodki. W naszym przykładzie uniwersytet warszawski otrzymałby tą drogą kilka etatów dla biologii, Kraków pewną porcję etatów dla sławistyki i t. d., przy czem, zgodnie z przewidywaniem nowej ustawy, nie wszyscy specjaliści, skupieni teraz na pewnych uniwersytetach, mieliby obowiązek odbywania wykładów i ćwiczeń w zakładach, ponieważ projekt ustawy wyraźnie mówi, że „mogą też być tworzone zakłady, poświęcone wyłącznie badaniom nauko-

wym". Minister mógłby jednakże nie zadowolić się temi zmianami, przeprowadzonymi w stanie posiadania katedr przez uniwersytety, lecz mógłby wedle swego uznania (znów po zasięgnięciu tylko opinii rad wydziałowych), „tworzyć i związać wydziały, oddziały i studia“, — słowem, mógłby przetasować wszystko, co tworzy dziś żywą strukturę naukową wyższych uczelni, tak, jak gracz tasuje karty przed partją wista.

Rezultat takich zarządzeń ministra dla nauki nie dałby długo na siebie czekać, a jaki byłby, łatwo to sobie wyobrazić.

Już pierwsze zarządzenia ministra, związające wydziały, oddziały, studia i katedry, od wielu lat już istniejące, wprowadziłyby chaos, oraz powszechne zaniepokojenie i mogłyby poważnie zaszkodzić nauce. Opinie rad wydziałowych i senatów, których, według ustawy, domagałby się minister przed wydaniem swych zarządzeń, przygotowywane byłyby w atmosferze podnieconej, pod presją nakazu, a zapewne także — jak zwykle dotąd — w pośpiechu, a zatem w warunkach niekorzystnych dla powzięcia tak doniosłych uchwał. Następnie przyszedłby okres drugi, w którym minister zabrałby się do przenoszenia katedr według swego własnego planu. W tym okresie poniosłaby nauka niepowetowane straty. Przymusowe przesiedlanie profesorów i odrywanie ich od warsztatów pracy, które często ogromnym wysiłkiem sami zmontowali, byłoby z reguły jednoznaczne z zachwianiem, jeżeli nie ruiną zakładów. Odebrałoby też ono często uczonym możliwość prowadzenia nadal będących w toku prac, a uczniów pozbawiłoby kierowników. Jeżeliby takich przymusowych przesiedleń było dużo, to istniejąca dziś organizacja nauki na uniwersytetach poniosłaby tak wielkie straty i doznała tak silnych wstrząsów, iż nieprędko z nich wyleczyłby się mogła.

Nowe kategorie profesorów.

Lecz na tem nie koniec. Minister mógłby jeszcze, dla iluzorycznego wzmocnienia nauki na uniwersytetach, tworzyć — znów według swego uznania — katedry, względnie zakłady, poświęcone wyłącznie nauce, wolne od wszelkich zajęć dydaktycznych. Zostałby w ten sposób stworzony w Polsce now

typ profesora uniwersytetu, czystego naukowca. Przy abstrakcyjnej ocenie tego faktu mogłoby się wydawać, że tworzenie takich katedr, jako ośrodków czystej nauki na uniwersytetach, przysporzy im korzyści, jednakże, gdy bliżej go zanalizujemy na tle rzeczywistości, rychło przyjdziemy do innego przekonania. Oto należy sobie uprzytomnić, że po reformach ministra istnieć będą następujące kategorie profesorów: 1. profesorowie dawni, którzy utrzymają się na katedrach i pozostaną w swych pracowniach i seminarjach; 2. profesorowie nowi, mianowani przez ministra za zgodą rad wydziałowych; 3. profesorowie nowi, mianowani przez ministra bez zgody rad wydziałowych; 4. profesorowie wyróżnieni przez ministra jako czyści naukowcy i wprowadzeni do rad wydziałowych bez obowiązku nauczania młodzieży akademickiej. Śmiałbym twierdzić, że nawet wtedy, gdyby minister przy tworzeniu tych kategorii profesorów szczególnie szczególnie miał rękę, nowy stan rzeczy byłby o wiele gorszy od dzisiejszego. Dziś, przy równości wszystkich katedr i jednym typie profesorów, tworzą oni organizację jednolitą i zwartą, a rady wydziałowe, z nich złożone, pracować mogą zgodnie i sprawnie. Prawa i obowiązki wszystkich są jednakowe, jednakowe też są szanse rozwijania owocnej i twórczej pracy naukowej i jednakowy na koniec stosunek profesorów do uczniów, zarówno w sali wykładowej, jak w pracowniach i seminarjach. Po przeprowadzonej reformie, na zasadzie nowej ustawy, wszystko to uległoby zmianie. W radzie wydziałowej zasiadłoby obok siebie profesorowie, należący nie do jednej, lecz do czterech różnych kategorii, zaś ich prawa i obowiązki leżałyby nie w jednej — jak dotychczas — płaszczyźnie, szarmonizowanej pracy naukowej i wychowawczej, lecz co najmniej w drugiej jeszcze płaszczyźnie interesów czystej nauki. Profesorowie, choćby byli najtęższymi uczonymi, ale spełniający równocześnie obowiązki nauczycielskie, mogliby być teraz upośledzeni na rzecz kolegów, kierujących zakładami czysto naukowymi, zarówno w opinii społeczeństwa, jak i uczniów, a ich dotacje naukowe byłyby zapewne znacznie mniejsze od dotacji uprzywilejowanej kategorii profesorów. Z czasem musiałoby to doprowadzić do rozdźwięków

w zgodnych dotychczas gronach profesorskich, do niezdrowej rywalizacji, a przy obsadzaniu katedr i stanowisk sił pomocniczych, do niepożądanych starć. Że w takich warunkach zniknęłaby w uniwersytetach atmosfera spokoju, tak bardzo nauce potrzebna, i że obniżyłby się musiał ich poziom i autorytet — nikt chyba nie zaprzeczy.

Takie byłyby m. in. nieszczęsne konsekwencje wprowadzenia w życie nowej ustawy o szkołach akademickich z punktu widzenia interesów nauki.

Przeciwnicy argumentują; zwolennicy milczą.

Dlatego jasne jest, że szkoły akademickie nie dały swej zgody na projekt nowej ustawy. Rozumieją one lepiej od wielu członków państwowej rady oświecenia publicznego, nie mających z nauką twórczą nic wspólnego, że grozi on dezorganizacją, jeżeli nie wprost katastrofą. Profesorowie, występujący przeciw projektowi, przedstawiają obecnie publicznie swoje argumenty i pragnęliby, aby nieliczni — na szczęście — zwolennicy nowej ustawy wypowiedzieli również publicznie swoje racje, czyniąc zadość słusznemu zapatrywaniu, wypowiedzianemu przez ministra W. R. i O. P., iż sprawa tak jest doniosła, że poddana być musi wszechstronnej i publicznej dyskusji.

My, którzy projekt ten zwalczamy, czynimy to w głębokim przekonaniu o jego szkodliwości i dlatego, póki nas inni swemi rzeczowemi argumentami (nie krzykiem!) nie przekonają, że obawy nasze są niesłuszne, będziemy go nadal zwalczali. Uznając uniwersytety za główne ogniska i świątynie nauki, a przekonani o tem, że projekt nowej ustawy burzy jedynie zdrową zasadę ich samorządu naukowego, jesteśmy w takim położeniu, w jakim znajduje się człowiek pielęgnujący winnicę, gdy widzi, że nadciąga burza gradowa. Będziemy też, tak jak on, skierowywać wyloty mózdzierzy ku chmurze i tak długo do niej strzelać — argumentami, aż ją, przy pomocy ludzi dobrej woli, rozprószy.

WŁADYSŁAW NATANSON,

profesor i b. rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego,
członek czynny Polskiej Akademji Umiejętności.

SZKOŁY AKADEMICKIE.

„W administracyi Państw i w rządzie ludzi,
„ledwo co można ogólnego pomyśleć, coby nie
„ukrywało niebezpiecznych omyłek. Odmiany
„w zastarzałych instytucjach sprowadzają czę-
„stokroć nieprzewidziane nieszczęścia; a nowym
„nie dają się zakrzewić i podnieść. Co innego jest
„rzeczy nowe budować a co innego od wieków
„zbudowane przerabiać. W tym ostatnim przy-
„padku, nie godzi się wywracać i niszczyć, tylko
„to, co jest szkodliwe.”

Jan Śniadecki: *Żywot literac-
ki Hugona Kollątaia*, z opisaniem Sta-
nu Akademii Krakowskiej, w jakim się
znaydowała przed rokiem Reformy 1780

Ze zdziwieniem i bólem, z niepokojem i troską, dowiedzie-
liśmy się o postanowieniach, obowiązywać mających w nowej
Ustawie Szkół naszych Akademickich. Uczucia te dzielają
wytrawni i doświadczeni polscy profesorowie. Zdaniem ludzi,
którzy lata życia poświęcili uprawie nauki i nauczaniu akade-
mickiemu, w opinii uczonych, oddanych swej pracy, kochają-
cych swe szkoły, według głębokiego przekonania mężów, któ-
rym nie odmówi nikt miana prawych obywateli i dobrych sy-
nów Ojczyzny, — Projekt nowej Ustawy godzi w istotne za-
sady życia uniwersyteckiego, zagraża rozwojowi naszych Szkół
Głównych, przeczy ich przeszłości i podważa ich przyszłość.

I

Od stuleci, we Włoszech, we Francji, w Anglii, w Szkocji
i w wielu innych krajach i państwach istnieją Szkoły Najwyż-

sze lub Głównie, t. zw. *Studia Generalia*, jak pierwotnie mawiano, *Uniwersytety*, jak wyrażamy się dzisiaj, rozumiejąc przez tę nazwę całość Instytucji, nie tylko zaś (jak dawniej) zespół nauczających w niej osób. Takie *Studia* powszechne, *Wszechnice*, dostrzegamy np. w Salerno w jedenastym, w Bolonii, w Paryżu, w Oxfordzie w dwunastym, w Cambridge w trzynastym, w Krakowie w czternastym stuleciu. Były to stowarzyszenia lub związki, w istocie były to *cechy* nauczycieli, którzy poświęcali się kształceniu dojrzewającej młodzieży. Żyli w uczuciach siostrzanych, pracowały w porozumieniu i poważaniu wzajemnym, we współzawodnictwie szlachetnym, dla celów wysokich i czystych. Magistrów różnych krain i ludów łączyła wspólna mowa, sprzymierały dążenia zgodne; wszyscy szli w tę samą służbę, wszyscy mieli *ius* lub *facultatem ubique docendi*, przywilej przepiękny, od którego jakże daleko odbiegliśmy dzisiaj. Wiele zginęło, wiele przepadło z tych ludzkich nici i węzłów, z wszechludzkich ideałów, upragnień; lecz przecież jedno do dnia dzisiejszego przetrwało. Uniwersytety są korporacjami i korporacjami nadal pozostać powinny. Idea korporatywna leży w ich założeniu, tradycji, w ich istocie i treści; w korporatywnym ustroju jest źródło ich siły, ich urok, powaga, ich wartość i zwartość; w takiej, korporatywnej podstawie tkwi godność ich pracy, jest *fons et origo* ich roli w dziele Oświaty, w postępie Kraju, w budowie Państwa. Wobec młodzieży, wobec społeczeństwa, zasada korporatywnego wewnętrznego układu daje *Wszechnicy* dostojeństwo, każdego zaś akademickiego nauczyciela ożywia poczuciem odpowiedzialności moralnej, żąda od niego wysiłków i poświęceń ofiarnych. Tylko korporatywny charakter może zapewnić Szkole Najwyższej atmosferę czystą, pełną wzajemnej ufności, atmosferę współpracy zgodnej i harmonijnej, atmosferę szczerości, swobody, odwagi, gdzie tolerancja panuje, gdzie mądrość przywodzi, gdzie doświadczenie, rozważa i sprawiedliwość otoczone są czcią. Uczestnicząc w korporacji, jak równy z równymi, żyjąc w koleżeństwie, w tradycjach uprzejmej życzliwości i dobrego obyczaju, w poczuciu otaczającej go sympatii i poważania, badacz, uczony, profesor znajduje zachętę, pomoc i poparcie w swej pracy, uczy się cenić przykłady, związki, ogniwa, które go łączą z prze-

szością, uczy się czcić obowiązki względem następujących pokoleń.

II

W wielu krajach i państwach prawodawstwo uszanowało przywileje Korporacji Uniwersyteckich. Monarchie i Rządy, Parlamenta, Senaty i Sejmy chroniły ciała akademickie, dopomagały ich pracy, godząc ją z dobrem publicznem, korzystając, dla powszechnego pożytku, z ich trudu i ofiar. W Anglii, gdzie niespisane prawa trwają niewzruszone w sumieniu obywatelskiem, Władze, pełne wdzięczności i umiłowania dla Oxford, dla Cambridge, zdawien dawna wyrzekły się wpływu na wewnętrzne ich sprawy, na własny ich rząd. Nikt tam nie głosi, jakoby Oxford i Cambridge (choć oczywiście istnieją kosztem Narodu) wyłamywały się z obowiązku odpowiedzialności publicznej, naruszały jednolitość budowy państwowej; jakoby, stanowiąc średniowieczny przeżytek, zasługiwały na rychłe ujęcie w urzędowe szablony. Pruski systemat rządowy, choć przesiąknięty tyranją, aż do brutalności bezwzględna, choć zbudowany na przesadnej, na nedorzeczej tezie wszechmocy Państwa, chociaż nieznośnie zazdrosny o panowanie nawet nad myślą „poddanych“, — umiał przecież w lot pojąć duchową Uniwersytetów potęgę; zachowawszy im nietykalność starodawnego ustroju, skierował ich siłę, mądrze i zręcznie, ku zabiegom o dobro Ojczyzny. Po bitwie pod Jeną, gdy zdeptane Prusy leżały bezsilne u stóp Napoleona, Rząd Pruski postanowił „straty terytorjalne powetować intelektualnym wysiłkiem“. W krótkim czasie powołano do życia cztery nowe Uniwersytety, założono rozmaite inne Szkoły i Instytuty naukowe; rząd wyposażał je hojnie, w obliczu kraju okazywał im zaufanie i uznanie zupełne. Niebawem już Lord Palmerston nazywał Prusy „krajem przeklętych profesorów“. I ci profesorowie wydzwignęli Prusy i Niemcy z materialnego upadku, wzniesli je do materialnej potęgi, która, jak groźba ponura, przeraziła, za naszych już czasów, wszystkie inne ludy i państwa. Niestety, owi uczeni, owi myśliciele zapomnieli powiedzieć Narodowi swojemu: że, bez sumienia, wiedza li tylko złą jest pokusą; że siła, jeśli nie jest sprawiedliwa, uczci-

wa, nakłania do grzechu i wówczas, niechybnie, prowadzi do kary.

Inne wybrał drogi nowożytny Cezar, Wódz-Imperator. Napoleon cenił naukę, rozumiał jej wartość. Do Egiptu wyjechał, otoczony orszakiem uczonych: Monge, Berthollet, Fourier należeli do jego najbliższych. Proklamacje swe w tej epoce tak podpisywał: *Général Bonaparte, membre de l'Institut*. Oświadczał: *je suis sûr d'être compris du dernier tambour*. Lubił, nagradzał uczonych, szukał ich towarzystwa, prowadził z nimi dysputy, sypał na nich tytuły, zaszczyty. Ale dokoła siebie nie znosił niczyjej siły, żadnej, nawet duchowej potęgi. Uniesiony swem szczęściem, pijany genjuszem, w sobie tylko dostrzegał sprężynę wszystkich publicznych urzędów. Spętawszy wychowanie od góry do dołu, ujawszy w rusztowanie sztywne, bezduszne, wielką pracę Oświaty, Napoleon oddał przysługę złą Francji; duch Narodu powoli i trudno wyzwał się z narzuconych mu oków.

Biurokracja rosyjska, cesarska, ciasna, krótkowidząca, ograniczona, zawzięta, naśladowała skwapliwie, cokolwiek w Europie było złe, błędne, brzydkie, ohydne; z zimnem okrucieństwem Wschodu znęcała się nad naszym Uniwersytetem, polskim, w Warszawie, nad Uniwersytetem Wileńskim, nad Szkołą Główną, dziełem Wielopolskiego; równie zaciekłe dławiła objawy ducha korporatywnego w Uniwersytetach rosyjskich. Wiadomo, jak walne u siebie odniosła zwycięstwo. Dzisiejsi władcy, w kraju rozpacz i męki, zniweczyli doszczętnie wszelką myśl niezawisłą, stłumili godność, inicjatywę, chęć pracy, uczciwą odwagę, zniszczyli dobre imię i powagę Wszechnic rosyjskich.

III

Słyszymy zewsząd, od roku, o rzekomo nadmiernej autonomji Szkół naszych Akademickich. Jak grube nieporozumienie tkwi w posługiwaniu się mylną tą nazwą! Uniwersytety i inne nasze Wszechnice nie mają autonomji, we właściwym znaczeniu tego wyrazu. Rządzą się Ustawą, wypracowaną (przy pomocy Uniwersytetów) przez Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, w latach 1919 i 1920, i usta-

nowioną w drodze prawodawczej; indywidualne Statuty Szkół Głównych zatwierdziło też Ministerstwo, zwierzchnią władzę i nadzór nad nimi mające. Wszystkie obowiązujące przepisy, prawidła i regulaminy, normujące na przykład: bieg studiów, rozkład ćwiczeń, egzaminów, sposoby uzyskiwania stopni naukowych i t. p., pochodzą od Ministra W. R. i O. P. Według obecnie obowiązującej Ustawy, i według praktyki życia, Uniwersytetom, i innym Szkołom naszym najwyższym, służy tylko szczupły, ograniczony i ściśle kontrolowany samorząd. W dziedzinie gospodarki finansowej, w zakresie układania i wykonywania budżetów, Szkoły Akademickie przedkładają tylko życzenia i prośby, Ministerstwo rozstrzyga, nawet o drobnych wydatkach. Sprawy nie tylko już katedr, również habilitacje, lektoraty, wykłady zlecone, zastępstwa, sprawy asystentów, sprawy nawet personelu służby, woźnych, odźwiernych, zależą od ministerjalnej decyzji. Dotacje Zakładów, Klinik, Pracowni i Seminarjów normują, i w wykonaniu nadzorują, Władze Rządowe. Roboty budowlane są całkowicie wyjęte z pod wpływu Władz Akademickich. Rektor Szkoły Głównej nie rozporządza żadnymi, dosłownie *ż a d n e m i* funduszami, których użycie byłoby pozostawione jego uznaniu. Rola Senatów Akademickich oraz Rad Wydziałowych, we wszystkich sprawach dotyczących o budżet, sprowadza się do możliwości przedstawiania potrzeb Instytucyj Ministrowi W. R. i O. P., do wnoszenia do Ministerstwa przedłożeń, wniosków i życzeń.

Obowiązująca Ustawa zapewnia, bezwątpienia, Szkołom naszym Akademickim prawo swobodnego wyboru Rektorów; to prawo nie jest zgoła objawem jakowejś niezawisłości Wszelkie nazewnątrz (niezawisłości, która, jak powiedzieliśmy, wcale nie istnieje); prawo to jest naturalnym, oczywistym, wynikiem ich wewnętrznie-korporatywnego ustroju. Rektor jest głową Zgromadzenia uniwersyteckiego, jego wodzem i duszą; nie ma być bynajmniej jego zwierzchnikiem lub władcą, jego przełożonym i sprawcą. Jest reprezentantem Korporacji wobec Ministra, nie zaś delegatem czy zastępcą Ministra wobec Korporacji. Rektor, który miałby być usuwalny, zatem od Ministra zależny, Rektor zabarwiony lub skrepowany przez polityczne prądy, zmiany lub fluktuacje, będzie: albo bezsilny, albo szkodliwy, w łonie Uniwersytetu; będzie to może dygnitarz, nie

będzie to Rektor. *Primus inter pares*, Rektor przewodniczy swej Szkole, jest gospodarzem w jej domu; wyobraża jej godność i dostojęństwo, jej promieniowanie, jej aureolę. Rektora wybieraliśmy zawsze swobodnie w Uniwersytecie Jagiellońskim; wybieraliśmy go j e d n o m y ś l n i e; w naszym Uniwersytecie nieznany jest Rektor większości ani, tem bardziej, mniejszości. Ufamy swobodnie wybranemu Rektorowi, szcycimy się nim; naszą wolą z pomiędzy nas wyszedł, więc jesteśmy mu chętnie i szczerze posłuszni. Swobodnie wybrany Rektor przedstawi rzetelnie prośby Wszechnicy Władzy Edukacyjnej Najwyższej; taki Rektor powie prawdę. Usuwając rzeczywistego przedstawiciela i rzecznika Uniwersyteckiego Towarzystwa, stawiając na jego miejscu byle pionka lub powolne sobie narzędzie, Władza Edukacyjna przecięłaby nici, które łączyły ją zawsze dotychczas z polskimi Szkołami Akademickimi; ucierpiałoby wówczas niechybnie dobro publiczne.

Wszędzie, gdzie pracują użytecznie i pięknie, korporacje uniwersyteckie uzupełniają się same; ten ich przywilej (jak wykazało doświadczenie lat wielu) jest jedyną skuteczną gwarancją naukowej wartości Szkół Głównych, jedynem ubezpieczeniem wysokiego poziomu ich nauczania. Nikt trafniej nie może ocenić wiedzy, zdolności, zasług i charakteru kandydata do katedry, niż jego ewentualni koledzy; dla czci zawodu, dla honoru Szkoły, muszą oni dokładać starań, ażeby, niezależnie od wpływów ubocznych, najwłaściwszego, najgodniejszego używać. Szanując to kardynalne *palladium*, obowiązująca Ustawa ograniczała je silnie, zastrzegając stanowcze *veto* Władzy Naczelnej, przedewszystkiem Ministrowi Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Tem ustanowieniem rozdzielono prawa i obowiązki rozważnie, przezornie; liczono się sprawiedliwie z wymaganiami Nauki, lecz również z prerogatywą Władz Państwa. Projekt nowej Ustawy czyni wyłom w tych normach; w razie niedojścia do porozumienia z zainteresowaną Korporacją, pozwala Ministrowi W. R. i O. P., by przedstawiał Prezydentowi Rzplitej kandydatów do zamianowania, wbrew wnioskowi Rady odnośnego Wydziału. Mianowany tą drogą, narzucony kolegom, profesor musiałby obudzić w swej Korporacji uczucia nieufności, niechęci, urazy; musiałby w niej być osamotniony i odepchnięty. Czy cieszyłby się uszanowaniem,

powagą, wobec akademickiej młodzieży? Takie nominacje wywołują zawsze opór, starcia i zamęt, które szkodzą Nauce, szkodzą Wszechnicy, szkodzą młodzieży, szkodzą Ojczyźnie.

Według proponowanych przepisów, każdy, na katedrze czynny profesor mógłby, jak się zdaje, być przeniesiony do innej Szkoły, do obcego miasta, wbrew swemu życzeniu, wbrew opinii odnośnych uniwersyteckich Zgromadzeń; bez żadnej winy, bez dyscyplinarnych dochodzeń, mógłby być usunięty ze stanowiska i zaliczony do emerytów, w razie t. zw. zmian organizacyjnych, które mogą pono polegać na zwinięciu jednego zakładu, jednej katedry. Jeżeliby takie postanowienia, niebywałe dotychczas w polskich Szkołach Akademickich, weszły istotnie w życie, profesorowie w naszym Kraju straciliby poczucie bezpieczeństwa, poczucie trwałości posterunków uniwersyteckich, swobody zdania, niezależności obywatelskiej głosu, zatem również i wolności nauczania, którą głoszą artykuły 1 i 27 Projektu Ustawy. Straciliby szacunek, otaczający ich urząd w społeczeństwach światłych. Straciliby gotowość i zaiste niemal możliwość użytecznej służby Nauce, ofiarnej służby Krajowi.

Żeby coś dobrze robić, trzeba lubić tę czynność; w robocie swej trzeba mieć radość, mieć dumę. Uczony nie jest maszyną do pisania, do rachowania lub wykładania; jest żywym człowiekiem, który ma potrzeby, pragnienia, wrażliwość, uczucia, który ma sumienie i duszę. Projekt Ustawy usiłuje oddzielić nieprzebytą ścianą: naukową pracę i twórczość profesora od całej reszty jego żywotnych dążeń i stosunków. Takie rozgraniczenie jest możliwe na papierze projektów; w rzeczywistości życia byłoby smutnem złudzeniem.

Swoboda jest piastunką wielkich umysłów i charakterów prawych a czystych. Strach nie zastąpi uszanowania; obawa nie bywa fundamentem zacnym, na którym narodowe instytucje zasadzać się mogą. Przymus wydobywa z rzesz ludzkich, co w nich najbrzydszego się tai; ale na duszach lichych trwale budować nie można.

Dążymy do wniosku. Projekt Ustawy nie odbiera autonomji Szkołom naszym Akademickim, albowiem one autonomji zgola nie mają. Projekt znosi resztki samorządu uniwersyteckiego, zamiast niego ustanawia dowolną wszechwładzę Mini-

stra. Projekt niweczy korporatywną ideę ustroju naszych Wszechnic, przekreśla ich prawdziwy rozpęd oraz źródło ich zdrowia, łamie sprężynę ich pracy, tajemnicę ich wpływu na młodzież, na przyszłość naszego Narodu.

IV

Powiadają: skoro Państwo nie może zapewnić wszechstronnego rozwoju wszystkim Szkołom naszym Głównym, niech zatem zarządzi pomiędzy niemi pewien „podział pracy”. W pewnym Uniwersytecie niechaj Minister W. R. i O. P. zaleci pielęgnowanie np. matematyki, w innym wiedzy polonistycznej, medycyny lub filozofji i t. d.

Pomysł napozór pojętny; możnaby sądzić, że godzi interes Skarbu Państwa z potrzebami nauki. Lecz to tylko pozór. W istocie myśl jest chybiona, myśl *a priori*, wytwór rozumowania, nie rzeczywistości, nie: życia.

Nauki są zależne wzajemnie od siebie; sztucznie dzielone i rozłączane być nie powinny. Nauki zahaczają o siebie, wzajemnie się przenikają i zapładniają i wówczas właśnie wydają najpiękniejsze owoce. Matematyka oddziałuje na logikę, fizyka przeobraża kosmogonię, stwarza nowe gałęzi techniki, filozofji nowe widnokreśli otwiera. Chemja splata się z fizyką u samych swych podstaw; astronomja i fizyka zależą od postępów matematycznej analizy. Statystyka matematyczna przenika do wszystkich oddziałów Historji Naturalnej, do biologji, etnologji, antropologji, do nauk społecznych. Matematyka znowu, nawzajem, może zejść na manowce, jeżeli badanie zjawisk Natury nie toruje dróg jej pochod. Nauki lekarskie nie mogłyby rozwinąć się w Uniwersytecie, w którym nie uprawiano by wszechstronnie, usilnie, nauk chemicznych i biologicznych; bez nich nie mogą, podobnie, obejść się nauki rolnicze. Językoznawstwo spotyka się nieustannie z psychologją, niekiedy i z fizjologicznemi studjami. Nauki historyczne, w swym żywym postępie, łączą się z geografją, z etnografją, z antropologją, z archeologją, z socjologją; niezliczone nici wiążą pracę historyka z filologicznem badaniem. Wszystkie wogóle umiejętności humanistyczne stanowią nierozłączną i niepodzielną całość. Filozofja z założenia swojego, ze swej istoty, ma ujmować i obejmować

wszystkie nauki ludzkie, które poczytuje za częściowe, szczególne lub, jak piszą pisarze: „s z c z e g ó ł o w e”.

Bez wątpienia jest prawdą, że Oxford słynie oddawna jako siedziba nauk humanistycznych, Cambridge jest zaś jedną ze stolic matematycznych i przyrodniczych dyscyplin. Ale ten „podział pracy” odbywał się dobrowolnie, samorzutnie i dokonał się dopiero po upływie stuleci. Specjalizacji Oxfordu i Cambridge nikt nie doradzał i nikt nie nakazał; Oxford i Cambridge są niezawisłe i rządzą się same. Nie należy zresztą przypuszczać, ażeby rozdział nauczania i badań był tam radykalny; nauki ścisłe i przyrodnicze w Oxford, humanistyczne zaś w Cambridge, mają również wielkie tradycje i szczerobliwą opiekę i pomoc.

Projekt, o którym jest tutaj mowa, ma utopijny charakter; lecz mógłby przybrać również szkodliwe i może niebezpieczne oblicze. Gdyby próbowano torować mu drogi, doprowadziłby wrychle do upośledzenia niektórych Uniwersytetów, do podziału Szkół Akademickich na ułamkowe i pełne, na niższe i wyższe.

Chlubny rozkwit pewnej nauki w pewnej Wszechnicy zależy od zmiennych, przemijających, od zawiłych i nieobliczalnych okoliczności; nie może być wywołany sztucznie, stworzony rozporządzeniem. Jest to owoc wiedzy, pracy, jest to wynik wytrwałości i woli, jest to dzieło talentu, potęgi twórczej ducha ludzkiego.

V

Uniwersytety, Politechniki i inne Szkoły nasze Główne nie są naogół czemś świeżem, nowem, plastycznym, co wypada przetwarzać, przekształcać. Uniwersytet Jagielloński liczy 568 lat nieprzerwanego istnienia. Inne nasze Wszechnice, choć młodsze, chociaż nieraz bywały nękane lub zgoła zamykane przez wroga, odradzały się z klęsk i rozgromu i rozwijają się dzisiaj, niektóre wspaniale, dziwiąc, radując żywotnym rozpędem. Państwo winno Wielkim Szkołom pomagać, albowiem są ostoją Nauki, siedzibą doświadczenia i pracy, ogniskiem polskiej myśli; są warsztatem, w którym rodzi się nasze jutro. Należy bronić tych Szkół, zasłaniać je przed zawiścią i niską napaścią. Należy je rozszerzać, powoli uzupełniać, ostrożnie i roz-

ważnie ulepszać; źle byłoby je zacieśniać, we własnem poczu-
ciu i w opinii Kraju obniżać, przygnębiać.

Nauka wyraża dziś pragnienia, dążności, instynkty społe-
czeństw, podobnie jak wyrażała je kiedyś rzeźba grecka, archi-
tektura gotycka lub wielka romantyczna poezja. Nauka jest
poznawaniem, jest pojmowaniem i ujmowaniem rzeczywistości;
dlatego musi być s w o b o d n a, dlatego jest: n i e z w y c i ę-
ż o n a.

STANISŁAW ZAREMBA,

profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego,
członek czynny Polskiej Akademii Umiejętności.

POGLĄD NA MINISTERJALNY PROJEKT USTAWY O SZKOŁACH AKADEMICKICH.

Rozporządzając bardzo ograniczonem miejscem, poprzestaniemy na zwięzłym omówieniu najważniejszych tylko cech projektu ministerjalnego ustawy o szkołach akademickich.

Powyższy projekt i rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 27 października r. 1932, o stosunku służbowym profesorów państw. szkół akademickich i pomocniczych sił naukowych tych szkół, stanowią w rzeczywistości jedną całość; wobec tego, przy omawianiu rzeczzonego projektu, uwzględnimy i wspomniane rozporządzenie.

Według ustępu pierwszego art. I projektu, zadaniem szkół akademickich „jest prowadzenie twórczej i badawczej pracy naukowej (artystycznej), wdrażanie do samodzielnych badań naukowych (twórczości artystycznej), kształcenie młodzieży na świadomych swych obowiązkach i twórczych obywateli Rzeczypospolitej, oraz przygotowanie jej do wykonywania zawodów, wymagających naukowego opanowania danej gałęzi wiedzy i samodzielnego sądu o wchodzących w ich zakres zagadnieniach teoretycznych i praktycznych“.

Uznając w zupełności trafność powyższej charakterystyki zadania szkoły akademickiej, przechodzimy do zbadania, w jakiej mierze projekt ministerjalny sprzyja zadawalniającemu rozwiązaniu tego zadania.

Wobec powyższego poglądu na cele szkoły akademickiej profesor takiej szkoły winien pilnie śledzić za postępami gałęzi umiejętności, będącej jego fachem, oddawać się samodzielnym badaniom w zakresie swego fachu, starannie przygotowywać swoje

wykłady oraz, przez ściśle spełnianie swoich obowiązków i godne zachowywanie się, wpływać swoim przykładem na wzmacnianie obowiązkowości słuchaczy i wogóle na podniesienie ich poziomu moralnego. Tak pojętym obowiązkom może profesor sprostać w całej pełni tylko pod warunkiem poświęcania im wszystkich swoich sił umysłowych i moralnych oraz stworzenia dla siebie w zakładzie, w którym jest profesorem, warunków, zapewniających mu owocną pracę. Warunki te polegają w każdym razie na dokonaniu odpowiedniego podziału pracy z najbliższymi z fachu Kolegami, na kształceniu swoich asystentów oraz na wyposażeniu biblioteki seminaryjnej w potrzebne dzieła; jeżeli chodzi o profesora jednej z nauk eksperymentalnych, to musi on urządzić laboratorium, odpowiadające wymogom jego badań. Urzeczywistnienie powyższych warunków wymaga całych lat wytrwałej pracy. Wobec tego przeniesienie profesora wbrew jego woli z jednego stanowiska na jakieś inne równałoby się często zniweczeniu owoców długoletnich jego wysiłków a w każdym razie poważnie zmniejszyłoby wydajność jego pracy. Konieczną jest tedy rzeczą, żeby profesor miał pewność, że nie zostanie przedwcześnie pozbawiony stanowiska, jeżeli tylko nie popełni jakiejś winy, stwierdzonej przez sąd dyscyplinarny, który przedstawia wszystkie gwarancje kompetencji i bezstronności. Niestety jednak, na podstawie ustępu 9 rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej, w rzeczywistości profesor szkoły akademickiej może być zwolniony według uznania rządu, bo zawsze możnaby łatwo stworzyć warunki, umożliwiające zastosowanie wspomnianego ustępu rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej.

Taka zależność profesora od czynników rządowych godzi w jego poczucie godności, zmniejsza jego autorytet wobec słuchaczy i sprzyja obniżeniu poziomu moralnego ciała profesorskiego, albowiem profesorowie o słabszym charakterze niewątpliwie bardziej troszczyć się będą o względy ministra, aniżeli o dokładne spełnianie swoich obowiązków.

Przechodząc do sprawy mianowania profesorów, zaznaczamy na podstawie długoletniego doświadczenia, że rada interesowanego wydziału szkoły akademickiej przedstawia niewątpliwie największe gwarancje kompetencji i bezstronności, kiedy chodzi o wybór kandydata na profesora. Z drugiej zaś

strony, względy natury politycznej często wywierają wpływ na zdanie ministra o kandydacie, przedstawionym przez radę wydziałową. Sądzymy tedy, że ta okoliczność, iż w myśl brzmienia art. 33 omawianego projektu ustawy, kandydat, odrzucony przez ministra, nie może być ponownie przedstawiony przez radę wydziałową, pociągnęłaby za sobą wprost zgubne następstwa. Naszem zdaniem powinienby minister korzystać z prawa odrzucania kandydata, przedstawionego przez radę wydziałową, tylko w przypadkach bardzo wyjątkowych, a rada wydziałowa powinna być zawsze być uprawniona do podtrzymywania kandydatury osoby przez siebie wybranej.

Sądzymy także, iż ten ustęp art. 33, który uprawnia ministra, po dwukrotnem odrzuceniu kandydatów rady wydziałowej, do spowodowania, według własnego uznania, nominacji jednego z kandydatów, „wymienionych w większości odpowiedzi profesorów, biorących udział w ankiecie“, doprowadzałby często do zamianowania nieodpowiednich osób; należy bowiem nie zapominać, że profesorowie interesowanego wydziału bez porównania dokładniej badają kwalifikacje ewentualnych kandydatów na profesora, aniżeli inni profesorowie, przyjmujący udział w ankiecie; z drugiej zaś strony współpracownictwo z kandydatem, narzuconym przez ministra, z natury rzeczy byłoby bardzo utrudnione; nareszcie pewną jest rzeczą, że dla ministra względy natury politycznej byłyby często decydujące.

Postanowienia projektu w odniesieniu do rektora i do komisji dyscyplinarnej odwoławczej, łącznie z omówionym już wyżej ustępem 9 rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej (z dnia 27 października) o stosunku służbowym profesorów państwowych szkół akademickich i przepisami, określającymi, według omawianego projektu, tryb postępowania przy nominacji profesora zapewniają czynnikom rządowym tak daleko idącą ingerencję do szkół akademickich, że niewątpliwie wprowadziłyby do rzeczonych szkół wielce niepożądane wpływy natury politycznej.

Dodajemy z naciskiem, że ingerencja Rządu do spraw dyscyplinarnych uczniów wywarłaby bardzo niekorzystny wpływ na ich wychowanie moralne: dla ucznia czynniki rządowe przedstawiają tylko władzę, opartą na sile fizycznej, natomiast profesorowie są ich przyjaciółmi, wyposażonymi przedewszyst-

kiem w autorytet moralny. Wobec tego kara, wyznaczona przez sąd profesorski w jakiejś sprawie dyscyplinarnej, zwykle mniej boli ucznia sama przez się, niż jako oznaka potępienia przez osoby poważane i często lubiane przez młodzież.

Nie należałoby na poparcie omawianego projektu powoływać się na organizację uniwersytetów francuskich; rząd francuski korzysta z praw mu przysługujących w tak skromnej mierze, iż w praktyce byt uniwersytetów we Francji jest taki, jakgdyby miały daleko idącą autonomję.

Na zakończenie zaznaczamy z naciskiem, że, według naszego głębokiego przekonania, radykalne zmiany organizacji instytucyj o ustroju, wypróbowanym przez długi szereg wieków, są rzeczą niewątpliwie bardzo niebezpieczną i dlatego stanowczo przeciwwskazaną.

Nie twierdzimy bynajmniej, żeby niektóre szczegóły istniejącej u nas organizacji uniwersytetów i innych szkół akademickich nie mogły być z korzyścią zmienione, ale sądzimy, że zasada autonomji szkół akademickich i zasada niezależności profesorów tych zakładów od prostego uznania czynników rządowych, powinny być uszanowane w całej pełni, pod grozą spowodowania nieobliczalnej szkody dla narodu i państwa.

BOHDAN WINIARSKI,

profesor Uniwersytetu Poznańskiego,
poseł na Sejm.

O BYT SZKÓŁ AKADEMICKICH.

Dotychczasowa ustawa o szkołach akademickich.

W ostatnich kilku miesiącach głębokie zaniepokojenie w społeczeństwie, wzburzenie wśród profesorów i młodzieży szkół akademickich, wywołały już wydane rozporządzenia i ogłoszone projekty w sprawie reorganizacji naszych uniwersytetów, politechnik i akademij. Zaskoczone niemi społeczeństwo z największą troską zwróciło oczy na swe szkoły wyższe. Nic dziwnego, że o tych szkołach zaczyna się coraz więcej mówić i pisać. Dzieje się to tak, jak z organizmem ludzkim: dopóki wszystkie narządy pracują normalnie, nie czujemy ich, nie myślimy o nich, „nie wiemy, że je mamy“; jeżeli zaczynamy któryś z nich odczuwać i musimy o nim myśleć, znak to, że jest zagrożony.

Przez czternaście lat opinia polska mało miała sposobności zajmować się szkołami akademickimi: dowód, że pracowały normalnie. Nietylko pracowały normalnie, ale osiągnęły bardzo piękne rezultaty i z okresu przełomu, początków i organizacji weszły rychło w okres rozkwitu. Najczcigodniejszy ze wszystkich Uniwersytet Jagielloński, i Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie szybko wypełniły luki, spowodowane przez powołanie licznych profesorów na trzy inne tworzące się uniwersytety i przodują nadal w pracy; warszawski może się wykazać w niektórych działach wręcz wspaniałemi wynikami; najmłodszy, poznański, rozwinął się z rozmachem zadziwiającym i w wielu działach nie ustępuje najlepszym uni-

wersytetom. Politechnika warszawska należy do najpierwszych w Europie. Przeszło 40.000 młodzieży pod kierunkiem tysiąca profesorów przygotowuje kierownicze kadry warstw oświeconych w Polsce, ucząc się rzetelnego szukania prawdy, pracy dla nauki i kultury ojczyzny, przygotowując się metodami naukowymi do zawodów praktycznych w służbie kraju.

Szkoły doskonala swe metody i stawiają młodzieży coraz wyższe wymagania; istniejące tu i ówdzie niedomagania są stopniowo usuwane; inaczej, jak stopniowo, usuwane być nie mogą. Profesorowie naogół zadowoleni są z młodzieży, która do swych przewodników naukowych ma zaufanie, pracuje wcale dobrze i wchodzi w życie coraz lepiej przygotowana. Jeśli są braki, to młodzież przynosi je, niestety, ze szkoły średniej.

Te pokrzepiające każdego Polaka rezultaty można było osiągnąć w znacznej mierze dzięki dobrej organizacji naszych szkół akademickich, opartej na ustawie z 13 lipca 1920 roku. Ustawa ta już we wstępie nadzwyczaj trafnie ujmuje istotę i cele szkolnictwa akademickiego.

Zadaniem szkół akademickich jest „służyć nauce i ojczyźnie. W tym celu mają one szukać i dochodzić prawdy we wszystkich gałęziach wiedzy ludzkiej oraz przewodniczyć na drodze poznawania tej prawdy przez młodzież akademicką, a przez nią rozpowszechniać ją wśród całego narodu polskiego w imię zasad, przyświecających moralnemu i umysłowemu doskonaleniu się rodzaju ludzkiego.“ A dalej czytamy:

„Zadaniem szkół akademickich jest również przygotowywanie młodzieży do zawodów praktycznych, których wykonywanie wymaga naukowego opanowania różnych gałęzi wiedzy i samodzielnego sądu o wchodzących w ich zakres zagadnieniach teoretycznych i praktycznych.“

„W ten sposób szkoły akademickie mają spełniać jak najwierniej to szczytne zadanie, które już przed wiekami wskazał najstarszej z nich jej założyciel, król Kazimierz Wielki, życząc jej, aby była „nauk perłą, aby wychowywała ludzi przezornych i dojrzałego sądu, cnotą zdolnych i w naukach biegłych, a zarazem, aby stała się krynicą umiejętnej wiedzy, z której mogliby czerpać wszyscy.“

W dwanaście lat po wydaniu tej ustawy, która, jednomyślnym zdaniem profesorów, umożliwiła rozwój nauki i wyższego nauczania w Polsce i tylko w szczegółach może wymagałaby zmian niewielkich, zamierza się zburzyć gmach piękny, wygodny i mocno zbudowany, aby na tem miejscu stworzyć jakiś prowizoryczny barak, o którym nie wiadomo, jak będzie wyglądał i jakim celem będzie służył.

Wszelka dobra organizacja szkół akademickich musi — jak to wykazało doświadczenie wielu wieków i wszystkich krajów — opierać się na ich wewnętrznym samorządzie; tak jest dotychczas i w Polsce. Jest to odwieczna i dobra tradycja uniwersytetów polskich i słusznie ustawa z 1920 r. powołuje się na Kazimierza Wielkiego, od niego to bowiem, od r. 1364, nieprzerwanie ta tradycja w Polsce istnieje. Po rozbiorach, staraniem ks. A. Czartoryskiego, odżyła w Uniwersytecie wileńskim, wychowała nam pokolenie Filaretów i Filomatów, a nawet posłużyła za wzór krótkotrwałej zresztą organizacji uniwersytetów rosyjskich; blaskiem swym opromieniła Szkołę Główną warszawską. Na tej podstawie zorganizowane były dwa przez długi czas jedyne uniwersytety polskie: w Krakowie i Lwowie; i choć ten ich ustrój nie pozostawał w bezpośrednim związku z tradycją polską, to jednak pośrednio pochodził z jednego pnia wspólnej europejskiej cywilizacji.

Na zachodzie, w okresie rządów absolutystyczno-policyjnych, odbierano uniwersytetom ich odwieczny ustrój autonomiczny; próbowano nauką i nauczaniem, profesorami i akademikami kierować administracyjnie i policyjnie. Rezultaty były wszędzie opłakane: upadała praca naukowa, obniżał się zastraszająco poziom nauczania, szkolnictwo wyższe ulegało dezorganizacji. I dlatego w ciągu XIX wieku wszędzie znowu oparto organizację uniwersytetów na zupełnym samorządzie, powracając właściwie w ten sposób do dawnych zasad, które teraz stały się nowoczesnymi zasadami. Wielki rozwój szkolnictwa wyższego na Zachodzie był właśnie rezultatem tej nowej, a tak dawnej organizacji.

O autonomji uniwersytetów w całym tego słowa znaczeniu można mówić tylko w Anglii i Ameryce. W Anglii uniwersytety, zwłaszcza dwa najstarsze: w Oxford i Cambridge, są prawie, albo zupełnie niezależne od państwa, mogą same usta-

lać swą organizację, posiadają wielkie kapitały, majątki, fundacje. Na kontynencie jest inaczej: w Polsce o autonomji można by właściwie mówić o tyle tylko, że uniwersytety mogą uchwalać sobie odrębne statuty, które jednak muszą pozostawać w ramach ustawy z 1920 r. i uzyskać zatwierdzenie Ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Ale w Polsce, jak we wszystkich prawie krajach kontynentu, szkoły akademickie mają zagwarantowany samorząd: wolność nauki i nauczania, niezależność profesorów, obieralne władze akademickie, którym podlegają profesorowie i młodzież, wolność wewnętrznej organizacji w ramach prawa i pod ogólnym nadzorem Ministra W. R. i O. P. To są warunki, bez których szkoły akademickie mogą tylko wegetować.

Czy teraz ma być odrzucona tradycja niepodległej Polski, nakazy doświadczenia Zachodu, dorobek czternastoletniej pracy w Polsce odrodzonej? Na to trzeba odpowiedzieć wyraźnie: tak, albo nie.

Czem grozi projekt ustawy o szkołach akademickich.

Projekt ustawy o szkołach akademickich oświadcza na wstępie I artykułu, że te szkoły „zorganizowane są na zasadzie wolności nauki i nauczania“, że ich zadaniem jest prowadzenie „twórczej pracy naukowej“ i „wdrażanie do samodzielnych badań naukowych“, mówi o samodzielnym sądzie twórczych obywateli, — ale w treści nic tym pięknym słowom nie odpowiada. Co więcej: jest rzeczą oczywistą, że zamierza się znieść dotychczasową zasłużoną ustawę z r. 1920 właśnie dlatego, że zawiera ona niezbędne, rzeczywiste rękojmie wolności badań naukowych i nauczania, bez której niema uniwersytetów.

Gwarancjami wolności nauki i nauczania jest nieusuwalność profesorów akademickich, odpowiedni sposób ich mianowania, wreszcie pewność, którą im winna dać ustawa, że będą odpowiadali tylko za czyny, niezgodne z prawem, obowiązkami swego stanu i honorem, i to w warunkach, zapewniających zupełną bezstronność tych, co ich sądzić będą.

Mimo, że ustawa, upoważniająca do wydawania rozporządzeń z mocą ustawy, wykluczyła wyraźnie z pełnomocnictw

ustawy szkolne, na kilka dni przed otwarciem sesji sejmowej, z datą 27 października r. b., ukazało się Rozporządzenie Prezydenta Rzplitej, zmieniające prawo z 1928 r. o stosunkach służbowych profesorów. Obok mnóstwa zmian nieistotnych i niepotrzebnych, umieszczono w niem skromne postanowienie, że w razie „zmian organizacyjnych” w szkole akademickiej minister może przenieść profesora w stan nieczynny, przenieść do innej szkoły, na inny wydział, a po roku „nieczynności” — i na emeryturę. A projekt ustawy o szkołach akademickich przewiduje, że minister może znosić wydziały, oddziały, studia i zapewne poszczególne katedry.

Otóż do pracy naukowej i pedagogicznej potrzebny jest spokój; profesor musi być spokojny o to, że go z dnia na dzień nie pozbawią katedry, że jego skromny byt (w Polsce profesorowie należą do najgorzej płatnych) jest przynajmniej zapewniony, niezależnie od jego poglądów naukowych i politycznych, że się jego charakteru i godności profesorskiej i poprostu ludzkiej nie będzie wystawiało na próby. Uniwersytet potrzebuje wydatnej i ofiarnej pracy wszystkich swoich członków i nie zważa na to, że np. zoolog ma przekonania rządowe, a prawnik jest w opozycji, póki obaj sumiennie spełniają swe obowiązki.

Nieusuwalność profesorów nie jest bezwzględna. I dziś profesor może być usunięty z katedry, ale tylko uchwałą Senatu akademickiego, na podstawie skazującego wyroku sądu dyscyplinarnego albo honorowego. Dotychczasowe przepisy z r. 1928 dawały wystarczające rękojmię bezstronności postępowania dyscyplinarnego. Ostatnie rozporządzenie czyni przepisy o stosunkach służbowych bardziej „kauczukowemi”. Wprowadzono niezwykle zakaz „wchodzenia w zmowy”, który to wyraz może oznaczać wszystko; uzależniono oskarżyciela dyscyplinarnego od „władzy, która wdrożyła postępowanie”; nie sąd dyscyplinarny, lecz minister może profesora zawieszać w czynnościach i pozbawiać go połowy uposażenia.

Nie należy też sądzić, aby dziś obowiązująca ustawa uniemożliwiła wszelką reformę, czy reorganizację szkół akademickich, ale to może stać się tylko w zgodnem porozumieniu z zainteresowaną szkołą. Tak, kiedy sławnej pamięci Komisja

Edukacyjna przystąpiła do reorganizacji szkolnictwa, Uniwersytet Jagielloński oddał się jej do dyspozycji i wtedy dopiero Kołłątaj mógł przeprowadzić swe reformy.

Dla wysokiego poziomu nauki i nauczania, dla należytego funkcjonowania, wręcz dla bytu szkół akademickich, pierwszorzędne znaczenie posiada sposób powoływania profesorów. Dziś powołują ich rady wydziałowe, przyczem przepisy gwarantują należyty namysł i wszechstronny osąd wartości kandydata, jako człowieka i uczonego. Poprostu nie można wskazać ciała bardziej kompetentnego, zwłaszcza, gdy się zważy, że rada ma obowiązek zasięgać co do każdej wakującej katedry zdania wszystkich profesorów tego przedmiotu na innych uniwersytetach. Według projektu, rozesłanego Senatowi w listopadzie, minister może odrzucić kandydata rady wydziałowej, i wtedy właściwie mianuje sam, nawet wbrew jedno-myślniej opinii rady. Minister więc — w praktyce przedewszystkiem jakiś urzędnik ministerjalny, czy urzędnik administracyjny, czasem nawet bez wyższego wykształcenia — daje większe rękojmie kompetentnego wyboru we wszystkich gałęziach wiedzy, od budowy mostów czy turbin do sanskrytu i od anatomji do teologii, niż grono specjalistów, które dla swej szkoły, dla swego wydziału, dla siebie dobiera towarzysza pracy, mającego być ich chlubą i ozdobą?

Członkowie wydziału, wciąż współpracując ze sobą, tworzą jakby rodzinę; każdy członek, jeżeli ma jakieś braki w charakterze czy wychowaniu, może zatruć życie kolegom i utrudnić ich harmonijną i owocną pracę. I oto administracja miałaby teraz narzucać wydziałom profesorów! W jakim celu? I jacy to ludzie, jakie głowy i jakie charaktery będą chciały tą drogą dostać się do wydziału? Dziś minister może nie przedstawić do nominacji kandydata, powołanego przez wydział i zatwierdzonego przez senat, ale nie może nikogo narzucić; musi ostatecznie nastąpić uzgodnienie stanowisk szkoły i ministerstwa. Odtąd byłyby dwie kategorie profesorów: powołanych i narzuconych. Jakby wyglądały stosunki wśród ciała profesorskiego? Jaka powaga narzuconych wśród młodzieży? Lepiej o tem nie mówić. Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że ten punkt będzie też musiał przy ostatecznem opracowaniu ustawy ulec zasadniczej zmianie.

Na zakończenie jeszcze jedno. Do profesury wymaga się długiego i kosztownego przygotowania: doktorat, docentura bezpłatna; profesorem zwyczajnym zostaje się koło 40-go roku życia: kawałek chleba w Polsce nader skromny, ale też nie dla kariery idzie się na profesora, tylko z zamiłowania do nauki, z powołania do szerzenia ukochanej wiedzy w cennej niezależności, którą profesor miał dotychczas.

Szkoły akademickie w Polsce z troską patrzą w przyszłość, bo wszystko co zdolne, z otwartą głową, znajduje łatwiejszą i szybszą drogę wybicia się w życiu; kandydatów do zawodu profesorskiego mniej, niżbyśmy pragnęli. W projektowanych warunkach, kto zechce poświęcić się profesurze? Kogo można będzie odkomenderować na profesora?

Gdyby projekt miał stać się prawem, pozostanie zewnętrzna powłoka szkół akademickich, zresztą mocno zdeformowana; ale duch, ożywiający je dzisiaj, duch niezależnej pracy naukowej i pedagogicznej, uleci z niej bezpowrotnie.

Zniesienie samorządu szkół akademickich.

Dzisiejszy europejski i polski samorząd szkół akademickich polega na tem, że każda z tych szkół ma swoje obieralne władze, którym podlegają jej profesorowie, studenci, urzędnicy i służba; że te władze decydują o wszystkim, co dotyczy wewnętrznego życia szkoły, oczywiście w ramach prawa i pod ogólnym nadzorem ministra; że szkoła jest osobą prawną, zarządza zarówno własnym majątkiem, jak — w ramach budżetu — dotacją ze skarbu państwa; że wszelkie zmiany w ustroju szkoły, tworzenie nowych wydziałów, oddziałów, studjów, katedr i ich znoszenie wymagają jej zgody.

Naczelną władzą szkoły jest senat, do którego należą wszystkie ważniejsze decyzje; najwyższy dostojnik szkoły, rektor, reprezentuje szkołę nazewnątr, jest przewodniczącym senatu, wykonawcą jego uchwał, zwierzchnikiem profesorów, studentów i personelu administracyjnego. Kierownictwo sprawami naukowymi i administracyjnymi wydziału należy do rady wydziałowej; stanowisko dziekana na wydziale jest naogół podobne do stanowiska rektora względem całego uniwersytetu. Ustawy zapewniają najzupełniej rządowi wszelką kontrolę nad działalnością tego samorządu.

Nowa ustawa ma to wszystko wywrócić aż do fundamentów. Art 5 projektu głosi, że senat jest naczelną władzą szkoły, ale dalsze artykuły odbierają mu wszystkie decyzje, pozostawiając kilka uprawnień bez znaczenia. Projekt tworzy nową władzę: ogólne zebranie profesorów, której także nie daje żadnej kompetencji. Wszystkimi staje się rektor — i minister. A prawdopodobnie także „kierownik sekretariatu“, który ma wszelkie szanse stać się „nadrektorem“.

Rektor dziś jest mężem zaufania grona profesorskiego. Zazwyczaj zasiadał już przez parę lat w senacie, jako delegat wydziału, dziekan czy prodziekan, zatem zna administrację całości uniwersyteckiej; ma przy sobie prorektora, swego poprzednika, którego doświadczenie wspiera go w razie potrzeby; może być wybrany dwa i więcej razy z rzędu; kompetencja i ciągłość kierunku mogą być dostatecznie zabezpieczone.

Według projektu, minister może odrzucić wybór rektora i w rezultacie mianować tego, kto otrzymał w głosowaniu choćby jeden głos, choćby swój własny, wbrew jednomyślnemu (bez jednego głosu) wyborowi. Może zatwierdzonego przez siebie w każdej chwili usunąć (to się nazywa delikatnie: cofnąć zatwierdzenie). Niezatwierdzony i „cofnięty“ nie mogą być wybrani ponownie.

Rektor ma być mianowany na trzy lata; kosztem senatu ma być wyposażony w znaczną władzę, która go zrobi małym dyktatorem uniwersytetu: dyktatorem w każdej chwili usuwalnym i zostającym w praktyce pod opieką czynnika „ciągłości polityki“, jakim ma być kierownik sekretariatu uniwersytetu. Wskazali już rektorowie i przedstawiciel Akademii Umiejętności na Radzie Oświecenia Publicznego, że w tych warunkach trudno zapewne będzie znaleźć poważnego profesora, któryby się zgodził zostać rektorem. Zato ten, kto nim zostanie i ostanie się, ma pobierać ze skarbu dodatkowe wynagrodzenie, które, jak niesie wiatr od Warszawy, ma być wcale pokaźne.

Wreszcie rzecz niezmiernie charakterystyczna. Na 54 artykuły projektowanej ustawy mówi się aż 85 razy o tem, że minister zarządza, zatwierdza, odmawia, odrzuca, ustala: co więc zostaje dla samorządu uniwersyteckiego? Raz jeden

nawet (86-ty) projekt ustawy stwierdza z powagą, że jakaś drobna decyzja nie wymaga zatwierdzenia ministra! Z wyżej wymienionych przypadków projekt aż w 28 sprawach powierza ustalenie szczegółowych przepisów Ministrowi W. R. i O. P. Jest to więc typowa dla ostatnich lat naszych dziejów ustawa „luzowa“; są to pełnomocnictwa dla ministra do dyskrecyjnego załatwiania spraw, które albo winny być zdecydowane w ustawie, albo oddane do decyzji samym szkołom akademickim.

Wszelki samorząd musi posiadać samodzielne podstawy finansowe. Rozporządzenie z 12 lipca b. r. zabrało uniwersytetom cały dochód z opłat akademickich na rzecz nowego „funduszu“ (ośmnastego czy dziewiętnastego z rzędu), którym dysponuje minister i którego administracja, dotychczas nic nie kosztująca, wyniesie pewno ponad pół miliona złotych.

Jeżeli na podstawie pociągnięć dotychczasowych można już wyobrazić sobie przyszły ustrój szkół akademickich, to przedstawiać on się będzie zapewne tak: o wszystkich sprawach tych szkół stanowi samodzielnie minister W. R. i O. P. przy pomocy rektora i kierownika sekretariatu. Głos szkoły nic nie znaczy. Ba! Niewiadomo nawet, czy ta szkoła, jako jedna całość, istnieje. Bo wraz z senatem znika organ, który koncentrował wszystkie sprawy uniwersytetu, był tej jednostki istotnem uosobieniem. Wydziały będą stanowiły właściwie osobne szkoły, które dowolnie będzie się znosiło, dzieliło, łączyło, będzie się dodawało, bez zgody uniwersytetu, nowe przybudówki, z istotą uniwersytetu niezwiązane i nie wymagające nawet od swych uczniów ukończenia szkoły średniej ogólnokształcącej.

Zwolennicy tego projektu powołują się na wzory francuskie. Grube nieporozumienie! Tych wzorów trzeba by szukać nie na Zachodzie, lecz na Wschodzie.

A co z młodzieżą akademicką?

Uniwersytet — to nie tylko nauka i nauczanie, profesoria i władze akademickie, zakłady i fundusze: to także — i nie na ostatku bynajmniej — młodzież. I nie na ostatniem bynajmniej miejscu o nią chodzi w projekcie, o którym mowa.

Min. Jędrzejewicz powiedział w głośnym wywiadzie, ogłoszonym przez „Iskrę”: „Wytyczne wychowawcze muszą być ustalone, skoordynowane, ujednolicone, a wykonanie ich kontrolowane przez odpowiedzialny czynnik państwowy. Zbiorowe ciała profesorskie wyższych uczelni, niezależne jedno od drugich, nie są w stanie podołać zadaniom wychowawczym. Zwierzchni nadzór i naczelne kierownictwo w tej dziedzinie musi przejąć państwo.” Właściwie: administracja.

Nauczania od nauki, wychowania od nauczania nie można oddzielić w życiu równie łatwo, jak to uczynił p. minister w wywiadzie. Przedewszystkiem dlatego, że na uniwersytecie studują ludzie dojrzały, od 18 czy 19 lat do 25 i więcej, bardzo krytyczni, i w zasadzie już wychowani w domu i szkole średniej. Wychowywanie dojrzałej młodzieży na uniwersytecie odbywa się zupełnie innemi, niż tam, środkami. Działa tu przedewszystkiem osobisty wpływ profesora, a zwłaszcza przykład, jaki profesor daje swem życiem, swą pracą, swym charakterem. Przyjrzyjcie się, jacy profesorowie wywierali wpływ wychowawczy na młodzież w Wilnie mickewiczowskim, w Szkole Głównej warszawskiej, na Uniwersytecie Jagiellońskim i Jana Kazimierzowym przed wojną, a zrozumiecie, dlaczego Pelikany nigdy, nikogo i w żadnym kierunku wychować nie potrafiały.

Wpływ wychowawczy wywiera życie w ustroju samorządowym, na prawie opartym, pod bliskimi i zaufaniem cieszącymi się, choćby najbardziej surowemi władzami uniwersyteckimi, w atmosferze pracy i przyjaźni, karności i wolności akademickiej, w licznych stowarzyszeniach, od Bratniej Pomocy i kół naukowych począwszy, aż do A. Z. S'u i Chóru Akademickiego.

W ten sposób młodzież nietylko się uczy, ale i przygotowuje do życia obywatelskiego na szerszym, bo całe państwo obejmującym terenie.

Czy drogi tego oddziaływania wychowawczego potrzebują ustalenia, skoordynowania, „ujednolicenia”? Czy rzeczywiście zbiorowe ciała profesorskie nie są w stanie podołać zadaniom wychowawczym? Przecież jedność duchowa Polski nie jest frazesem, lecz rzeczywistością. Istnieje typ polskiego uniwersytetu, polskiego profesora, młodzież polska

wszędzie jest ta sama i wszędzie w Polsce jest u siebie. Czyż to nie jest najpotężniejszy — i wystarczający — czynnik jedności? Ale to co innego, niż strychulec administracyjny.

P. minister zapowiedział, że nad młodzieżą, której część „niesłuchanie zdziczała“, „władza ministra zostanie dość znacznie wzmocniona“. Według projektu ma się to wyrażać przede wszystkim w tem, że minister W. R. i O. P. obejmuje — obok władz akademickich — nadzór i opiekę nad stowarzyszeniami młodzieży, ustala wszelkie szczegóły ich organizacji, jako też zakres odpowiedzialności członków zarządu za działalność stowarzyszeń, a nawet może ustalić typ ramowych statutów tych stowarzyszeń.

Obok komisji dyscyplinarnej, wybranej przez senat z pośród profesorów szkoły akademickiej, zostaje wyznaczona przez ministra komisja odwoławcza, wprowadzie także z profesorów, ale bez jakiegokolwiek wpływu senatu. I cóż, że projekt mówi, iż rektor i członkowie komisji dyscyplinarnych mają być samodzielni i niezależni, kiedy właśnie projekt znosi całkowicie niezależność rektora i profesorów?

A kto ma być oskarżycielem? Rodzaj kar, właściwość komisji i rektora, tryb postępowania dyscyplinarnego — wszystko to zależy od ministra, który „ustali“ tak, jak zechce. Jeśli właściwa komisja dyscyplinarna oskarżonego uzna za niewinnego, albo ukarze — zdaniem ministra — zbyt łagodnie, minister nakaże przeniesienie sprawy do komisji odwoławczej; a jeśli innego znowu komisja dyscyplinarna uzna winnym, minister może karę złagodzić lub darować... Znowu ustawa „luzowa“.

Wreszcie minister może, bez pytania władz szkoły akademickiej o zdanie, zawiesić częściowo lub całkowicie wykłady, a nawet zamknąć szkołę „w całości lub częściach“, poczem studenci mogą być przyjęci do szkoły ponownie i — po raz drugi uiścić całą, tak znaczną, opłatę. To są sumy miljonowe. Według rozporządzenia z lipca r. b. może z odroczenia opłat korzystać tylko nieznaczna część młodzieży (na I roku 5 proc. ogólnej sumy)!

Najsurowsi pedagogowie nie szczędzą słów krytyki dla tych przepisów, nie tają swych obaw co do ich skutków, gdyby prawem stać się miały. Utrzymać porządek na uniwer-

sytecie, mieć posłuch wśród młodzieży, mogą jedynie ciesząc się jej zaufaniem władze uniwersyteckie. Widzieliśmy, jak szanowany i kochany przez młodzież rektor uśmierzał wzburzone tłumy jednym słowem.

Uzależnienie życia stowarzyszeń akademickich od „ustaleń” ministerjalnych może stać się źródłem nieustających za targów, które niepotrzebnie zaburzać będą spokojny dziś bieg pracy młodzieży i profesorów. A co sądzić ma prawnik o tej solidarnej odpowiedzialności członków zarządu i stowarzyszonych, a nawet w s z y s t k i c h słuchaczy danego uniwersytetu? Jakaż to odżyła „krugowaja poruka” (ogólna wzajemna poręka)?

W tej ciężkiej próbie, na jaką mają być wystawione nauka polska i szkoły akademickie, profesorowie i młodzież, jedno pociesza i krzepi: oto senaty i rady wydziałowe, profesorowie bez różnicy przekonań politycznych, z niezwyklej jednomyślnością — o wyjątkach wprost niewarto mówić — i całą mocą przekonania wypowiadają się przeciwko zmianom zarówno już dokonanym, jak projektowanym. A to są przecież naturalni, najbardziej kompetentni doradcy Ministra W. R. i O.P. w sprawach nauki i szkolnictwa wyższego. Czy w Polsce dzisiejszej będzie to miało jakieś znaczenie?

STANISŁAW PIGOŃ,

profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego,
b. rektor Uniwersytetu St. Batoiego w Wilnie,
członek korespondent Polskiej Akademji Umiejętności.

REFORMA CZY PRZEWROT W SZKOLNICTWIE WYŻSZEM?

Sprawa, która od dłuższego czasu w formie pogłosek niepokoiła oświeconą opinię publiczną, sprawa zamierzonej reformy szkół akademickich, wyjaśniła się ostatecznie i nabrała kształtów realnych. P. Minister W. R. i O. P. rozesał obecnie projekt tej reformy („uzgodniwszy“ go wpierw z różnemi czynnikami pozauniwersyteckimi) senatom szkół akademickich do — nieobowiązującego oczywiście — zaopiniowania. Projekt ten stał się też podstawą ożywionej dyskusji po dziennikach i czasopismach.

Z dotychczasowego przebiegu dyskusji widać, że projektowana reforma spotyka się z szeregiem zastrzeżeń i zarzutów daleko idących i mocno uzasadnionych. W jednym z wywiadów wspomniał p. Minister, że „niektórzy profesorowie boją się“ tej reformy. Jak widać z dyskusji, „boją się“ rzeczywiście. Ale niekoniecznie „niektórzy“ tylko, i niekoniecznie temu stwierdzeniu trzeba nadawać odcień złośliwy. Wśród „bojących się“ widzimy nestorów nauki, uczonych najwyższej rangi i zasługi, którzy o siebie bać się już nie potrzebują, boją się zaś najwyraźniej o sprawy wyższe niż własny los, boją się o naukę i o losy jej warsztatów. Przeciwko projektowi, jak dziś już wiadomo, opowiada się prawie cały świat profesorski, opowiedziały się jednomyślnie senaty wszystkich szkół akademickich, najwidoczniej również zatrwożone perspektywami, jakie dla nauki i nauczania wyższego otwiera na przyszłość wspomniany projekt ustawy.

Jakoż wejrzenie bliższe w szczegóły jego usprawiedliwić może słusznie owe obawy. Pierwsze wrażenie, jakie się narzuca przy lekturze projektu, jest, że to, co on przynosi, to nie reforma, ale raczej rewolucja, zupełny przewrót obowiązujących dotąd, utrwalonych oddawna, zasad ustroju szkół akademickich, i to zarówno w fundamentach ich samorządu jak i w stosunkach do młodzieży. Potrzeba zaś tego przewrotu nie wydaje się dostatecznie uzasadniona, a skutkom jego nie można, jako żywo, rokować pożytku ogólnego.

Dotychczasową podstawę prawną życia naszego szkolnictwa akademickiego daje ustawa z r. 1920. Powstała ona jako rezultat zbiorowych, przez departament szkół wyższych w Ministerstwie W. R. i O. P. zorganizowanych narad, w których brali udział starsi profesorowie, b. rektorzy, ludzie doświadczeni w życiu samorządowym uniwersyteckim. Ustawa ta naogół nienajgorzej pełni swe zadanie. Niektóre usterki, wytknięte przez fachową krytykę i wykazane przez praktykę, usunięto nowelą, projekt dalszej nowelizacji opracowano na jednym ze zjazdów rektorskich. Ustawa unormowała życie wewnętrzne szkół akademickich nie tylko starych, rządzących się wyrobionym zasobem tradycji, ale i nowych, w których naturalnie ani harmonia kolegów profesorskich, ani wogóle normatywna siła obyczaju akademickiego, czy choćby powszedni tryb porządku administracyjnego, nie były wyrobione. Niemniej ustawa pozwoliła rychło ułożyć wszędzie należyty porządek, zadanie swe pełni więc naogół niezgorzej.

Ustawa ta przyznała szkołom akademickim samorząd w tym mniej więcej stopniu, w jakim go miały poprzednio uniwersytety krakowski i lwowski. Samorząd to bynajmniej nie nadmierny. Władzę zwierzchnią nad szkołami akademickimi ma według ustawy minister W. R. i O. P. On przedstawia wyżej (lub odmawia przedstawienia) wnioski nominacyjne, on przedłuża (lub nie) prawo wykładania profesorom, którzy przekroczyli granicę wieku i t. d. Ministerstwo reguluje i kontroluje gospodarkę finansową szkół, zużycie sum budżetowych i pozabudżetowych, także administrację fundacyj i t. p. Z praw autonomji jednakowoż wynika, że szkoły akademickie mają własne władze samorządowe: wybieranych rektorów i senaty (w niektórych ponadto ogólne zebrania profesorów), rady

wydziałowe i dziekanów; dalej, że kolegium profesorów może się uzupełniać tylko na podstawie wniosków poszczególnych rad wydziałowych, i naodwrot, że profesorów raz mianowanych usuwać można tylko z powodu wieku lub w konsekwencji postępowania dyscyplinarnego; następnie, że szkoły te mogą nadawać stopnie naukowe, nostryfikować dyplomy obce, przeprowadzać habilitacje, wreszcie, że mają własną jurysdykcję nad młodzieżą.

W nowym projekcie ustawy wszystko to ulega daleko idącym ograniczeniom, a w znacznej mierze odpada zupełnie. Rektor ma być zatwierdzany przez Prezydenta Rzeczypospolitej, a minister może go do zatwierdzenia nie przedstawić, a nawet samorzutnie wystąpić z wnioskiem o cofnięcie zatwierdzenia raz udzielonego. W sytuacji, jaka potem powstanie, minister będzie mógł przedstawić do mianowania rektorem kandydata, który nie ma za sobą zaufania większości grona profesorskiego. Niedosć tego, także na normalny wybór rektora uzyskuje minister pośrednio wpływ, on bowiem „ustala sposób wyznaczania delegatów“ wydziałowych, którzy są elektorami rektora (nb. nie powiedziano, żeby elektorami mieli być, jak dotychczas, także dziekani i prodziekani, t. zn. członkowie senatu, z którym rektor ma współpracować; już tutaj może być źródło niepożądaney dysharmonji).

Projekt ustawy zmierza do podniesienia nietylę autorytetu ile władzy rektora, ale przewiduje to w sposób osobliwy. Mianowicie tylko tam, gdzie rektor ma zapewnione poparcie ministra. W razie np. konfliktu między rektorem a senatem, sprawa nie rozstrzyga się, jak dotąd, na płaszczyźnie zaufania, ale podpada pod rozstrzygnięcie ministra; nie jest więc wyłączona i taka sytuacja, że rektor, mąż zaufania ministra, rektorować będzie wbrew woli senatu czy kolegium profesorskiego. Czynić zaś tak może przez trzy lata. Mogą to być nawet rządy „silnej ręki“, ale nie będzie to już chyba władza samorządowa w ścisłym sensie.

Jednakowoż o „silnej ręce“ niema tu co mówić. Równocześnie bowiem władza rektorska ma faktycznie ulec silnemu ograniczeniu. Projekt przewiduje przebudowę aparatu administracyjnego szkół wyższych, tworzy inaczej niż dotąd zorganizowany sekretarjat. z „kierownikiem sekretarjatu“, fak-

tycznym rektorem administracyjnym na czele, a organizację sekretariatu wyłącza z pod kompetencji szkoły i przekazuje znów ministerstwu. Że kryje się za tem istotne ograniczenie władzy i autorytetu rektorskiego, a zarazem nowe źródło wewnętrznych kolizyj w zarządzie szkołą — to chyba dostatecznie jasne. Pomysł takiego kierownika administracyjnego przewijał się już oddawna w ministerjalnych planach reformatorskich, bywał przedmiotem obrad na zjazdach rektorów. Na szczęście dotąd w tej sprawie ważyły racje a nie *sic volo*, to też pomysł został zarzucony. Teraz wraca wbrew racjom.

W mocy ministra ma być następnie przenoszenie lub zwijanie katedr obsadzonych. I ten pomysł podważa bardzo zasadniczo dotychczasowy ustrój autonomiczny szkół wyższych. Do istotnych warunków celowej *ratio studiorum* należy możliwość dobierania potrzebnych katedr, tworzenia zakładów etc. Oczywiście, nie działo się to dotąd bez zgody ministra, boć sprawa ma konsekwencje budżetowe i personalne, zależne właśnie od rządu. Było jednak przynajmniej tyle, że stanu posiadania raz uzyskanego nie można było zmienić bez wniosku odpowiedniej rady wydziałowej. Obecnie i ta zasada znika. Minister będzie mógł już to odbierać, już też dodawać katedry (nb. obsadzone) poza, a nawet wbrew zgodzie zainteresowanych ciał naukowych. Trudno zaś chyba wyobrazić sobie taki wypadek kolizji poglądów, w którym minister miałby za sobą względy naukowe, a rada wydziałowa — pozanaukowe. Normalny będzie wypadek właśnie przeciwny. W ten sposób poderwana zostanie faktycznie zasada wolności nauczania, wolności celowego organizowania nauki, zasada (jak głosi pierwsze zdanie projektu) mająca być rzekomo podwaliną nowej także ustawy. Związek profesora z katedrą zależeć bowiem może już nie — jak dotąd — wyłącznie od instancji naukowych, ale od woli władzy administracyjnej i politycznej. A czemże będzie wolność nauki bez nieusuwalności (wolności) uczzonego i nauczającego?

Podobnież w trybie powoływania nowych profesorów istna rewolucja. Dosyć powiedzieć, że projekt przewiduje możliwość uzupełniania gron profesorskich także poza wnioskiem rad wydziałowych, przyczem oczywiście znowu nie jest do pomyślenia sytuacja, w której dla stanowiska ministra decy-

dujące byłyby kryteria naukowe, dla rady wydziałowej zaś, obejmującej ludzi o rozmaitych poglądach, inne, np. polityczne.

Proponowane w projekcie zmiany sięgają równie głęboko w dotychczasowe kompetencje szkół wyższych w stosunku do studentów. Nadzór i opiekę nad stowarzyszeniami akademickimi dzielić mają odąd szkoły z ministerstwem. Zresztą podział to bardzo nierówny. Warunki i tryb zakładania (i rozwiązywania) stowarzyszeń akademickich, sposób nadzoru i opieki, nawet typy statutów ustalone zostaną bynajmniej nie przez senat, nawet nie na wniosek senatu, ale w odległej ciszy gabinetu ministerjalnego. W postępowaniu dyscyplinarnem wobec studentów punkt ciężkości również przesuwają się na ministra; on wyznaczać będzie sąd dyscyplinarny wyższy, odwoławczy (instancją taką był dotąd właściwie senat), on też będzie według własnego uznania łagodzić lub darowywać kary, prawomocnie nałożone. Jedno z kardynalnych starych praw uniwersyteckich, prawo autonomji sądowniczej wobec własnych studentów, ma zostać także przekreślone.

Po tym krótkim przeglądzie projektowanych zmian w ustawie o szkołach akademickich, po zorientowaniu się w ich charakterze, bez trudu zgodzić się przyjdzie, że projektowana reforma będzie rzeczywiście raczej przewrotem, i to bardzo radykalnym i sięgającym bardzo głęboko w dotychczasowy, od dawien dawna ustalony i wypróbowany stan rzeczy.

Po takim zaś stwierdzeniu nasuwa się uporczywie pytanie: poco ten przewrót, co go spowodowało i co go uzasadnia?

P. Minister, przesyłając senatom projekt do zaopiniowania, nie podał uzasadnienia proponowanej przebudowy ustroju. Stawiając sobie zatem takie pytania, zdani jesteśmy tylko na dedukcję z samego projektu, poza tem zaś chyba tylko na pogłoski i domysły. Szukając odpowiedzi, zmuszeni więc jesteśmy posługiwać się metodą — by tak rzec — strącania.

Że nie dobro nauki, mówmy ostrożniej: że nietylko i nie przede wszystkim dobro nauki wchodziło w grę przy ustalaniu projektu, to możnaby przypuścić bynajmniej nie bezzasadnie. Cóż ma np. wspólnego z dobrem nauki tak zawzięte, jak tam przewidziano, usuwanie od prawa wykładania profesorów i docentów, którzy przekroczyli granicę wieku? Według projektu profesor, przechodząc w 65 roku w stan spoczynku,

choćby chciał, i choćby tego chciał wydział, nie może (bezinteresownie!) prowadzić wykładów i ćwiczeń bez zezwolenia ministra. Dotychczasowy statut Uniwersytetu Jagiell. dopuszcza to, i najśluszniej. Dla jakichś względów rzecz się okazała niepożądana. Dla jakich?...

By pokazać, czym to grozi w praktyce, nie trzeba by daleko szukać przykładów; możemy je brać z najbliższego otoczenia i to niejeden. Czyżbyśmy zaś mieli taki nadmiar uczonych, żeby z ich (powtarzam: bezinteresownej) pracy nauczycielskiej rezygnować z lekkim sercem? Granicę wieku oznaczono w naszej ustawie zbyt nisko (65 lat), niż w troskliwych przecież o naukę Niemczech (68 lat); uzyskanie zaś przedłużenia połączone jest u nas z tyloma przykrościami (ustalił się, niewiedomo dlaczego, zwyczaj w ministerstwie, że udziela się przedłużeń tylko z roku na rok, choć ustawa zezwala od razu na przeciąg lat 5), że poważni uczeni nie kwapią się siadać na corocznem cenzurowanem i nie godzą się, by wydział o to przedłużenie dla nich występował. W ten sposób uniwersytety tracą współpracę starszych profesorów, nierzadko pierwszorzędných uczonych i doświadczonych pedagogów, odchodzących w pełni władz twórczych.

W poszczególnych wypadkach dla miłych ministrowi uczonych można wprawdzie uzyskać tytuł profesora honorowego, a więc i możliwość dalszego wykładania. Cóż, kiedy uczyniono wszystko, żeby i tę godność poderwać w znaczeniu. Dotychczas profesor honorowy ma prawo zasiadania także w radzie wydziałowej, ma czynne i bierne prawo wyborcze, może zostać rektorem. W projekcie wszystko to zostaje mu odjęte. Autor projektu przyznał profesorowi honorowemu jeden tylko jedyny przywilej: „uczestniczenia w uroczystościach akademickich”. Jak za pracę niełatwą a bezinteresowną — to dość skapo. — A zatem, jak widzimy, troska o dobro nauki, duch opieki nad nauczaniem, nie zawsze przewiewa przez proponowane paragrafy projektu.

Z jakichże więc wyrósł on racyj? — Z pewnych szczegółów projektu wnosićby można, że w powstaniu jego odgrywał rolę wzgląd na oszczędności. Według wszelkiego prawdopodobieństwa wzgląd ten wypłynie jako argument w sejmie, gdzie nietylko racje fachowe, ile względy społeczno-gospodarcze

„reformy“ brane będą przede wszystkim pod uwagę. Projekt daje ministrowi wolną rękę w zwijaniu katedr, zakładów, całych wydziałów, a zatem umożliwia czynienie oszczędności. Czynienie ich wbrew zainteresowanym czynnikom uniwersyteckim, które w swym zrozumiałym może egoizmie, ale w egoizmie, bronić się chcą przed koniecznymi redukcjami. Argument, jak na ciężkie nasze czasy, wymowny i uwodzicielski. Tylko czy rzetelny? Mamy już pod tym względem pewne doświadczenia. Wiemy, że analogiczne reformy w innych dziedzinach naszej państwowości wpłynęły znakomicie na ilość młodych emerytów, t. zn. w rezultacie na wydatne obciążenie skarbu.

Nie zapędzajmy się jednak w pesymizm. Podobno chodzi tu przede wszystkim o racjonalną komasację dyscyplin i zakładów uniwersyteckich, jeżeli zaś o zniesienie katedry w jednej uczelni, to po to, żeby ją tem suciej zaopatrzyć w drugiej. Takie ujęcie rzeczy byłoby racjonalniejsze, tylko że znowu nie zapowiada ono jakichś nadmiernych oszczędności.

Rzeczywiście nikt trzeźwy nie zaprzeczy, że uniwersytety nasze młodsze powstawały z nagłą i bez gotowego jeszcze planu, obejmującego całość szkolnictwa wyższego; niema więc co tać, że wiele w nich improwizacji i doraźności. I niema dwóch zdań, że planowa gospodarka jest tu potrzebna. Chodzi tylko o drobnostkę. Dlaczegoż to gospodarka ta ma się odbywać poza wiedzą i wolą samych szkół akademickich? Czy że są niekompetentne, czy też że, tępo uparte w zbiorowym sobkostwie, niedostępne są dla wymagań życia? Gdzież dowód, cień dowodu, że tak jest?

Jużcić, bronią się szkoły wyższe, jak całe wogóle szkolnictwo, przed mechaniczną i nadmierną oszczędnością; są zdania, że państwo, które oszczędza na oświacie, jest podobne szaleńcowi, który dla oszczędzenia krwi podwiązywałby sobie arterje. Wiadomo np., że w Niemczech, gdzie kryzys dobrze dał się we znaki, nie przychodzi nikomu na myśl oszczędzać na etatach ani na dotacjach naukowych. W państwie o tak gęstej „sieci uniwersyteckiej“ nie zwinięto po wojnie ani jednej katedry. Owszem, zwłaszcza katedry „luksusowe“, gdzie profesor, egzotyczny specjalista, ma zaledwie 2 czy 3 uczniów, dotuje się tam nadal wydatnie, by podtrzymać zakład wybitnego

uczonego i by umożliwić w nim owocną pracę owym 3 studentom, znęconym sławą profesora z odległych krajów i mającym potem szerzyć w tych krajach sławę nauki niemieckiej. Niemniej nasze szkoły wyższe nie będą zapewne stawiać okoniem przeciwko uzasadnionej i racjonalnej oszczędności. Mamy przecież przykłady, że kasowano już całe zakłady (np. oddział architektury w wydziale sztuki Uniw. St. Bat.), a uniwersytet, acz z ciężkim sercem, na to się godził. Rzecz cała w tem, że te redukcje, obciążenia, zwijania, dokonywać się mają w przyszłości bez wniosków, a nawet wbrew zgodzie uczelni. I tu właśnie stajemy przed zagadką. Pocóż to odepchnięcie czynnika właściwego, instytucyj, które się najbliżej i najgłębiej orientują w potrzebach lokalnych, powiedzmy: regionalnych?

Potrzeba, czy konieczność obciążeń, zniesień etc. tak rozmaicie się przedstawia z obu stron widzenia: miejscowej i stołecznej. I nie zawsze z tej drugiej strony widać lepiej. Słyszę, — żeby mówić o sprawach bliżej mi znanych, — że np. wśród wydziałów czy studjów skazanych na zagładę mają być w uniwersytecie wileńskim: wydział sztuki i studjum rolnicze. Zdając sobie sprawę z braków i słabych stron tych embrjonalnych jeszcze tworów organizacyjnych, sądzę jednak, że kwestja ich zbędności wymagałaby gruntownej jeszcze dyskusji. Ze studjum rolniczem miałem dużo i bezpośrednio do czynienia w okresie, gdy (za ministerstwa p. Dobruckiego) los jego bardzo się chwiał, gdy właśnie w ministerstwie wiele nam mówiono o konieczności czy to zwinięcia go, czy też przekształcenia na zakład średni. I pamiętam też, z jaką gorliwością i wytrwałością społeczeństwo miejscowe, sfery ziemiańskie zwłaszcza, szły naówczas ręką w rękę z uniwersytetem w obronie tej zawiązującej się zaledwie placówki wyższej wiedzy rolniczej. Na szczęście, dobre racje przemogły wtenczas i przed wileńskim studjum rolniczem otwarły się jaśniejsze perspektywy. Miałaby dzisiaj te dobre racje stracić swój walor, okazać się niepotrzebne?

Podobnież na rolę i celowość zagrożonego dziś znów wydziału sztuki Uniw. Stef. Batorego poglądy były rozmaite. Nie zawadzi, być może, gdy się tu przypomni zdanie p. Marszałka J. Piłsudskiego, który, jako wskrzesiciel uniwersytetu, patrzył na sprawę od tamtej strony. „Dumny zawsze jestem, — pisał,

— że Wilno ma taki wydział, jakiego niema gdzieindziej; a tak się boję, że zimne podmuchy poziomości głupiego rozumku zdmuchnąć mogą i ten ledwie tlejący płomyk piękna w życiu, że chciałbym choćby trochę protestu z mej strony założyć.“ Podobnież w niejednym z innych, mających tu wejść w rachubę, wypadków komasowania, cięcia, zwijania etc. katedr, zakładów czy wydziałów, jest poza centralistyczną racją władzy zwierzchniej, racja tej drugiej także strony zainteresowanej. Dalibóg niesposób zrozumieć, dlaczegożby ona — w imię szerszego dobra sprawy — nie miała dojść do głosu, do pierwszego głosu?

A może — pomyśli ktoś — chodzi tutaj o usprawnienie wewnętrznego życia szkół akademickich przez większe ich scentralizowanie, przez pomnożenie władzy rektorów. Już poprzednio była mowa, że pomnożenie to w myśl projektu byłoby bardzo a bardzo względne. Ale gdyby nawet nie, to zdumiewałoby się przyszło: skąd ten pomysł? Czy stan dotychczasowy, wypróbowany oddawna, okazał się zły? Czy zaszły jakie wypadki, gdzie dobro szkoły czy dobro ogólne ucierpiało wskutek scysji rektora z senatem, wskutek „sejmowładztwa“ senatu? Nie sędzę, żeby można przytoczyć wypadków dostatecznie wiele i ważnych.

Zresztą i z tym przyszłym „wzmocnionym“ autorytetem rektora nie będzie bynajmniej tak wspaniale, i to nawet w tym fortunnym wypadku, gdy mu „kierownik sekretariatu“ nie zechce bróździć. Wobec jasno postawionej kwestji jego usuwalności przed upływem kadencji nie będzie on miał oparcia dla swego autorytetu nawet we własnem samopoczuciu. Obawiać się zatem należy, by o stosunkach, jakie powstaną dla rektorów po „reformie“, nie napisał w przyszłości jakiś historyk tego, co znakomity znawca wewnętrznych dziejów uniwersytetu wileńskiego, ks. prof. Br. Żongolłowicz, pisał o stanowisku kuratora w dawnym okręgu naukowym wileńskim: „Wobec ministra ma głos doradczy, wobec uniwersytetu pośrednikiem jest w stosunkach wszechnicy z ministrem. Jeżeli carem o władnie, będzie wszystkim; będzie czemś, jeżeli podbije tylko ministra; niczem zgoła, jeżeli car mu nieprzychylny lub minister wrogi.“ Obecnie także w analogicznym wypadku rektor będzie niczem, co gorsza, nawet nie rektorem.

Bo też nie łudźmy się. Nie o to wszystko chodzi w projekcie, cośmy tu wyżej wysuwali. Duch jego i stylizacja nie zostawiają wątpliwości, że celem głównym projektowanej „reformy“ jest umożliwić idącą jak najdalej i najszerzej ingerencję władzy zwierzchniej ministra w życie uniwersytetów, ograniczyć samorząd szkół akademickich do minimum. To jest tam najważniejsze, wszystko zaś inne na drugim planie.

Przytaczaliśmy tu już przykłady wkraczania ministra w dotychczasowe kompetencje władz akademickich; cytowaćby ich można listę długą. Minister więc np. zatwierdza statut szkoły, przyjęty przez ogólne zebranie profesorów, nie tylko może go odrzucić, domagać się zmian, ale i z własnej inicjatywy może — po nieobowiązującym wysłuchaniu opinii — zarządzić jego zmianę. Podobnie on to zatwierdza regulaminy senatu, rad wydziałowych, komitetu administracyjnego przy rektorze. On rozstrzyga, na wypadek różnicy zdań, między rektorem a senatem, między dziekanem a radą wydziałową. On ustala obowiązki i uprawnienia dyrektora biblioteki uniwersyteckiej, jakoteż skład i kompetencje komisji bibliotecznych. Jednym słowem, aż do drobiazgów wnika w życie wewnętrzne, uzależnia je od zarządzeń idących zgóry. To w zakresie porządku administracyjnego szkoły.

Ingerencja ministra będzie atoli również wkraczać w dziedzinę kompetencji ściśle naukowych. Na przyszłość minister, zapewne zaś raczej jego personel urzędniczy, ustalać będzie warunki i tryb nostryfikowania zagranicznych dyplomów naukowych (art. 41), określi sposób postępowania habilitacyjnego (art. 29), wyznaczy skład i sposób postępowania komisji wydziałowych, mających opracowywać wnioski nominacyjne o profesorach nadzwyczajnych (art. 34); innymi słowy: nadawanie stopni naukowych, tryb uzyskiwania docentury, kwalifikowanie dorobku naukowego profesorów — w znacznej mierze poddane zostaną zarządzeniom ministerstwa. Wspomniano już także, jak głęboko wkraczać ma ingerencja ministra w stosunek władz akademickich do młodzieży. Jak widać, mamy tu na całej linii do czynienia z dążnością do daleko idącej penetracji władzy zwierzchniej administracyjnej w organizacyjne i naukowe życie szkół akademickich.

Że taka penetracja, stojąca w sprzeczności ze stanem rze-

czy utrwaloną oddawna, w tym stopniu mało mającą przykładów w Europie, nie została wywołana potrzebą życia, ale że płynie z apriorycznych założeń programowych, — o tem była już również mowa. Czy będzie ona korzystna dla nauki? Pod tym względem zachodzi uderzająca różnica zdań między p. Ministrem a senatami wszystkich szkół akademickich i długim szeregiem uczonych, którzy dotąd zdołali się wypowiedzieć, wśród których zaś nie brak takich, co stanowią chlubę nauki polskiej. Zdaniem tego areopagu, projekt „reformy“, gdyby miał wejść w życie, pociągnie za sobą skutki zdecydowanie ujemne. Spowoduje rozbitcie w życiu kolegjalnem szkół akademickich, przy kwalifikowaniu sił naukowych wprowadzi kryteria pozanaukowe, co w konsekwencji wywoła wnet zdecydowane obniżenie się poziomu naukowego gron profesorskich, w stosunki osobiste profesorów zasieje niepokój, skutkiem tego odstraszy szereg młodych adeptów od „karjery“ naukowej, tak w dzisiejszych stosunkach niewdzięcznej; w administrację szkoły akademickiej wprowadzi rozdwojenie; nad życiem ideowem młodzieży akademickiej zawiesi przykrą, drażniącą, a w ostatecznym rezultacie nietylko nieskuteczną, ale wręcz szkodliwą atmosferę nacisku.

Wszystko to każe nam patrzeć z głęboką troską na dalsze koleje omawianego projektu, na zapowiedź zbliżającego się przewrotu w naszych szkołach akademickich.

TADEUSZ ZIELIŃSKI,

profesor Uniwersytetu Warszawskiego,
członek czynny Polskiej Akademii Umiejętności.

WALKA O AUTONOMJĘ SZKÓŁ WYŻSZYCH.

I

„Mądry po szkodzie“ — mówi się to zazwyczaj drwiąco. A jednak dobre i to, byle po szkodzie cudzej, niekoniecznie po własnej.

W stosunku do wymienionej w tytule walki, moje stanowisko jest prawie wyjątkowe. Wyjątkowość zawiera się w tem, że ta walka, która prawie dla wszystkich uczestników jest premjerą, dla mnie jest arcystarą... komedją. Nie, raczej tragedją, i to bardzo smutną. A ponieważ widzę, że uczestnicy unikają wzmianek o tej tragedji, to znaczy, o cudzej ogromnej szkodzie, uważam za mój obowiązek podać do ich wiadomości odpowiednie materiały. Niech z niemi czynią, co im nakaże sumienie; ale niech ich nie ignorują.

Mówiąc dokładniej, walkę, o której mowa, przeżyłem już raz na gruncie rosyjskim, najprzód (od r. 1884) jako docent, a następnie (od r. 1887) jako profesor uniwersytetu petersburskiego; nie wiem, czy kto w Polsce, oprócz mnie, był jej świadkiem na całym jej przeciągu; dlatego właśnie zabieram głos. Będzie to szkic krótki; czy zupełnie ścisły? Ręczyć za wszystkie szczegóły nie mogę: są to przecie sprawy dawne, i innych źródeł, oprócz mojej pamięci, tu w Warszawie nie mam. Ale w swej całości będzie to jednak szkic wiarogodny i w dodatku napisany rzeczywiście: *sine ira et studio*.

II

Moja działalność na uniwersytecie petersburskim rozpoczęła się w tym samym roku, kiedy została zatwierdzona nowa ustawa uniwersytecka. Zaznaczam, że ta ustawa doty-

czyła wyłącznie rdzennych sześciu uniwersytetów rosyjskich, a więc np. nie stosowała się do rosyjskiego uniwersytetu w Warszawie, który nadal zachował swoją ustawę własną. Ta „ustawa r. 1884“ zniosła doszczętnie wszelką autonomję uniwersytecką, gwarantowaną przez poprzednią ustawę, owoc liberalnych lat sześćdziesiątych. Rektora, dziekanów i również wszystkich profesorów miał odtąd mianować sam minister, bez żadnego udziału rad profesorskich czy wydziałowych; wszelkie związki studenckie miały być rozwiązane, student był uważany za „pojedynczego słuchacza wykładów“, władzę dyscyplinarną nad nim miał inspektor, nie należący do grona nauczycielskiego, ze swoim sztabem subinspektorów.

Umotywowanie nowej ustawy miało po części charakter dedukcyjny: ponieważ profesor otrzymuje swą pensję od państwa, jest on urzędnikiem na równi z innymi urzędnikami państwowymi i powinien być zależny od władzy państwowej: wyrażne zastosowanie zasad polityki dedukcyjnej, co do której warto przeczytać np. „Ancien Régime“ H. Taine'a, żeby się przekonać, że ona nie jest nic warta, gdyż polityka jest nauką empiryczną. Ale główną przyczyną obalenia autonomji uniwersyteckiej, jak i całej polityki reakcyjnej lat osmdziesiątych, było wzmocnienie się ruchu rewolucyjnego wśród młodzieży. Przypuszczano — po części słusznie, przeważnie zaś niesłusznie — że podniecają ten ruch profesorowie; „od głowy ryba cuchnie“, powiedział nowy kurator Nowikow gronu nauczycielskiemu uniwersytetu petersburskiego, zebranemu w sali posiedzeń.

III

Pierwszym skutkiem nowej ustawy było ustąpienie dziekanów (rektor, powszechnie lubiany profesor prawa politycznego, Andrejewski, narazie się jeszcze utrzymał). Na naszym wydziale („historyczno-filologicznym“) był dziekanem słynny sławista Łamański, osobistość, nawiasem mówiąc, wcale nie grzesząca zbytnim liberalizmem, a jednak dość zarozumiała i krnąbrna. Na jego miejsce mianowano profesora filozofii Władisławlewa; i to było dla niego początkiem jego tragedji osobistej. Jej zapowiedzią był drobny na pierwszy rzut oka fakt, który zaszedł na bankiecie, wydanym przez grono nau-

czyielskie na cześć ustępującego dziekana Łamańskiego. W spisie dań znajdował się także tradycyjny sandacz z nieodrazu zrozumiałym przypisem „sauce philosophique“. Dało to asumpt profesorowi prawa międzynarodowego Martensowi do wygłoszenia toastu, w którym zaznaczył, że przecie sandacz jest stworzeniem milczącym; tak samo więc i filozofja najlepiej czyni, kiedy milczy.

Z czasem rzeczy poszły gorzej. Rektor Andrejewski musiał ustąpić pod presją nieufności ministerjalnej; na jego miejsce mianowany został nieszczęśliwy Władisławlew. Mówiono, że on sam się o to ubiegał i nawet w tym celu podał ministrowi coś w rodzaju memorjału, dotyczącego „uzdrowienia“ szkół wyższych. Czy tak było w istocie, tego nie wiem, ale tak powszechnie przypuszczano. Namietności rozpętały się. W r. 1887 zostałem profesorem nadzwyczajnym i jako taki mogłem brać udział w posiedzeniach rady profesorów (w uniwersytetach rosyjskich ta rada, składająca się z rad wszystkich wydziałów, zbierała się mniej więcej co miesiąc). Pozostała mi w pamięci owa szanowna, dobrotliwa twarz jako cel zewsząd sypiących się bolesnych pocisków. Władisławlew był zupełnie samotny, gdyż i ci, którzy może byli po jego stronie, nie chcieli narażać się większości. Sprzykrzyło mi się to ogromnie; chociaż już wówczas byłem autonomistą, jednak ten widok walki wszystkich przeciw jednemu wzbudzał we mnie naturalną w takich przypadkach litość. Naturalną — tak, dla człowieka świeżego; kiedy jednak zwróciłem się do starszego kolegi z zapytaniem, co za sens mają te drobiazgowy przyczepki, ten mi sucho odpowiedział: „Co robi opozycja, chcąc obalić rząd? Odmawia budżetu nawet w jego najlichszych, najobojetniejszych pozycjach.“

IV

A jednak było to jeszcze pół biedy; ale szczucie było powszechne. Że studenci korzystali z każdej okazji, aby w ten lub inny sposób znieważyć „mianowanego“ rektora, rozumie się samo przez się i było chyba jeszcze boleśniesz. Niedość tego: i prasa — naturalnie liberalna, ale ta właśnie była najpoczytniejsza — zajęła się osobą rektora, nie ograniczając się wcale do jego działalności administracyjnej. Zabrano się do

jego prac naukowych, szczególnie do jego podręcznika psychologii, wypisywano z niego przypadkowe frazesy, rzeczywiście nieudolne, aby zohydzić jego charakter osobisty. Na koniec cel został osiągnięty: nie zniosła jego, pomimo wszystko, delikatna i łagodna natura atmosfery powszechnej niechęci; po względnie krótkim urzędowaniu Władisławlew leżał na marach.

To było przestrogą przestraszającą. Widocznie rząd, i w szczególności minister Deljanow, nie liczył się z tem, że wykonywać przepisy, tak łatwo układające się na papierze, wypadnie ludziom, posiadającym nietylko krew i kości, ale w dodatku i duszę, i że nie każda dusza może wytrzymać męczarnie, spowodowane wrogim do niej stosunkiem środowiska, do którego należy. Wypadało więc pomyśleć o złagodzeniu zanadto surowej ustawy.

Sposobność do tego dała konieczność obsadzenia urzędu rektora. Na następcę Władisławlewa upatrzono tego, który go już zastępował jako dziekan wydziału historyczno-filologicznego i jako taki cieszył się życzliwością kolegów: hellenistę Nikitina, ale ten postawił warunki, z których głównym było przywrócenie wydziałom prawa wyboru profesorów. Żeby nie łamać ustawy, bądź co bądź obowiązującej, przyjęto wyjście takie: dziekan przerywał posiedzenie, podczas przerwy wydział głosował na pewnego kandydata, o wyniku głosowania zawiadamiano ministra, i ten zatwierdzał obranego przez wydział. W taki sposób, mówiąc nawiasem, i ja zostałem wybrany profesorem zwyczajnym w r. 1890. Był to wyłom dość poważny w ustawie 1884 r.; zdaje się jednak, że było to narazie przywilejem uniwersytetu petersburskiego. Mówią, że, kiedy pewien uczony z Odessy zabiegał przed ministrem o mianowanie go profesorem uniwersytetu petersburskiego, ten mu odpowiedział: „Nie, bateńko (ulubiona apostrofa Deljanowa), proszę przeprowadzić swą kandydaturę przez wydział; wydziału petersburskiego ja i sam się boję.“

V

Rektorat Nikitina był czasem pokoju, przynajmniej w środowisku profesorskiem: jego nieskazitelna szlachetność i sprawiedliwość, połączona z wysoką równowagą, zjednała mu

powszechne sympatje kolegów. To też, kiedy jego czteroletnia kadencja dobiegła końca i stało się wiadome, że ma prosić ministra o zwolnienie go z dalszej pracy w tym urzędzie, rada profesorów udała się do niego *in corpore* z prośbą, aby zachował rektorat na dalszą kadencję. Był to prawdziwie wzruszający moment: pamiętam, jak zaczął swą mowę do Nikitina nasz senior, sędziwy dziekan wydziału języków wschodnich, baron von Rosen: „wschód najwyżej ceni sprawiedliwość...“ Oprzeć się powszechnemu życzeniu Nikitin nie mógł; drżącym głosem wyraził swą zgodę; i tej swej ustepliwości omal nie przypłacił życiem.

Jeden swój cel ustawa z r. 1884 osiągnęła w zupełności: związek między profesorami a ogółem studentów, tak żywy jeszcze w początku lat osmdziesiątych (pamiętam, jak rześsiście oklaskiwano rektora Andrejewskiego na zwołanym przezeń wiecu, jak go młodzież rosyjskim zwyczajem huśtała na rękach: to się już nigdy nie powtórzyło) — ten związek, prawie rodzinny, uległ zupełnemu zniszczeniu. Legalnej i wszystkim przystępnej organizacji nie było; zastąpiła ją organizacja tajemna, której charakter coraz bardziej stawał się antypaństwowym. Wpływy tej organizacji wciąż rosły i rosły; i oto prowodyrowie postanowili urządzić pierwszą generalną próbę sił. Drukowanymi potajemnie bibułkami wzywano studentów, aby w danym dniu i o danej godzinie zgromadzili się na Placu Kazańskim, w samym środku miasta, „jeżeli pragną choć na jedną godzinę czuć się wolnymi“. Można było przewidywać, że nie obejdzie się bez oporu policji, aresztów, bijałki, może nawet strzelaniny i ofiar. I to właśnie było pożądane. Naturalnie tak się stało. Rektor Nikitin nie mógł nie pojechać na to zbiorowisko i został przyjęty przez rozbestwioną zgraję w sposób nadzwyczaj wrogi: wyszydzony, zwymyślany, znieważony, powrócił do domu, nie wskazawszy nic. Doznawszy strasznego wstrząsu nerwowego, leżał przez dłuższy czas chory; obawiano się nawet o jego życie. Z rektoratu naturalnie musiał zrezygnować; wkrótce potem nawet z katedry uniwersyteckiej. Ograniczył się do pracy ściśle naukowej jako członek Akademji, która to godność w Rosji jest płatna i jako taki żył jeszcze dość długo; chociaż nie tak długo, jak sobie tego życzyli jego przyjaciele.

Taka była ta „demonstracja na Placu Kazańskim“ i jej ofiara. druga ofiara ustawy 1884 r. na stanowisku Rektora.

VI

Następcą Nikitina został profesor historii prawa rosyjskiego Sergiejewicz. Była to osobistość znowu innego charakteru. Pierwszy rektor, Władisławlew, jako uczony, nie należał do wybitnych. Drugi, Nikitin, był autorem niewielu prac naukowych, coprawda bardzo cennych, lecz znanych tylko w bardzo szczupłym gronie specjalistów. Sergiejewicz, natomiast, swemi dziełami uzyskał był głośną sławę wśród najszerszej publiczności; zdawało się, że w jego osobie genjusz akademicki postawił pytanie: czy może największa i najbardziej zasłużona sława naukowa ostać się wobec politycznie wrogiego nastroju młodzieży? — i że ta ostatnia odpowiedziała: „nie!“... Czy w Rosji tylko? Czy też i... gdzieindziej? Oby nam losy oszczędziły konieczności własnego doświadczenia w tym względzie!

Sława Sergiejewicza rozbiła się o zajścia studenckie w związku z pochodem, którym zakończyło się święto „urodzin“ uniwersytetu 8 lutego 1900 r. Pochód, a więc i starcie z policją; ze strony studentów — grad kamieni, ze strony policji — nahajki. Kto zaczął? Doprawdy nie wiedziałem i nie wiem; ale należało wierzyć, że zaczęła policja. Otóż Sergiejewicz temu nie wierzył i dał nawet bardzo energiczny wyraz temu niedowiarstwu. Że się przez to wielce naraził studentom, jest rzeczą zrozumiałą, i to nietylko w Rosji; powszechny stan nerwowy był taki, że nawet rada profesorów walnie wystąpiła przeciwko swemu, niedawno tak szanowanemu koledze i wyrzuciła mu niesłychany afront: na posiedzenie zaproszono kuratora i jego proszono przewodniczyć, z pominięciem legalnego prezesa — rektora. Napróżno profesor prawa karnego, Fojnicki, prosił radę, żeby uwzględniła wysoką wartość naukową poniewieranego kolegi; jego słowa przebrzmiały bez echa; Sergiejewicz już nigdy nie mógł wyzbyć się niesławy, którą go otoczyło nieszczęsne zajście, owa „nahajka ósmego lutego“, jak o niej śpiewano w obelżywej dla rektora piosence studenckiej.

VII

Jego zwierzchnik, minister Bogoliewow (Deljanow już przedtem był umarł) skończył jeszcze gorzej: kula zabójcy położyła kres jego krótkiemu urzędowaniu. Były to czasy słabych i chwiejnych rządów Mikołaja drugiego; przestraszony losem surowego Bogoliewowa, mianował on ministrem oświaty jego antypodę, byłego ministra wojny Wannowskiego. Za rządów Wannowskiego nastąpił częściowy odwrót: rozumiano, że zniszczenie związku między profesorami a studenterją dało wynik wręcz przeciwny spodziewanemu, postanowiono więc sztucznie związek ten wskrzesić. Zaprowadzono organizację według wydziałów i kursów; ogół studentów każdego kursu miał obierać „starostę”; również i wydział z grona swych profesorów do każdego kursu jednego „kuratora”. Starosta w porozumieniu z kuratorem zwoływał zgromadzenia swego kursu; na tem posiedzeniu, pod przewodnictwem kuratora, miano obradować nad sprawami bieżącymi.

Obrano wówczas i mnie kuratorem. O stosunku młodzieży do mnie i wogóle o jej sprawowaniu się zachowałem jak najlepszą pamięć; i muszę powiedzieć, że cała ta reforma była w zasadzie dobra: ponieważ członkami byli wszyscy studenci danego kursu, większość w żaden sposób nie mogła być wywrotowa.

Dobra, tak; ale spóźniona. Tajemne organizacje rewolucyjne już zdążyły były opanować znaczną część studentów, a tym organizacjom nasze zebrania kursowe były w wysokim stopniu nienawistne. Zaczęła się więc walka, walka naszego otwartego słowa z tajnymi podszeptami i pogroźkami wywrotowców. Przy tak nierównej broni wynik nie mógł być dla nas korzystny: po niebardzo długiej działalności, organizacje kursowe przestały istnieć.

VIII

Było rzeczą jasną, że częściowe wyłomy w nieudolnej ustawie r. 1884 na nic się nie przydadzą: uratować uniwersytety mógł tylko powrót do zniesionej przez nią autonomji... Czy jeszcze mógł? Tak wierzyliśmy, i w każdym razie należało próbować. I oto zaczyna się powszechna walka o auto-

nomję. W tej walce brałem jak najżywszy udział; zostałem nawet przewodniczącym naszej uniwersyteckiej „lewicy“, do której należała większość profesorów. Należało się więc łączyć: najprzód łączyć się wypadało wszystkim wyższym uczelniom w każdym większym mieście, następnie zaś w całym państwie. Okazało się, że w takich szerszych zebraniach, najprzód w Petersburgu, delegacja naszej uniwersyteckiej „lewicy“ (a więc m. i. i ja) otrzymała miejsce wyraźnie po prawej stronie; a kiedy doszło do ogólnego zjazdu w Moskwie, cała delegacja petersburska (a więc m. i. znowu ja) została skrajną prawicą. Nastrój w uniwersytetach prowincjonalnych był wprost szalony.

Cel jednak został osiągnięty: „prawa 27 sierpnia 1905 r.“ przywróciły nam autonomję prawie w całej pełni. Pod ich znakiem uniwersytety rosyjskie przeżyły dwanaście lat. Osobiście nie mogę wspominać o tych latach z innemi uczuciami, oprócz szczerzej radości i wdzięczności; były to bowiem czasy mojej najszerszej, najbardziej wytężonej i owocnej działalności, uwieńczonej objawami największego uznania ze strony nietylko młodzieży, ale i szerszej publiczności, na moich wykładach powszechnych w gmachu Teniszewa. Szczytem tego uznania był mój jubileusz w r. 1909, o którym bez przesady można powiedzieć, że był to, o ile pamiętam, najświetniejszy jubileusz profesora w Rosji. A więc można było pilnować średniej drogi prawdy i dobra, nietylko nie narażając się obu obozom, ale nawet zyskując szacunek i sympatje ludzi rozsądnych, tu i tam!

Wogóle jednak były to czasy bardzo niespokojne, czasy perjodycznych strajków studenckich, wieców nielegalnych, zaburzeń i gwałtów. Coraz wyraźniej występował ten trzeci, tertius gaudens, który miał skorzystać z owoców nierozsądnej walki między sobą dwóch elementów ładu państwowego; coraz jaśniejszy stawał się ostateczny wynik tej walki, mianowicie, że zwycięstwo nie przypadnie w udziale ani tej, ani tamtej stronie, lecz wyłącznie temu trzeciemu.

IX

Było to skutkiem, jak wszystkim wiadomo, rewolucji październikowej. Uniwersytety zostały oddane pod kontrolę

„jaczejek“ komunistycznych z pośród studentów, które stanowiły narazie znikomą mniejszość ogółu akademickiego, ale, pewne poparcia nowego rządu, występowały bardzo zuchwale. Uniwersytetem petersburskim rządził właściwie przewodniczący takiej jaczejki, towarzysz Cwibak, jedna z najwstrętniejszych postaci, jakie tylko wydała owa rewolucja. Żywo go pamiętam, jak siedział w radzie profesorów, zajmując ten sam fotel, który zajmowali niegdyś Mendelejew, a po nim Inostrancew, dwaj luminarze nauki rosyjskiej; ci przemawiali rzadko, krótko i do rzeczy, Cwibak zaś ciągle, bez końca i bez wszelkiego ładu. Powstali „czerwoni profesorowie“, przymusowo narzucani uniwersytetom — w Petersburgu np. taki Gredeskuł, taki Derżawin, taki Lembke, ludzie bez wartości naukowej, ale umiejętnie schlebiający nowym panom Rosji i po części odstępcy. Co do tych czerwonych profesorów: pewien mój znajomy zapytał raz jednego z tych panów, jak oni mogą protegować takie kompromitujące osobistości i otrzymał od niego odpowiedź: „my przecie wiemy, że to są lajdaki („merzawcy“), ale oni są nam potrzebni“. Natomiast ze starymi profesorami, „prawdziwymi („nastojaszczije“) profesorami“, jak ich powszechnie — poza obrębem jaczejek, ma się rozumieć — nazywano, postępowano w sposób bardzo radykalny: w najlepszym razie otrzymywali nagane od jaczejek, że wykładają niezgodnie z Marksem, dalej odbierano im prawo wykładania, ograniczając ich do jakiegoś instytutu badawczego, albo też i bez takiego przydzielenia, wysyłano na Sołówki, albo do kraju Narymskiego, albo... jeszcze dalej.

I te kary wyznaczano bez różnicy przedstawicielom obu, niegdyś między sobą walczących obozów; z historyków np. byłemu prawie rewolucjoniście Tarlemu, tak samo jak byłemu konserwatystcie Płatonowowi: obaj stali się ofiarami gorliwości donosicielskiej byłego ucznia, tow. Cwibaka, i surowości nowego rządu. Obowiązkową dla wszystkich była formuła Marksa, płytka, pusta, ale właśnie dlatego zrozumiała dla głów płytkich i pustych. Że w tych warunkach nie mogło być mowy o jakiegokolwiek bądź autonomji, rozumie się samo przez się; sądzę, że niejeden z byłych szermierzy autonomji z tęsknotą

wspominał o „ustawie 1884 r.“ O ileż ona była liberalniejsza od rządów cwibakowskich!

Szczytem nowej reformy uniwersyteckiej był dekret z (nie pamiętam którego) lutego r. 1922 i w nim słowa: „Oznajmiamy szczerze i rzetelnie („iskrenno i czestno“), że wolność nauki w naszym państwie nie istnieje.“ Uniwersytet petersburski przypominał sobie wówczas, że jest jednak naturalnym obrońcą wolności nauki; odbyło się posiedzenie rady profesorów, na którym wyraźnie zaznaczyła się różnica terminologiczna między „prawdziwymi profesorami“ i intruzami. Gre-deskuł, na zjadliwe pytanie, czy go też zaliczają do prawdziwych, otrzymał głośną jak grzmot odpowiedź większości: „nie“. A jednak do protestu nie doszło: oportunizm także wśród „prawdziwych“ miał dużo zwolenników; głód był powszechny i w takich warunkach „deputat profesorski“ coś znaczył.

Walka o protest była moją ostatnią akcją w uniwersytecie petersburskim; po niespełna dwóch miesiącach mogłem się już na stałe przenieść do Warszawy.

X

I jakiż jest teraz wynik dla nas z tej „cudzej szkody“? — Zdaje mi się, że zawiera się on przeważnie w następujących trzech przestroгах:

Po pierwsze: zrezygnować z wszelkich uszczupień istniejącej u nas i drogiej naszemu sercu autonomji, wystrzegając się „polityki dedukcyjnej“; o ile takie uszczuplenie jest już projektowane, wycofać odpowiedni projekt jak najrychlej i jak najgruntowniej.

Powtóre: unikać też zbytniego pesymizmu w ocenie projektowanego uszczuplenia i przesady w malowaniu możliwych jego skutków, traktując je naturalnie jako szkodliwe i wysoce niepożądane, ale w ramach, określonych przez równowagę duchową i konieczną w takich przypadkach zimną krew.

I po trzecie: zawsze pamiętać o „tym trzecim“.

MARJAN ZDZIECHOWSKI,

em. profesor i b. rektor Uniw. Stefana Batorego w Wilnie,
członek czynny Polskiej Akademji Umiejętności.

Z PRZESZŁOŚCI UNIWERSYTETÓW ROSYJSKICH.

W pierwszych miesiącach roku bieżącego pojawiły się w „Gazecie Polskiej“, jeden po drugim, trzy artykuły o reformie nauczania wyższego, o uniwersytetach i profesorach, ściślej, przeciw uniwersytetom i profesorom, świadczące o zastraszającym zbolszewiczeniu myśli. W jednym z nich nie zawahano się ogłosić kulturę ducha za przeżytek minionej epoki, za „pakunek z czasów niewoli“, za „hasło, tracące z dniem każdym resztki sensu“. Przeciw zamachowi temu na wyższe uczelnie i na profesorów wystąpiłem wówczas w Kurjerze Porannym (30. IV. 1932 r.), w artykule, który zatytułowałem „W obronie nauki i kultury“. Czy mogłem przypuszczać w latach przedwojennych — myślałem, tytuł ów kreśląc — że przyjdzie chwila, w której będę musiał bronić nauki i kultury naszej nie przeciw polityce rosyjskiej, nie przeciw jej wykonawcom, zaciekłym rusyfikatorom z nad Newy, lecz przeciw swoim.

Niestety to, co owi apostołowie kontrkultury głosili, może stać się faktem. Już został ogłoszony projekt ustawy, pozbawiający Wyższe Uczelnie tego skromnego, przez Ministerstwo kontrolowanego samorządu, z którego korzystały dotychczas; całą prawie ustawę możnaby zastąpić, jak słusznie zauważono w memorjale Politechniki Warszawskiej (prof. W. Świętosławskiego), krótko ujętym paragrafem, nadającym Ministrowi pełnię nieograniczonej w Uniwersytecie władzy.

Cui bono? Dla czyjego dobra to się robi? Oczywiście dla dobra Państwa polskiego, dla ochrony młodzieży od zgubnych wpływów tej „butnej i nieudyscyplinowanej masy“, jaką sta-

nowią profesorowie. Nie wątpię ani chwili, że niema profesora takiego, coby się nie czuł obywatelem państwa polskiego; ale doprawdy zanadto pospolitujemy wyrazy: państwo, państwowość, powtarzając je bez końca przy każdej okoliczności, a bez żadnej potrzeby. Jeśli wysławiamy wielkiego poetę, to dlatego, że był więcej, niż poeta, był „wizjonerem państwa“, twórcze jego natchnienia przeobrażamy w gloryfikowanie sprawnie funkcjonującej maszyny państwowej. Słowem, jak w Sowietach; zdawałoby się, że przed zachwyconym wzrokiem naszych państwowców unosi się wizja sowieckiego państwa, w którym uosobiony w postaciach Leninów i Stalinów nihilizm państwowy triumfalnie doprowadził społeczeństwo do takiej niwelacji duchowej, o jakiej biały car, Mikołaj, nie śmiał i nie chciał marzyć; nie widziano jej wogóle jeszcze w historii.

Nasuwa się wobec tego porównanie między ogłoszonym projektem a ustawą, lub raczej ustawami (bo było ich wiele), które obowiązywały w Rosji, bywały zaś poprawiane i nieraz przerabiane odpowiednio do rozmaitych faz w stosunkach Rządu do oświaty. Mam tu oczywiście na myśli czasy przed-sowieckie, gdy uznawano jeszcze świat ducha, gdy „triumfująca świnia“ — używam tu wyrażenia wielkiego satyryka Szchedrina — jeszcze po nim nie deptała samowładnie.

W r. 1804 car Aleksander I nadał uniwersytetom ustrój autonomiczny, według wzoru uniwersytetów niemieckich. Ale, co dawał jedną ręką, to zwykł był drugą odbierać. W zasadzie był przyjacielem wolności i chciał patrzeć na szczęśliwe twarze poddanych swoich, korzystających z jej dobrodziejstw; w głębi duszy bał się jednak wolności, jak ognia, i umiał okrutnie ją gnębić. I autonomję uniwersytetów redukowano drogą okólników i wyjaśnień w ciągu jego panowania, zwłaszcza w drugiej połowie tego okresu, do rozmiarów minimalnych. Wymownie o tem świadczą dzieje Uniwersytetu Wileńskiego, w okresie rządów Nowosilcowa. W zasadzie autonomia jednak istniała. Znieść ją ostatecznie postanowił następca obłudnego przyjaciela wolności, jej zaś jawny i zdecydowany nieprzyjaciół, Mikołaj I. Mozolnie opracowywana, nowa ustawa została ogłoszona dopiero w r. 1835. O tem, że uniwersytety mają dwa zadania: nauczanie i twórczą pracę naukową, zapomniano; przekształcono je w wyższe szkoły, mające służyć do przy-

gotowywania urzędników. Najświatlejszy z mężów stanu owej epoki, Speranskij, daremnie usiłował cokolwiekbądź z dawnej liberalnej ustawy uratować; przemogło zdanie jednego z filarów Mikołajewskiej reakcji, hr. Protasowa: „Nie podzielam (pisał on w memorjale swoim) poglądu niektórych członków komisji, że wolno osoby, należące do świata nauki, zwolnić od zasadniczych przepisów służby państwowej, które obowiązują nawet wyższych urzędników. Przeciwnie, sądzę, że właśnie w tym zakresie więcej, niż w jakimkolwiek innym, kierownikom, których Najj. Pan obdarzyć raczył zaufaniem Swojem, powinna być nadana władza silna i stanowcza, aby zachować mogli niezależność swoją od intryg i od ducha partyjnego, który tak często korporację profesorską ogarnia.“

Ówczesny minister oświaty, hr. Uwarow, choć twórcą był mocno antyliberalnej doktryny, t. zw. oficjalnego nacjonalizmu, stosował jednak surową ustawę liberalnie i rozumnie. Ale przyszedł burzliwy w Europie rok 1848. Zastraszony car kazał rozciągnąć nad uniwersytetami jeszcze ściślejszą kontrolę; skasowano niektóre katedry, jak filozofji i prawa państwowego; liczbę studentów ograniczono do 300-u na każdy uniwersytet. Nie zniosły tego nerwy człowieka z kulturą i inteligencją, jakim był hr. Uwarow; zapadł on na silny rozstrój nerwowy i musiał podać się do dymisji.

Wraz z wstąpieniem na tron Aleksandra II powiał świeży, wiosenny wiatr; zrozumiano, że nie można iść przeciw życiu. W sprawie uniwersyteckiej rząd stanął przed dylematem: wrócić do ustawy z r. 1835, czy też przystąpić do gruntownej reformy szkół akademickich. Zanim nastąpiła decyzja, zniesiono ograniczenie liczby studentów i przywrócono skasowane katedry. Zapowiedzią, że rząd pójdzie drogą reform, był umieszczony w oficjalnym organie ministerstwa oświaty artykuł znakomitego chirurga i zarazem pedagoga, prof. Pirogowa. Upatrując główne dla kultury duchowej niebezpieczeństwo w wojnie, którą materjalizm wypowiedział Chrześcijaństwu, autor nie widział innego środka do odparcia ataku nieprzyjaciela, jak „wychować — mówiąc słowami poety — nowych ludzi plemię.“ Trzeba — pisał — „zrobić z nas ludzi, nie zaś urzędników, kupców, żołnierzy, księży.“ W tym celu za podstawę wychowania uznać należy zaniedbane nauki humani-

styczne. Myśl Pirogowa rozwinął minister Norow, uzasadniając w raporcie podanym cesarzowi, że uniwersytety nie są tylko zakładami wychowawczymi, przygotowującymi urzędników; są to „wyższe zakłady naukowe i młodzież iść do nich powinna, nie dla kariery urzędniczej, lecz dla otrzymania wyższego naukowego i humanistycznego wykształcenia“.

W r. 1861 uniwersytet petersburski był widownią rozruchów studenckich, wskutek których został zamknięty na czas nieograniczony. Z tego powodu kilku najwybitniejszych profesorów, w tej liczbie nasz Spasowicz, podało się do dymisji. Dzieło reformy nie zostało jednak zaniechane; doprowadził je do końca minister Gołownin, wznawiając dawny autonomiczny ustrój; było to wynikiem i wyrazem jego głębokiego przekonania; zastanawiając się, w memorjale wniesionym do Rady Państwa, nad przyczynami upadku uniwersytetów rosyjskich, wymieniał, jako jedną z głównych, zobojętnienie profesorów do spraw uniwersytetu i nauki. Jest to — dowodził — następstwem zniesienia resztek autonomji w r. 1848, które automatycznie pociągnęło za sobą obniżenie powagi profesorów, przeistoczonych w zwykłych funkcjonarjuszów administracyjnych, zależnych od kaprysu każdorazowego ministra.

W r. 1866, po zamachu Karakozowa na cara, komisja śledcza, prezydowana przez osławionego Murawjewa wileńskiego, dotarła aż do uniwersyteckich gniazd rewolucyjnego ruchu. Nastąpiła wskutek tego dymisja min. Gołownina. Następca jego, hr. Dymitr Tołstoj, energicznie zajął się sprawą ustanowienia ścisłej kontroli nad uniwersytetami. Na razie kontrola ta nie była zbyt uciążliwa; nie wtrącano się przynajmniej do wykładów profesorów. Zapisalem się w r. 1879 na wydział filologiczny Uniwersytetu w Petersburgu. Korzystałem jednak z każdej wolnej godziny, aby słuchać wykładów na wydziale prawa; żywiej czułem tam tętno życia. Porywał nas świetną formą i bogactwem treści niezrównany mówca, profesor prawa karnego, Tagancew. Wykłady encyklopedji prawa prof. Korkunowa wprowadzały nas włąb politycznych i społecznych prądów epoki. Gradowski, profesor prawa państwowego, a wyraźny zwolennik konstytucjonalizmu, czynił częste i dowcipne dygresje, wtajemniczając nas w walki

parlamentarne we Francji, Anglii i innych państwach. Ekonomista Wreden gwałtownie krytykował politykę ówczesnego ministra finansów, określając ją mocnym wyrazem *beztołkowoscina*. Na Wydziale przyrodniczym genialny chemik Mendelejew poruszał palące zagadnienia z zakresu filozofii, polityki i gospodarki państwowej.

Była to epoka wzmożonej akcji terrorystów, która silnie się odbijała na życiu uniwersyteckim. Młodzież burzyła się, surowe zaś okólniki ministerjalne nie zapobiegały, lecz przeciwnie, pobudzały do rozruchów. Stworzono wówczas urząd inspektora studentów (z poza grona profesorów); dano mu kilku pomocników. Wszystko na nic; studenci w dalszym ciągu wiecowali po korytarzach uniwersyteckich; i po kilku miesiącach urzędowania okazały inspektor studentów, Antropow, były marynarz, powierzchownością i postawą przypominający marszałków Napoleona III, został odwołany.

Hr. Dymitr Tołstoj postanowił wówczas gruntownie ustawić uniwersytecką przerobić. Przystępując do tej pracy, ogłaszał naturalnie, że chodzi mu wyłącznie o rozwój nauki i o dobro młodzieży. Obieralność rektorów zachował, natomiast pomniejszyć zamierzał ich kompetencję, znacznie zaś rozszerzyć władzę „kuratorów“ okręgów naukowych; mianowanie profesorów przechodziło do rąk ministra. Rzeczą godną uwagi, że w komisji, którą hr. Tołstoj sam powołał zpośród ludzi przeważnie bliskich sobie, w celu przedyskutowania i zredagowania projektu, jeden tylko prof. Ljubimow oświadczył się po stronie ministra. Niemniej jednak projekt przedłożony został Radzie Państwa w lutym 1880 r. Ale bez skutku. Cesarz, przerażony zuchwałymi zamachami terrorystów, powołał do kierowania nawą państwową z władzą prawie dyktatorską gen. Loris Melikowa, człowieka mądrego i o szerokim widnokręgu myśli. Ten stanowczym był przeciwnikiem polityki Dm. Tołstoja; był zdania, że działalność jego, jako ministra, doprowadziła opinię społeczną do najwyższego rozdrażnienia i że, dzięki niemu, młodzież wrogo względem jego poczynañ usposobiona znajdowała sympatię i oporę moralną w rodzinie i społeczeństwie. Hr. Tołstoj musiał opuścić stanowisko swoje.

Następcy jego, Saburow, po nim baron Nicolai, zbyt krótko urzędowali, aby dzieło poprzednika w pożądanym duchu mogli

naprawić, w rok zaś potem (1881), po zamordowaniu Aleksandra II, nastąpiła reakcja gwałtowna w kierunku absolutyzmu i nacjonalizmu. Hr. Dymitr Tołstoj, powołany na ministra spraw wewnętrznych, stał się faktycznym panem Rosji, do spółki z Pobiedonoscewem i Katkowem, w osobie zaś ministra oświaty, Deljanowa, znalazł najposłuszniesze narzędzie.

Ten miły, sympatyczny staruszek, dostępny i uprzejmy, zawsze i dla każdego z dobrem słowem na ustach, dobrej szij człowiek Iwan Dawidowicz, jak go nazywano, zadał uniwersytetom rosyjskim cios śmiertelny, pozorując go frazesem o „przekształceniu uniwersytetów z ognisk agitacji w ogniska nauki“. Odtąd kuratorowie okręgów naukowych są ich rzeczywistymi naczelnikami, mianowany przez ministra rektor — tylko wykonawcą zarządzeń kuratora. Kurator zwołuje Rady Wydziałowe, Radę ogólną (senat), prezyduje, rozstrzyga wszystkie podnoszone kwestje albo sam, albo w przypadkach wątpliwych podaje ministrowi do rozstrzygnięcia; profesorów także mianuje minister; uniezależniona od rektora inspekcja studentów zostaje poddana wyłącznie kuratorowi. Gdy projekt ten wniesiono do Rady Państwa, ogromna większość wysokich dygnitarzy, z których instytucja ta się składała, oświadczyła się przeciw niemu, ale car zatwierdził zdanie mniejszości.

„Autonomja — pisał wielki myśliciel, a długoletni, znakomity profesor prawa państwowego w Moskwie, Borys Ciczerin — jest warunkiem życia uniwersytetu i jego wpływu na kształcąca się w nim młodzież... Niema sprawy, któraby wymagała od państwa takiej konsekwencji, ostrożności i umiejętności, jak sprawa oświaty; w dziedzinie tej wszelkie przewroty radykalne są nie tylko niebezpieczne; są one bezwarunkowo niedopuszczalne.“ Słowa te całkowicie potwierdziła rzeczywistość, reakcyjne bowiem zarządzenia, mierzące w autonomję Szkół Akademickich, doprowadziły je do utraty autorytetu moralnego wobec młodzieży, ta zaś rewolucyjnie nastrojona młodzież tem mocniej poczęła się organizować i z tem większą zaciekłością występować przeciw Rządowi; zaburzenia stawały się coraz częstsze i coraz gwałtowniejsze. Droga wskazaną przez Deljanowa, który jednak miękką ręką swoją i dobrem sercem umiał w poszczególnych przypadkach

łagodzić stosowanie swego własnego systematu, poszli jego następcy, z których nie wszyscy posiadali jego przymioty. Nie posiadał ich Bogoljepow, który zginął śmiercią gwałtowną z ręki studenta rewolucjonisty, nie posiadał Kasso. Borys Cziczierin był (typ rzadki w Rosji) konserwatystą szlachebnym i rozumnym; był wrogiem reakcji rządowej, lecz jeszcze nie-nawistniejszą była mu rewolucja. Widział w niej najgroźniejsze a bezpośrednie niebezpieczeństwo i z tego stanowiska tak energicznie potępiał ówczesną politykę oświatową. „Czyż ci panowie, zapytywał, którzy układali owe dziwne ustawy, nie rozumieli tego, że szacunek i zaufanie młodzieży zdobywać mogą tylko ludzie niezależni? Pierwszym tu warunkiem jest uczciwość i szczerłość; co zaś może dziś profesor uczciwy i szczerzy powiedzieć uczniom swoim o uniwersytetach i stosunku rządu do nich? To jedno, że rząd zburzył uniwersytety, przeistaczając je w jakieś kancelarie; że zlekceważył oświatę, że zamknął profesorom drogę do tego wpływu na młodzież, jaki w interesie państwa mieć powinni.“... „Niestety, w warunkach obecnych, jak przed pół wiekiem, w epoce Mikołaja I, tylko opozycyjnie wobec rządu usposobiony profesor rachować może na sympatię i posłuch w kołach młodzieży. Inaczej było w okresie reform (1856—1866), ale rząd sam zniszczył te zaczątki rozumnie zachowawczego kierunku, które zaczynały już kiełkować w uniwersytetach rosyjskich.“

Gdy porównujemy projekt ustawy, którą nam obecnie proponują, z polityką oświatową Dymitra Tołstoja, Deljanowa i ich następców, uderza jedna zasadnicza różnica. Ich polityka była polityką rozpaczki; propaganda rewolucji wżarła się była w wyższe szkoły rosyjskie, porywała liczne zastępy młodzieży, powstawały organizacje terrorystyczne, przeciw osobie cara skierowane; samowładny zaś car nie był tylko symbolem państwa, był państwem samem, źródłem prawa i władzy, namiestnikiem Boga na ziemi. Osoba jego była święta — i przeciw świętości tej, stanowiącej fundament państwa, podkopywała się rewolucja, aby tem łatwiej nastąpić mogło rozpadnięcie się gmachu. Można więc zrozumieć, że przerażeni ministrowie tracili głowy i chwyтали się środków najostrzejszych, ostatecznych, w nadziei, że może zwałą „potwora“. U nas nic podobnego. Polska jest Rzeczpospolitą, Prezydent

— widomym symbolem tej Najj. Pani, lecz pozbawionym władzy; władzę sprawuje partja, grupa czy koterja, stojąca, dzięki większości sejmowej, w danej chwili u steru. Wrogów partji tej czy grupy, o ile otwartymi wywrotowcami nie są, nie można uważać za wrogów państwa. I choć dążąca do wywrotu banda komunistyczna daje się dziś we znaki w takich nawet zrzeszeniach studenckich, które dotychczas nic wspólnego z komunizmem nie miały, sytuacja nie jest jeszcze wcale tak groźna, aby usprawiedliwić mogła zamachy, przeciw samorządowi szkół wyższych wymierzone.

Oczywiście „autonomja” — jak pisali w owym czasie profesorowie rosyjscy w zbiorowym memorjale — nie daje i dać nie może absolutnej rękojmi, że „raz na zawsze uchroni uniwersytety od zaburzeń, że usunie wszelkie do nich powody; ale na to liczyć można, że zaburzenia polityczne utracą ostrość swoją, gdy na pierwszym planie stać będzie nie administracja, nie policja, lecz naukowo-wychowawcze kolegium profesorów, czujące swój organiczny związek z uniwersytetem i świadome swej odpowiedzialności.“

Na czele naszego Ministerstwa Oświaty stoi dziś człowiek o wysokiej kulturze. Dzięki temu, można żywić nadzieję, że, w razie uchwalenia nieszczęśliwego projektu przez Sejm i Senat, Minister ten nie nadużyje władzy swojej. Ale kto może zaręczyć, że następcą jego nie będzie może jeden z tych, którzy kulturę ducha uważają za „pakunek z czasów niewoli“, za hasło, „tracące z dniem każdym resztki sensu“?

ALEKSANDER BRÜCKNER,

profesor uniwersytetu w Berlinie,
członek czynny Polskiej Akademji Umiejętności.

SAMORZĄD UNIWERSYTETÓW NIEMIECKICH.

Projekt nowej ustawy o szkołach akademickich w Polsce wywołał liczne głosy, prawie żadnych *pro*, obfitość *contra*; z obu stron powoływano się na przykład uniwersytetów niemieckich. Długoletniemu profesorowi berlińskiemu przysługuje chyba prawo zabrania głosu w tej sprawie, przedewszystkiem dla sprostowania mylnych poglądów, jakie się szerzy o urzędzeniach i duchu uniwersytetów w Niemczech.

W pewnym artykule powiedziano: „Profesor (pruski i t. d.) składa przysięgę, obowiązującą urzędników państwowych i jest traktowany narówni z urzędnikami państwowymi.“ Przenigdy! Urzędników państwowych wysłużonych pensjonują a pensja wynosi tylko $\frac{4}{5}$ ostatniej pensji za czynnej służby. Profesorów nigdy nie pensjonują; oni przechodzą tylko ze stanu czynnego w nieczynny, ale poza tem wykładają, egzaminują doktorandów, habilitują docentów prywatnych, mają we wszelkich komisjach głos doradczy i czynny, a pobierają całkowitą pensję ostatnią. Zeszłego roku (1931), wobec opłakanego stanu finansów, zniósł minister ten ostatni przywilej, zrównał nowe pensje profesorskie z urzędniczymi, ale pierwszy profesor berliński, którego to rozporządzenie dotknęło, zaskarżył ministerstwo przed sądem cywilnym i sąd skazał ministerstwo na wypłacanie pensji całkowitej, motywując wyrok tem, że żadne rozporządzenie ministerjalne nie może naruszać praw nabytych przez nominację na profesora zwyczajnego.

Do tych praw należy dalej, że profesora zwyczajnego nie można ani usunąć ani przenieść (bez jego woli); to poręcza skutecznie samoistność jego stanowiska, swobodę w wykony-

waniu obowiązków, niezależność w pracy wykładowej i badawczej. Przed kilku laty podniosły dzienniki lewicowe krzyki na wrocławskiego profesora prawa państwowego za jego ostrą krytykę obowiązującej konstytucji weimarskiej. Wobec tego hałasu wkroczył minister, zażądał wyjaśnień, ale profesor wywiódł, że nie przekroczył granic krytyki umiędzej, na czym sprawę załatwili.

Przy nominacji na profesora równocześnie następuje nominacja jego jako dyrektora czy seminarjum czy instytutu, czy kliniki, bo profesor poprzednik, przechodząc w stan nieczynny, traci tem samem władzę dyrektorską, gospodarczą i t. d.

Wybór profesorów odbywa się niemal drogą kooptacji. Wydział na pełnem posiedzeniu wybiera komisję specjalną z pośród profesorów zwyczajnych, która pod przewodnictwem dziekana przedstawia fakultetowi trzech kandydatów; najczęściej zgadza się komisja jednogłośnie na terno; jeśli nie, to mniejszość wnosi *votum separatum*. Fakultet potwierdza uchwałę komisji i odsyła ją przez dziekana ministrowi (ewentualnie z *votum separatum*, jeśli oponenci przy niem obstają); minister uwzględnia zawsze kandydata postawionego na pierwszym miejscu i tylko, gdy ten powołanie odrzuci, swobodniej wobec tamtych dwóch kandydatów postępuje, mianuje np. trzeciego. Żeby minister przedstawionego *primo loco* odrzucił, nie zdarza się nigdy; bywało tylko, że zbyt leciwego kandydata minister z listy usunął a wybrał młodszego. Zaufanie kolegów powoływało więc nowego profesora a zaufania tego nie zdradzał on też później; wybrany dziekanem czy rektorem, nie uważał się nigdy za narzędzie ministra, bronił wytrwale fakultetu czy uniwersytetu. Mogło ministerstwo narzucać fakultetowi profesora, tworząc dla niego osobną katedrę, ale narzucony profesor starał się najgorliwiej o pozyskanie miru wśród kolegów i całkiem wyjątkowo z tem się nieco opóźniał, np. gdy Bismarck narzucił fakultetowi medycznemu swego lekarza monachijskiego, grożąc, że w razie odmowy kanclerstwo do Monachium przeniesie.

Wolność nauczania jest absolutna i nigdy się na nią nie targnięto. Gdy teologowie „pozytywni“ biadali nad wolnomyślicielstwem profesora historii kościelnej Harnacka, gdy przeciwko jego „zgubnemu wpływowi“ na młodzież teologiczną

sarkali, nie można było temu zaradzić inaczej jak przez powołanie ortodoksyjnego profesora na drugą, utworzoną *ad hoc* katedrę, aby przeciwdziałał Harnackowi, ale i to nie pomogło i nowy profesor porzucił niebawem Berlin. Każdy profesor jest zgóry pewien tego, że nikt nie będzie ani jego wykładu ani jego pracy naukowej kontrolował, że nikt mu się w jego działalność jako profesora czy badacza nie wmiesza, że nie zagraża mu żaden uszczerbek. Było rzeczą zupełnie wyjątkową, że za wszechwładztwa Bismarcka nie obierano rektorem jego osobistego przeciwnika (Virchowa), że ociągnięto się z tem aż po dymisji kanclerza, nie chcąc narażać uniwersytetu ani Virchowa na arbitralność kanclerza; konflikty wymija się tem łatwiej, że rektora nie wybiera się dowolnie z pośród grona profesorskiego, lecz wedle kolei fakultetów, ustalonej od średniowiecza. Nie krępują więc profesora żadne względy osobiste; swoboda pracy twórczej jak i nauczania jest mu poręczona; żeby go dla nich usunięto, żeby zwinięto jego katedrę przy jakiegokolwiek „reorganizacji“, o której nikt w podobnym celu ani myśli, jest zgóry wykluczone.

Katedr się nie zwija. Nawet dziś, mimo katastrofy finansowej, przy każdym opróżnieniu katedry (przez śmierć lub przeniesienie profesora, który lata ustawowe przekroczył, w stan nieczynny), wzywa natychmiast ministerstwo fakultet, aby przedstawił terno kandydatów. Do niedawna przybywały nawet katedry; świeżo (1 grudnia 1932) zgodziło się ministerstwo na wniosek fakultetu utworzenia nowej; stąd rozrósł się fakultet filozoficzny w Berlinie tak, że liczy dziś około stu profesorów zwyczajnych (z tych 22 nieczynnych), gdy sto lat temu było wszystkich profesorów zwyczajnych tylko szesnastu; granicy wieku dawniej nie znano żadnej, inaczej niż w Austrii czy Rosji, gdzie zawsze istniała.

Samorząd uniwersytecki (*Selbstverwaltung*) jest bardzo znaczny; w sprawie imatrikulacji, rygorozów, habilitacji rozstrzyga wyłącznie komisja imatrikulacyjna, względnie fakultet, ściśle według przepisów. Student czy kandydat może jednak odwoływać się do ministerstwa, aby w drodze łaski zwolniło przepisy, np. rygorozant, który padł i przy powtórnym egzaminie, nie ma prawa do nowej próby, ale można go odsyłać do łaski ministerjalnej, która i na trzecią próbę pozwolić

mu może. Żeby habilitant, którego zgłoszenie fakultet odrzucił, apelował do ministerstwa, nie zdarzyło się; zwróci się on raczej do innego uniwersytetu.

Sędzia uniwersytecki żadnego wpływu na życie uniwersyteckie nie wywiera; jest doradcą prawnym (np. w sprawach zapisowych) i niczem więcej. Profesor przy normalnym biegu nigdy się z nim nie spotka, chyba jeśli należy do komisji imatrykulacyjnej.

Kuratora uniwersytet berliński nie zna. Urząd ten datuje z czasów przed telegrafem i koleją żelazną, kiedy poczta z Berlina np. do Bonn tam i napowrót tygodnia wymagała; był więc na miejscu „kurator“ jako zastępca ministra.

Gmach uniwersytecki był dla policji nieprzystępny. To się dziś zmieniło, gdy starciom między studentami pedele nie podobają i rektor wzywa pomocy policji a uniwersytet na dzień lub kilka zamyka; fakt do niedawna niesłychany. I co do stowarzyszeń studenckich, sięga samorząd uniwersytecki wcale daleko; rektor z senatem może je zawieszać czasowo albo na zawsze.

Zresztą rozstrzygają mniej przepisy niż duch, w jakim się je wykonywa, a ten jest bardzo liberalny. Konfliktów obojawnie się wystrzega; rektor czy dziekan odwiedza dyrektora ministerjalnego (szefa sekcji), aby się u niego informować co do zamiarów rządowych, albo aby jemu życzenia fakultetu przedstawiać i wszelkie nieporozumienia zgóry usuwać. Należy się prawdziwe uznanie kierującym urzędnikom, że od zbytniej ingerencji ministerjalnej się wstrzymują; *quieta non movere* bywa ich zasadą. Mąciła wodę prasa „postępowa“, której ów samorząd uniwersytecki nie dogadzał, która uniwersytety w czambuł jako instytucję „feudalną“ potępiała albo denuncjowała, co w pierwszych latach po przewrocie 1918 r. często się powtarzało, dziś raczej już do przeszłości należy. Powaga uniwersytetów na tem nie ucierpiała. Fatalniej dla niej, że coraz burzliwsza młodzież antysemityzm i pięścią popiera, czego pokolenie antysemitów z lat 1879—1881 jeszcze nie znało; szczególniejszą zaczepliwością odznaczają się narodowi socjaliści. Na tem tle rozgrywał się świeżo konflikt w politechnice w Brunszwiku; rektor i senat, wierni wydanemu hasłu „odpolitykowania wszechnic“ (*Entpolitisierung der Hochschulen*), za-

bronili godeł narodowo-socjalnych w jednym instytucie; minister, sam narodowy socjalista, zniósł zakaz, uważając to za uchybienie przeciw równouprawnieniu stowarzyszeń akademickich; rektorowi zaś, Gessnerowi, wytoczono dyscyplinarkę z powodu rzekomych nadużyć. Nie uszła ta sprawka p. ministrowi na sucho. Z powodu niej zebrali się rektorowie „szkół wyższych“ (*Hochschulen*) w Halle i, świadomi swej odpowiedzialności wobec państwa i wiedzy, zaprotestowali przeciw wciąganiu polityki partyjnej do szkół akademickich; podziękowali rektorowi Gessnerowi i senatowi brunświckiej politechniki, za ich dzielne postawienie się (*mannhaftes Auftreten*) przeciw zamachowi ministra na swobodę nauki i samorząd akademicki, zarazem oświadczyli się jednomyślnie za pismem, którem przewodniczący związku niemieckich szkół wyższych wezwał prezydenta Rzeszy Hindenburga do ochrony zagrożonych najwyższych dóbr akademickich. Toż chyba nie „urzędnicy“ mogli się zebrać na takie wystąpienie!

W uniwersytecie niema koteryj ani się zdarza, iżby jeden kolega wywierał jakiś wpływ przeważny (jak np. swego czasu trząśł Miklosich całym wydziałem filozoficznym w Wiedniu). Przy kooptacji, t. j. przy ustalaniu terna względy partyjne, polityczne nigdy nie rozstrzygają; rozstrzyga rzeczowość, nic więcej. W mniejszych, prowincjonalnych uniwersytetach bywają i koteryje i większa zawisłość od ministerstwa, ale to nie dotyka np. Berlina. Od słabostek ludzie nigdzie nie są wolni zupełnie.

Oba palladja samorządu akademickiego, wolna kooptacja (acz miarkowana przez rząd) i absolutna swoboda nauki i nauczania poręczają, że i nadal utrzyma się poziom uniwersytecki w Niemczech na wysokości, której dosiagnął w pracy wytrwałej a nieskrępowanej żadnymi względami. I dziś jeszcze Berlin, Monachjum, Lipsk czy Heidelberg liczą na setki cudzoziemców. przybywających na studia choćby z Japonji albo ze Stanów Zjednoczonych. Pytania, czyby tego samego poziomu nie dostąpiono także wśród nieprzychylniejszych warunków, t. j. przy braku owej zupełnej swobody, nikt na serio dyskutować nie będzie. Szczególniej praca twórcza, ale i samo nauczanie, wymagają dla bujnego rozwoju, żeby ich nie wodzono na żadnym pasku czy prawomyślności czy subordynacji, czy jak tam się

owe sidła nazywają. Byłe carskie uniwersytety — sowieckie nie są uniwersytetami w europejskim znaczeniu słowa — mogą służyć za przykład odstrasżający, jak się krępowanie nauki, np. programami wszelakimi, mścić zwykło; szkoła fachowa. właśnie od programów ściśle uzależniana, przenigdy uniwersytetu nie zastąpi. Że i w uniwersytetach samych, wobec zupełnie zmienionych stosunków ogólnych, odzywają się głosy krytyczne o systemie i środkach, jest to chwalebna oznaką samoistności myślowej, która jednak bynajmniej nie dąży ku wzmocnieniu przewagi rządowej, nie pragnie uszczuplenia dawnych praw.

Oba nasze starsze uniwersytety, krakowski i lwowski, wzorowane na samorządzie niemieckich, nie zarażone żadnym duchem moskiewskim, pełniły i pełnią dzielnie służbę naukową i narodową. Wyrobiły pewną tradycję także trzem młodszym uniwersytetom. Innego wzoru niż ten, do którego już się włożyły, polecać nie trzeba. Żaden ujemny objaw nie zmusza do nagłego porzucania torów wypróbowanych. Niczem realnem nie uzasadnione eksperymenty macą raczej i niepokoją właśnie na polu naukowem. Wzory chyba francuskie naśladować, rzecz bardzo ładna i słuszną, ależ wzory wzorom niezawsze równe, niejeden może wcale naśladownictwa nie godzien. Gaszenie a choćby tylko przyćmiewanie swobody naszych uniwersytetów musi się niekorzystnie odbić na kulturze i przyszłości narodowej.

Berlin, w grudniu 1932.

HENRYK HOYER,

profesor i b. rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego,
członek czynny Polskiej Akademii Umiejętności.

JAK WYGLĄDA AUTONOMJA SZKÓŁ WYŻSZYCH W NIEMCZECH.

Prawie wszystkie twierdzenia artykułu, ogłoszonego pod wymienionym tytułem w *Gazecie Polskiej* z dnia 25 listopada 1932 roku, wymagają uzupełnienia; mogą one wywołać mylne wrażenie, jakoby statuty uniwersytetów niemieckich ograniczały bardziej samorząd tych uczelni, aniżeli czyni to projekt nowej ustawy polskiej względem Wszechnic naszych. Według autora artykułu, w Niemczech niema wogóle ustawy, lecz tylko statut ramowy, „który, z pewnemi nieistotnemi zmianami, został rozporządzeniem ministra nadany poszczególnym uczelniom”. Statut ramowy istnieje tylko dla Uniwersytetów w Berlinie, Wrocławiu i Bonn, założonych prawie równocześnie z początkiem XIX wieku. Wszystkie inne Uniwersytety, nawet pruskie, posiadają nadane im niegdyś prawa i regulaminy wydziałów, które z biegiem czasu tylko nieznacznie zostały zmienione i do nowszych warunków przystosowane. Nieco odmiennemi statutami rządzą się Uniwersytety innych państw niemieckich, jak Bawarii, Saksonji, Wirtembergii i t. p. Niektóre, jak Uniwersytet w Heidelbergu, a nawet i Gryfja w Prusach, zachowały stare tradycje, nie dopuszczające ingerencji Ministra do spraw wydziałowych. W Saksonji Rząd, jako całość, nie zaś sam Minister Oświaty, ma prawo zmieniać statut, zasięgnąwszy opinii Senatu, względnie Rad Wydziałowych. Uniwersytetu w Lipsku. W Prusach minister nie jest obowiązany zasięgać opinii Uniwersytetów. Z tej prerogatywy skorzystał Minister po wojnie, mianując więcej pro-

fesorów nadzwyczajnych zwyczajnymi, niż proponowały Uniwersytety.

Co się tyczy wyboru i władzy rektora, ustawa polska z r. 1920 zgadza się naogół z tradycjami niemieckimi, które okazują jeszcze i teraz wyraźnie panujący duch korporacyjny. W Lipsku np. biorą udział w wyborze rektora profesorowie zwyczajni, część nadzwyczajnych i docentów, oraz przedstawiciele lektorów, asystentów, a nawet studentów.

Według projektu nowej ustawy, urzędowanie rektora ma trwać trzy lata, a wybór zatwierdza Prezydent na wniosek Ministra. Jeśli rektor wybrany „nie może podołać obowiązkom lub nie przestrzega przepisów, Prezydent, na wniosek Ministra, może cofnąć zatwierdzenie wyboru przed upływem kadencji“. W Niemczech Minister może nie zatwierdzić wyboru rektora w przypadku, jeśli wybór nie odbył się legalnie, lub też z powodów obiektywnych, które muszą być wymienione w odnośnem rozporządzeniu. W takim położeniu znalazł się sławny uczony Rudolf Virchow, który, jako gorący radykał, brał czynny udział w r. 1848 w budowaniu barykad na ulicach Berlina. Musiał czekać długo, zanim został powołany na profesora do Würzburga, ponieważ rząd bawarski obawiał się, że będzie tam politycznie czynny; jego wybór na rektora, gdy został profesorem w Berlinie, kilkakrotnie nie był zatwierdzany. Godność rektorską piastował dopiero w r. 1893, mając 72 lata. W tem samem położeniu znaleźli się i inni radykali z roku 1848, których rząd ówczesny prześladował ze względów politycznych, jak Karol Vogt i inni. Rektor raz wybrany pozostaje w Niemczech w urzędzie do końca roku akademickiego, chociażby nawet okazywał nieznaczne kwalifikacje administracyjne. Tylko choroba albo śmierć mogą spowodować nowy wybór. We wszystkich niemieckich wszechnicach rektor jest przedstawicielem ciała profesorskiego i gospodarzem uniwersytetu, nigdy zaś zwierzchnikiem profesorów lub kontrolerem władz i zakładów akademickich.

Nigdy o tem nie słyszałem, aby w Niemczech rektor piastował urząd dłużej niż rok. W statucie uniwersytetu berlińskiego jest wyraźnie zaznaczone, że wybiera się rektora na jeden rok. Każdy profesor niemiecki uważa wybór na dzie-

kana lub rektora, i związany z nim rok zajęć administracyjnych lub reprezentacyjnych, za konieczność, która stoi w najściślejszym związku ze stanowiskiem profesora. Po ukończeniu takiego roku, profesor powraca do pracy naukowej, która jest jego głównym zadaniem. Trzechletni okres urzędowania nie byłby do pomyślenia w szkołach akademickich niemieckich. Na czas urzędowania rektor otrzymuje wyższy stopień w hierarchii urzędniczej, potem powraca znowu do niższego.

Według projektu nowej ustawy polskiej, czynność obsadzania katedry zwyczajnej lub nadzwyczajnej rozpoczyna się od rozpisania ankiety do profesorów zwyczajnych i nadzwyczajnych, wykładających dany lub pokrewny przedmiot we wszystkich szkołach akademickich polskich i od wyboru komisji, powołanej do oceny wyników ankiety. Sposób dokonywania ankiety i wyboru komisji oraz sposób jej postępowania ustala Minister. Dotychczas spełniała te czynności komisja, delegowana przez Radę Wydziałową, która to Rada przedstawiała następnie Ministrowi nazwisko kandydata. W Niemczech nie rozpisuje się żadnych ankiet. Wydziały samodzielnie wybierają i proponują kandydata, którego następnie mianuje Minister. W niektórych uniwersytetach jest zwyczajem, że przedstawia się trzech kandydatów; Minister wybiera z nich tego, którego żądania są najmniej wygórowane i najłatwiejsze do zaspokojenia. Dobór i wybór profesora w Niemczech dokonywa się skrupulatnie. Wobec istnienia 23 uniwersytetów i niezliczonego mnóstwa docentów, Uniwersytety mają zawsze wielką obfitość ewentualnych kandydatów; istnieje nadto możliwość powołania wybitnych uczonych z uniwersytetów pewnych obcych państw, jak Szwajcaria, Austria, niekiedy Holandia lub Norwegia.

Propozycje Wydziałów przedkłada kurator Ministerstwu. W pruskiem Ministerstwie Oświaty istnieje referent do spraw osobistych, który bada propozycje i przedkłada je ostatecznie Ministrowi. Takim referentem był przed laty w Berlinie Dr. Althof, który był znakomitym znawcą spraw uniwersyteckich. Jeśli chodziło o pozyskanie uczonego, niedostatecznie mu znanego, zwłaszcza dla uniwersytetu w Berlinie, zjawiał się incognito jako słuchacz na wykładach danego docenta lub profesora, ażeby przekonać się osobiście o jego kwalifikacjach

naukowych i dydaktycznych. Profesorowie, którzy otrzymali powołanie, stawiają nieraz uciążliwe warunki (wyższej pensji, uwolnienia częściowego lub zupełnego od wykładów podstawowych, przyczem rezerwują sobie wykłady specjalne, albo urządzenia specjalnych laboratorjów); wówczas rozpoczynają się targi, które prowadzi referent. Z tych względów umieszczone są w statucie niemieckim osobne przepisy, dotyczące się wyznaczania wyższego miejsca w liście starszeństwa, możliwości uzyskania katedry bez dyrekcji zakładu względnie kliniki, wyższego wynagrodzenia i t. d. Pensja profesorów w większych uniwersytetach jest różnej wysokości ponad normę. Zależy to od układu nowopowołanych profesorów z ministrem. Nowomianowany profesor pozostaje na swem stanowisku aż do ustawowego kresu. Może on być emerytowany tylko w przypadku niespełniania obowiązków przez kilka półroczy, z powodu ubytku sił fizycznych lub umysłowych, albo też z powodu przewinień lub czynów niehonorowych. W tym ostatnim przypadku zostaje on na wniosek Wydziału lub senatu wykluczony z grona profesorów, lub też sądownie ukarany. Przeniesienie profesora z jednego uniwersytetu do innego może nastąpić tylko za jego zgodą.

Osobnego omówienia wymaga ustęp powołanego artykułu, dotyczący profesorów honorowych, który brzmi: profesorów honorowych mianuje Minister, może on jednak, po wysłuchaniu opinii Wydziału, odebrać prawa i obowiązki profesora honorowego. Minister może również odebrać profesorowi czy docentowi *veniam legendi*. Profesorowie honorowi, zestawieni w artykule z docentami, stanowią w Niemczech zupełnie inną kategorię profesorów, niż u nas. Według naszej ustawy z r. 1920, profesorami honorowymi mogą być mianowani wybitni uczeni, zwłaszcza z grona profesorów ustępujących z katedr. Profesorowie honorowi posiadali dotychczas wszelkie prawa profesorów czynnych, a więc mogli wykładać, brać udział w posiedzeniach ciał akademickich i piastować urzędy. Głównym motywem do stworzenia tej kategorii profesorów była, po pierwsze, chęć okazania wdzięczności i uznania dla wieloletniej owocnej działalności ustępujących profesorów, powtórze zaś ustawa dążyła widocznie do korzystania z doświadczenia i z wpływu Seniorów na młodsze po-

kolenia profesorów, zwłaszcza w nowoutworzonych uniwersytetach. W uniwersytetach rosyjskich profesorowie, zwani zasłużonymi, byli emerytowani, lecz pobierali zarówno emeryturę jak i pensję profesorską. Według artykułu 35 projektu nowej ustawy akademickiej polskiej, profesorowie mogą otrzymywać tytuł profesora honorowego i mają prawo wykładowania oraz uczestniczenia w uroczystościach akademickich; innych praw nie mają. Skoro przywileje profesorów honorowych są tak znikome, lepiej byłoby przekreślić je zupełnie, co byłoby zresztą sprawiedliwsze, niż niemianowanie profesorem honorowym uczonego, który na to zasłużył lub też odwrotnie.

Przed wojną profesorowie niemieccy pozostawali na swych stanowiskach bez wszelkich ograniczeń, jak długo chcieli. Dopiero w ostatnich czasach postanowiono oznaczyć granicę wieku, do którego profesor może być czynny (w Lipsku do 68 lat). Po ukończeniu tych lat profesor przechodzi na emeryturę, może jednak jeszcze wykładać, prowadzić ćwiczenia, za co pobiera chesne, oraz brać udział w posiedzeniach Rad Wydziałowych, lecz bez prawa głosowania. W wyjątkowych przypadkach emeryci mogą nadal pełnić obowiązki profesorów czynnych, mają więc te same prawa, jakie przysługują u nas obecnie profesorom honorowym.

Nadawanie tytułu profesora honorowego datuje się w Niemczech dopiero od roku 1877. Tytuł nadaje Minister, prawdopodobnie w porozumieniu z Uniwersytetami, osobom na polu naukowym zasłużonym. Profesorowie honorowi mogą brać udział w obradach rozszerzonej Rady Wydziałowej, jak np. w uniwersytecie lipskim. Wśród nich, jak i wśród znacznego zastępu docentów, mogą zdarzyć się przypadki, w których Minister bywa zmuszony do cofnięcia tytułu lub pozwolenia wykładowania. Co do udzielania tego pozwolenia, należy zaznaczyć, że na uniwersytetach niemieckich *veniam legendi* nadaje Wydział, zawiadamiając o fakcie dokonany rektora i Ministerstwo. Koszta habilitacji są bardzo znaczne.

Dla spraw dyscyplinarnych istnieje na uniwersytetach niemieckich urząd sędziego uniwersyteckiego, stworzony w Prusach dekretem królewskim w r. 1810; sędziego mianuje Minister Oświaty w porozumieniu z Ministrem Sprawiedliwości.

Urząd taki okazał się potrzebny wobec niezliczonego mnóstwa konfliktów, które miewają studenci z władzami porządku publicznego. Sędzia ma stanowisko równe stanowisku profesorów zwyczajnych; jest on doradcą prawnym każdorazowego rektora i bierze stale udział w posiedzeniach Senatu. Drobniejsze sprawy dyscyplinarne studentów sędzia załatwia sam, ważniejsze przedstawia Senatowi do rozstrzygnięcia. U nas sprawy dyscyplinarne załatwiają profesorowie, zwłaszcza Wydziałów prawniczych, w Niemczech sędzia, którego urząd bynajmniej nie jest ekspozyturą Ministerstwa. Nie można też stawiać sędziów narówni z kuratorami, jak to zdaje się czynić autor artykułu *Gazety Polskiej*.

Kuratorowie są to przez Ministerstwo upoważnieni pośrednicy między nim a Uniwersytetem. Kuratorem niektórych uniwersytetów jest prezydent prowincji, kuratorem np. Uniwersytetu Wroclawskiego jest prezydent Śląska; w innych dzielnicach kuratorem jest wyższy urzędnik Ministerstwa. Przez ręce kuratora przechodzi wszelka korespondencja Uniwersytetów z Ministerstwem. Władza wykonawcza kuratorów jest różna; w Monastyrze kurator przegląda pisma uniwersyteckie i posyła je dalej, w innych razach zaopatruje pisma swemi uwagami lub może załatwiać je samoistnie; może np. dokonywać nominacji asystentów. Kurator jest wprawdzie przedstawicielem upoważnionym Rządu, ale nie bywa nigdy niechętnie życzeniom Uniwersytetów usposobiony; przeciwnie, znając sprawy uniwersyteckie, jest raczej troskliwym ich opiekunem.

Statuty niektórych Uniwersytetów niemieckich zawierają wprawdzie postanowienia, które udzielają Ministrowi pewnej, dość znacznej władzy i ograniczają tem samem samorząd Uniwersytetów, ale rząd korzysta z tej władzy nadzwyczajnie rzadko, a jeśli to czyni, wywołuje zawsze bardzo silny opór i opozycję. Zdarzyło się tak np. w roku 1884, gdy, na życzenie Bismarcka, zamianowano jego lekarza domowego, Dra Schweningera, nadzwyczajnym profesorem Uniwersytetu w Berlinie; Dr. Schweninger był bojkotowany przez wszystkich kolegów. Podobny przypadek wydarzył się w nowszych czasach w Jenie. Korporacyjny duch Uniwersytetów, oparty na starych przywilejach i tradycjach, przeciwstawia się w Niem-

czach zawsze z akusom, dążącym (zwykle w celach politycznych) do ukrócenia samorządu. Rząd nie obstaje zwykle przy podobnych zamiarach, jeśli znajdzie się wobec argumentów słusznych i przekonywających. Do tego przyczynia się wysoki kult nauki oraz poszanowanie roli uniwersytetów; uczucia te żyją w całym społeczeństwie, od sfer najniższych do najwyższych. Już sama liczba 23 pełnych uniwersytetów (nie wspominamy politechnik i rozmaitych akademii) daje wyobrażenie o wysokim stopniu życzliwości i o szacunku dla nauki, który w Niemczech panuje. Uniwersytety współzawodniczą ze sobą, na podstawie przysługującego im samorządu, aby uzyskać dla siebie najlepsze siły naukowe. Rząd popiera te dążności, widząc w ośrodkach nauki narzędzia potęgi, zarówno duchowej jak nawet i materialnej.

W Polsce jesteśmy jeszcze dalecy od zrozumienia roli nauki. Uniwersytety nasze rozwijają się pomyślnie i są na drodze do rozkwitu; lecz społeczeństwo niestety jeszcze nie pojmuje, jaką dźwignią kultury i dobrobytu Kraju jest nauka i jakie są nieodzowne jej potrzeby; publiczność sądzi, że Uniwersytet to szkoła jak każda inna. Każdy nauczyciel w Polsce bywa przecież nazywany profesorem. Projekt nowej ustawy akademickiej dąży wyraźnie do przemiany Uniwersytetu na zwykłą szkołę, skoro profesorowie mogliby być przenoszeni z jednej wszechnicy do innej lub też przenoszeni w stan spoczynku. Zachodzi jednak ta różnica, że „profesora” szkoły średniej łatwo zastąpić można innym, w Uniwersytecie zaś wybór sił naukowych odpowiedniego poziomu jest u nas bardzo mały; już obecnie istnieją liczne katedry wolne dla braku sił; cóż będzie po wprowadzeniu nowej ustawy w życie? Czy Ministerstwo zastanawiało się nad temi sprawami? Jeśli projekt Ustawy, mimo postawy odpornej profesorów Szkół Akademickich w Polsce, będzie wprowadzony w życie, Niemcy, którzy podczas okupacji stworzyli Uniwersytet Warszawski według wzorów niemieckich, będą mieli powód do radości.

JULJAN PAGACZEWSKI,

profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego,
członek korespondent Polskiej Akademji Umiejętności.

W SPRAWIE SAMORZĄDU SZKÓŁ AKADEMICKICH.

Punkt 1 artykułu 2 projektowanej Ustawy o szkołach akademickich zastrzega Ministrowi W. R. i O. P. prawo „tworzenia i zwijania wydziałów, oddziałów, studjów, katedr i zakładów po wysłuchaniu opinji Rady Wydziałowej, względnie Senatu“. Opinie te mają mieć znaczenie tylko doradcze, a nie obowiązujące. Minister W. R. i O. P. mógłby więc w każdej chwili zwinąć katedrę i związany z nią zakład naukowy na jednej ze Szkół Wyższych i utworzyć taką samą katedrę wraz z zakładem gdzieindziej, czyli poprostu katedrę z zakładem przenieść.

W związku z tym punktem Ustawy nasuwa się pytanie, jak będzie wyglądała ofiarność publiczna na rzecz szkół akademickich, bo, jakkolwiek ubogie nasze społeczeństwo nie mogło popierać szkolnictwa uniwersyteckiego w tej mierze, jak np. Anglicy czy Amerykanie, to jednak i to, co dawało, nie jest do odrzucenia.

Uwagi moje ograniczam niemal wyłącznie do stosunków na polu historii sztuki, jako najlepiej mi znanych. Zobaczmy, jak się rzecz przedstawia.

Uniwersytet Jagielloński posiada dwa zakłady związane z katedrami historii sztuki powszechnej, Muzeum Sztuki i Zakład Historji Sztuki. Zasłużony inicjator Muzeum Sztuki U. J. (dawniejszego Gabinetu Archeologicznego), prof. Józef Łepkowski, nie byłby był zdołał swojej myśli urzeczywistnić, gdyby się, w sześćdziesiątych latach ubiegłego wieku, nie byli znaleźli hojni ofiarodawcy w osobach Aleksandra i Konstantego hr. Przezdzieckich, Edwarda bar. Rastawieckiego, Władysława ks. Czartoryskiego i Karola Rogawskiego. Głównie dzięki

tym szlachetnym i mądrym ludziom, którzy kolekcje swoje, z umiłowaniem przez całe życie zbierane, darowali Uniwersytetowi Jagiellońskiemu, powstał wielki zakład o niezmiernej doniosłości dla kształcącej się w zakresie historii sztuki młodzieży, zakład, jakim prawie żaden Uniwersytet zagraniczny poszczycić się nie może. Po śmierci Łepkowskiego zbiory powiększały się w dalszym ciągu. Przybywają do nich: kolekcja Aleksandra Jelskiego, cenne dary Benedykta hr. Tyszkiewicza¹ oraz zbiór graficzny, zapisany w roku 1928 przez prof. Jerzego hr. Mycielskiego. Obok polskich uczonych korzystają z tego Muzeum także i zagraniczni, ci zaś, którzy je zwiedzają, zazdroszczą nam możliwości prowadzenia ćwiczeń praktycznych dla uczniów bezpośrednio na oryginalnych zabytkach, które profesor może mieć od razu pod ręką. Materiał to obfity i wszechstronny. Składają się nań dzieła sztuki różnych epok i różnych narodów. Te zbiory sreber gdańskich i norymberskich, porcelany saskiej, wiedeńskiej i polskiej, szkieł polskich i obcych, kobierców, tkanin i haftów, obrazów i rzeźb od średniowiecznych zacząwszy, rysunków, wreszcie rycin, rozmieszczone w przyszłości — jak to jest zamierzone — w wielkich salach gotyckiego Collegium Maius, złożą się na przepiękne, wprost milionowej wartości muzeum, które będzie równie ozdobą Uniwersytetu, jak chluba miasta.

Jeżeli drugi zakład, Historji Sztuki, najstarszy w Polsce, bo zapoczątkowany jeszcze w ośmdziesiątych latach ubiegłego stulecia przez prof. Marjana Sokołowskiego, jest dziś tak zasobny i może spełniać swoje dydaktyczne oraz naukowe zadanie, to zawdzięcza to wspaniałym darom Karola hr. Lanckorońskiego, który oprócz kilku tysięcy fotografii ofiarował Zakładowi wielki, bardzo kosztowny zbiór odlewów gipsowych, Juliana Klaczki (zbiór fotografii włoskiego malarstwa XV wieku), Bolesława Wołodkowicza (biblioteka i fotografie), ks. prof. Stefana Pawlickiego (duża ilość książek), prof. Jerzego hr. Mycielskiego (4000 fotografii, głównie malarstwa flamandzkiego i ho-

¹ Między innemi szklany puhar wenecki z pierwszych lat XVI w., nabyty okazjnie w Paryżu, pod koniec zeszłego wieku, na licytacji zbiorów rodziny Castellane za dziesięć tysięcy franków.

lenderskiego oraz biblioteka), wreszcie, świeżo, architekta Tadeusza Stryjeńskiego (dużo luksusowych publikacji, a wśród nich takie, jakie dziś, z powodu wyczerpania, chyba tylko po bardzo wysokich cenach dostaćby można,¹ oraz docenta dra Stefana Komornickiego (*Jahrbuch der preußischen Kunstsammlungen*, 30 roczników, wartości około 3000 zł, znacznie przynoszącej roczną dotację Zakładu). Wspominam tylko — rzecz jasna — o większych kolekcjach, niepodobna bowiem wymienić na tem miejscu wszystkich, którzy w miarę możliwości przyczynili się do rozrostu Zakładu. Dość powiedzieć, że conajmniej $\frac{4}{5}$ inwentarza Zakładu Historji Sztuki, jak i Muzeum, to dary, a najwyżej $\frac{1}{5}$, to nabytki z subwencji rządowych, austriackich, a później polskich.

Z jakichże pobudek płynęły te hojne dary? Z przeświadczenia, że się popiera naukę polską. Tak, ale niewątpliwie — bo taką już jest natura ludzka — i z sentymentu dla Uniwersytetu Jagiellońskiego. W szeregu wymienionych powyżej ofiarodawców widzimy nazwiska bądź profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, bądź ludzi z Krakowem szczególnie związanych i zżytych, jak Klaczko, Wołodkowicz, Stryjeński czy Komornicki. I gdzieindziej jest podobnie. Gorąco do Lwowa przywiązany prof. Jan Bołoz Antoniewicz, nie żadnemu innemu Uniwersytetowi, lecz Zakładowi Historji Sztuki w Lwowskim Uniwersytecie darował bardzo poważnej wartości bibliotekę i wielki zbiór fotografii. Podobnie rzecz się ma na innych wydziałach.

Trudno byłoby wymienić wszystkie dary ofiarowane w ciągu XIX i XX w. Uniwersytetowi Jagiellońskiemu czy innym wszechnicom. Ale dla przykładu wspomnę takie dary krociowej wartości, jak biblioteka Gostkowskich z pierwszej połowy XIX wieku, darowana Bibliotece Jagiellońskiej; albo księgozbiór 5000 ksiąg Romualda Hubego; albo rękopisy J. I. Kraszewskiego. Nader częstą, niemal codzienną rzeczą są ofiary całych bibliotek ze strony ustępujących z katedry profesorów na rzecz biblioteki uniwersyteckiej lub zakładów i klinik (biblio-

¹ Same tylko dwie publikacje Letarouilly'ego, *Édifices de Rome moderne* i *Vatican et la Basilique de Saint Pierre*, kosztowałyby, nawet przy dzisiejszym kryzysie w handlu antykwarskim, około 1500 złotych.

teki Winc. Zakrzewskiego, ks. Stefana Pawlickiego, Aleksandra Rosnera, we Lwowie Ernesta Tilla, a zwłaszcza wzruszający dar Niemca, prof. Wilhelma Creizenacha na rzecz Wszechnicy Krakowskiej). Zakład Nauk Pomocniczych Historji otrzymał nader cenny dar Luba-Radzimińskich. Tak samo częste są dary na rzecz zakładów przyrodniczych: z za morza ofiarował swój zbiór Zakładowi Mineralogicznemu Uniw. Jagiell. Ignacy Domeyko, druh Mickiewicza; darami wzrósł Ogród Botaniczny (np. dar K. Jelskiego lub prof. Janczewskiego). Bez tych darów nieustannie napływających, a podyktowanych głębokiem przywiązaniem i wdzięcznością dla danego Uniwersytetu lub jego zakładu, nie byłby do pomyślenia rozwój żadnego zbioru uniwersyteckiego. Temu silnemu prądowi ofiarności ludzkiej położy teraz skutecznie tamę projektowana Ustawa o szkołach akademickich, gdy wejdzie w życie.

Z chwilą, w której przenoszenie zakładów stanie się prawomocnem, ofiarność publiczna na rzecz szkół akademickich, jeżeli się nie skończy, to conajmniej bardzo osłabnie; niejednen bowiem cofnie się od darowizny, nie mając pewności, że dar jego pozostanie na zawsze w tej szkole, która jest szczególnie jego sercu droga i w tem mieście, z którem się jego życie związało. A czy w naszych finansowych stosunkach można przekreślać tak poważną pomoc? Czy Rząd, przy najlepszej woli, będzie mógł tę lukę wypełnić?

Pewne działy wiedzy są ściśle związane z warunkami miejscowemi. Jak na zakładach wyciska piętno miejsce ich powstania, tak i profesor jest w wielu wypadkach — że tak powiem — *glebae adscriptus*. Podejmuje on najczęściej takie tematy, które może opracować w danem środowisku. Do tych też tematów gromadzi w swoim zakładzie materiał naukowy. Krakowski i poznański historyk sztuki pracować może głównie w zakresie średniowiecza i renesansu, bo w mieście i okolicy ma z tego czasu najwięcej oryginalnych zabytków. Krakowskie zakłady historji sztuki są też zaopatrzone w materiał naukowy odnoszący się w pierwszym rzędzie do romanizmu, gotyku i renesansu. Lwów i Wilno mają znowu najlepsze warunki do badania baroku i rokoka, Warszawa — baroku, rokoka, a zwłaszcza neoklasycyzmu. Taki też podział

pracy już od dłuższego czasu wyraźnie się zarysował. Ostatecznie profesor przeprowadzi się z zakładem, w innym mieście mniej mu już przydatnym, ale kościoły, domy, skarbcę, muzea czy archiwa za nim nie pójdą. Zbieranie materiałów i wżycie się w pewną epokę dziejów sztuki — pominąwszy już specjalne zamięłowanie — wymaga długich lat pracy. Po zmianie miejsca i warunków niełatwo przysłoby przerzucić się w inną epokę. To samo dotyczy niektórych gałęzi nauk przyrodniczych, np. botaniki, zoologii, mineralogii i geologii, które w różnych środowiskach uniwersyteckich są uprawiane w związku z miejscowym podłożem. Zupełnie też słusznie projektowana Ustawa zaleca zakładom naukowym „dążyć do najpełniejszego wykorzystania warunków regionalnych“ (artykuł 21, punkt 2). Rozstrzygnięcie o przenoszeniu katedr i zakładów spoczywa jednak (w myśl tej Ustawy) w rękach każdorazowego Ministra W. R. i O. P. A któż może przewidzieć, jakie przyjdą czasy, jacy ludzie, i jakich ministrów w przyszłości mieć będziemy? Wszak Ustawa jest obliczona nie na dziś, ale na długie lata. W pewnych, chyba bardzo wyjątkowych przypadkach komasacja katedr może być ewentualnie wskazana; ale czy przy Ustawie, która Ministrowi W. R. i O. P. zastrzega głos rozstrzygający, a Radom Wydziałowym i Senatowi Akademickim jedynie doradczy, będzie w przyszłości racjonalnie przeprowadzana? Nauka, składająca się z przeróżnych i bardzo licznych a z sobą nieraz silnie związanych działów, jest czymś bardzo subtelnym, delikatnym i skomplikowanym. Jedynie fachowiec, i to po długich latach pracy, może wiedzieć, jakie są potrzeby w zakresie jego specjalności, co pożądané, a co — mimo nęcących pozorów — zgubne.

Nie bez znaczenia jest także ściśle współpracownictwo poszczególnych uczonych, którzy wspólnie podejmują jeden temat, a których bez szkody dla nauki rozdzielać nie można.

EUGENJUSZ ROMER,

em. profesor Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie,
członek czynny Polskiej Akademii Umiejętności.

UWAGI O SAMORZĄDZIE UNIwersYTETÓW POLSKICH.

Gdy mowa o autonomii uniwersytetów, siedziby i warsztatu nauk, nie wolno nam o tem zapominać, że Polska w dziedzinie tych praw, wspólnie z Włochami, Francją i Anglią, całej Europie przoduje. Nie nam się pytać, jak sprawa wolności nauk, ich sług i przedstawicieli zarazem, profesorów uniwersytetu gdziekolwiek się kształtuje, lecz jak ona, w wieku XIV po raz pierwszy postawiona, całe dzieje Polski przetrwała, a niewoli państwa i narodu skutecznie się opierając, Polsce odrodzonej w stanie niemal nienaruszonym przekazana została.

Oto zasady Ustaw Akademii Krakowskiej, prototypu naszych uniwersytetów, w myśl przywileju króla Władysława Jagiełły:

....„iż sama sobie (Akademia) wewnętrzny swój Rząd i Ustawy nauk i karność Akademickiej tyczące się przepisuje“... „iż sama sobie obiera Rektora...“, „iż przez żadną władzę bądź świecką bądź duchowną wizytowana ani reformowana być nie powinna, tylko przez Króla lub umocowaną od Niego osobę, wspólnie z Rektorem i wybranymi z pomiędzy siebie do tego czynu onejże Członkami“... „Wszystkim Akademii Profesorom... służy osobie szacunku szlachectwa, który po wysłużonych latach dwudziestu rozciąga się nawet na ich potomstwo...“

W rządzie praw rektora, sprawującego „najwyższą zwierzchność, rząd i władzę wykonania ustaw akademickich...“ zastrzeżono mu też „prawo precedencji“ na obrząd-

kach i pompach publicznych stosownie do prerogatyw w tej mierze służących Akademjom: Bonońskiej, Padewskiej, Paryskiej i Uxońskiej (Oksford)..."

„Gdyby zaś kto z Następców naszych — mówi król Jagiełło w swym przywileju — lub innych którychkolwiek, Przywilej ten założenia Szkoły Powszechnej i nadania jej swobód zgwałcić i złamać się ważył, niech wie, że gniewowi mściwego surowego Sędziego, nędznej nieszczęśliwości, a okropnemu i niespodziewanemu losowi popadnie.“

Wszyscy następni Królowie dawnej Rzeczypospolitej owe przywileje nauki reprezentowanej przez uniwersytety w pełni zatwierdzali. Tymczasem życie i dzieje podkopały świetne podstawy materialne, a równie bezpłodna jak zawzięta walka z Jezuitami, później i z Pijarami, strawiła siły moralne i duchowe Akademii Krakowskiej.

Z chwilą zniesienia zakonu Jezuitów w r. 1773, Akademia znalazła się już w ruinie, a wraz z nią cała oświata narodowa. W tym wszakże momencie naród, po wstrząsie z r. 1772, wstępował na drogę, wiodącą ku odrodzeniu.

Wiekopomna Komisja Edukacyjna była tego odrodzenia jednym z najpotężniejszych instrumentów. Komisja Edukacyjna, stanawszy wobec zadania podniesienia Akademii z upadku, nie tylko się tego podjęła, ale przedsięwzięła jedyne w swoim rodzaju do tej pory zadanie, mianowicie zupełne reformowanie instytucji, którą stworzyły wieki i najwyższa kultura Zachodu.

Komisja Edukacyjna zdobyła się prawdopodobnie na krok tak śmiały tylko dzięki temu, że na horyzoncie współczesnej umysłowości polskiej znalazł się Hugo Kołłątaj, niemal młodzieniec jeszcze, tej śmiałości, ale też tej światłości, wytrwałości i zmysłu organizacyjnego, których zalet tak wielkie i nowe zadanie nieodzownie wymagało.

Dzieło reformy Kołłątajowskiej trwało trzy lata (1777 do 1780). Oto co o niem pisze uczestnik tej pracy, przesławny Jan Śniadecki w swym życiorysie Kołłątaja:

„Wszystkie tu opisane ustanowienia i porządki Kołłątaj osądził za niepotrzebne i wcale inny skład ciała, wybór (rektor mianowany przez Komisję na trzy lata) i po-

rzadek nauk podał do uchwalenia Komisji“. „Co innego jest rzeczy nowe budować, a co innego od wieków zbudowane przerabiać; w tym ostatnim przypadku, nie godzi się wywracać i niszczyć, tylko to, co jest szkodliwe“. „Trzeba było w reformie te święte i zbawienne ustanowienia podnieść i zachować: odświeżyć je lepszym wyborem i rozkładem nauk, te opatrzyć we wszelkie pomoce... podnieść znaczenie stopniów i tytułów akademickich... Cale przeciwnej chycono się drogi. Zaniechano obrządków Akademickich wziętych za pedantyzm, zamknięto dawne promocje... rozpuszczono ludzi starych i poważnych, ośmieliwszy młodych na lekceważenie zasługi i dawnego znaczenia; porównano wszystkich uczących pensje...“. „Brak doświadczenia, rady natrętne ludzi, jednych z podobnemi instytucjami nieobeznanych, drugich wszystko wywracać lubiących, kierowanych albo nienawiścią, albo interesem osobistym, wyprowadziły Kołłątaja z tego toru nieskazitelności...“ — „Wydany ...r. 1781 na doświadczenie Statut Szkolny skasował wielkie i ważne dla Akademii obowiązki, do których przygotowywano niektóre rzeczy, ale nic nie dokończono...“.

Te wszystkie zła, tkwiące przede wszystkim w obaleniu akademickiego samorządu i wolności nauki, mimo rozmiaru dobrego, wynikłego z działalności Kołłątaja i Komisji, choć w pełni nigdy nie naprawione, jednak też w pełni długo trwać nie mogły.

Już w r. 1782 przydano Kołłątajowi „Radę z ośmiu Profesorów Akademii złożoną, z którą we wszystkich robotach i przygodach powinien był naradzać się i stanowić“, a gdy „w czasie prześladowania i usumienia od spraw Akademii Kołłątaja, ustanowiona prokuratura jeneralna, źle dozierana i nieszczęśliwie dobrana... popełniła znaczne wykroczenia w administracji kasy...“, gdy „na miejsce Kołłątaja w roku 1786 przysłano do Akademii (jako rektora) człowieka skądinąd zacnego ale nieobeznanego z tym rodzajem pracy i zatrudnień, pełnego próżności i fałszywych o Naukach myśli (Felix Oraczewski), któremi zniechęciwszy jednych, przywiódłszy do opuszczenia Akademii innych Profesorów“... „Komisja Edukacyjna nauczona przykładem, jak rozdawanie

Urzędu Rektorskiego być może szkodliwem, kiedy nie jest uwieńczeniem doświadczonej zdatności, zaprowadziła wykonanie ustaw i zostawiła Akademji wolny wybór Rektora...".

Dziwne i nieubłagane losy ścigały tak zasłużonego a jednak i obwinionego Kołłątaja w jego dalszym żywocie. Czyżby Jagiellońska dosięgała go klątwa?

Wolność nauki i akademickich polskich uczelni na różne jeszcze próby została narażona, póki wraz z odrodzoną ojczyzną nie wzniosła się na najwyższy po Kołłątajowskiej reformie stopień rozwoju w wypracowanej przez polskie Ministerjum W. R. i O. P. „Ustawie o Szkołach Akademickich“ z dnia 13-go lipca 1920 roku.

Ale już w dniach, które przyniosły nauce polskiej ostoję w formie wspomnianej ustawy, dojrzewały jedne a kielkowały inne przyczyny ataku na wolność nauki i uniwersytetów.

Były to te same przyczyny, które w epoce Komisji Edukacyjnej spowodowały zamach na wolność i swobody Akademji Krakowskiej, upadek jej duchowy w walce z Jezuitami i upadek materialny: dewaluacja odwiecznych fundacyj.

Utrzymaliśmy w okresie niewoli dwa uniwersytety na takich wyżynach, że duchowym wartościom, z nich promieniującym, nie tylko w znacznej mierze zawdzięczaliśmy przetrwanie niewoli, ale nawet w sferach myśli światowej utrzymaliśmy nieprzerwanie trwałość polskiego imienia.

Z uzyskaniem tymczasem niepodległości poczęły wyrastać nowe uniwersytety. Oczywiście, w tym entuzjastycznym rozmachu, z jakim doszliśmy w ciągu dwu lat niepodległości do 5 uniwersytetów, 2 politechnik i 6 innych zakładów wyższych, stopnia akademickiego, nie licząc drugie tyle zakładów z analogicznymi tendencjami, tkwiła głęboka wiara w niespożyte siły odrodzonego narodu z jednej strony, a równie głębokie przekonanie z drugiej strony, że z owych nowych wyższych uczelni trysną ożywcze krynice wiedzy i nauk, źródła potęgi narodowej.

Niestety, za niespożyte uważane siły były ograniczone, ilość pochłoneła jakość, a ułomność tego stanu ujawniła się prędko.

Niestety, uświadomienie tego złego stanu rzeczy nie było dostateczne. Entuzjazm zrodzony w zdobytej wolności przysłaniał zdrowy na sprawę pogląd. Wizja własnego, niepod-

ległego państwa wprawiała nas w optymizm, w którym spodziewaliśmy się i oczekiwaliśmy od państwa wszystkiego.

Ustawa akademicka z r. 1920 miała przede wszystkim uregulować i ustalić ramy rozwojowe nowego, tak silnie się rozrastającego polskiego szkolnictwa wyższego i jako taka, i jako w znacznej mierze dzieło krakowskiego i lwowskiego uniwersytetu, owych piemontów niepodległości ducha polskiego i polskiej tradycji akademickiej, ogólnem cieszyła się uznaniem.

Zdawać się też mogło, że ustawa ta, mimo swych luk lub nieścisłości, nie stanie się przedmiotem dalszej dyskusji, że pozostanie ona tylko manifestacyjnym dokumentem, tkwiącym głęboko w swych zasadach w starej polskiej tradycji akademickiej, w niej też znajdzie najpewniejszą ostoję poprawnego i rzeczowego zastosowania.

I takby się było stało niewątpliwie, gdyby życie nie było poniosło wszystkiego na inne jeszcze drogi.

Nie napływ wzmożony, lecz nawałnica, która po wojnie runęła w bramy szkół akademickich z wołaniem o kwalifikacje, uprawniające do coraz to nowych, nie zawsze przemysłanych stanowisk w gwałtownie powstającym, a istotne potrzeby i siły przerastającym, ustroju budującego się państwa, wywołała zarówno w społeczeństwie, jak w rządzie, niepokojącą dezorientację.

Zrodzona wówczas myśl reorganizacji studjów uniwersyteckich została w tempie przyśpieszonym doprowadzona do skutku. Nie pora, ani miejsce zastanawiać się tu nad tem, czy reforma ta, dokonana na poprawnej drodze współdziałania ministerstwa z czynnikami wszystkich szkół akademickich, odpowiadała pod każdym względem potrzebom życia, a przede wszystkim, czy była dostosowana do sił i ustroju istniejących szkół wyższych. To pewne, że ta reforma studjów, obarczona zrozumiałą w młodem państwie, ale tem bardziej niebezpieczną chorobą pośpiechu, wprowadziła w następstwie do uniwersytetów szereg nowych jednostek ustrojowych, służących niemal wyłącznie praktyce życiowej. Wtedy to powstały instytuty: pedagogiczne, wychowania fizycznego, nowe studia farmaceutyczne i t. p., które przy odpowiedniej organizacji mogły się zmieścić pod wspólnym dachem starego ustroju akademickiego. Nie można tego zataić, że ta ogromna suma

zadań, przeważnie praktycznych, stwarzała nowe sposoby interesowania się i wglądania w sfery uniwersyteckie czynników zupełnie im obcych i mogących się wzajemnie nie porozumieć.

Zdaniem mojem, ciosem dla istoty akademickiego ustroju było wprowadzenie dla wszystkich studentów obowiązkowego stopnia akademickiego, magisterjum i połączonej z tem pewnej, ściśle określonej normy studjów uniwersyteckich. To godziło już w najistotniejszą cechę uniwersytetów, wolność nauki i nauczania, a powódz egzaminów zagrażała takim zaabsorbowaniem sił profesora i takim pogębieniem jego sił duchowych, że nad jego twórczością poważny musiał być postawiony pytnik.

Nowe obowiązki, narzucone dla dobra narodu uniwersytetom, które są jego najwyższem duchowem dobrem, nie mogą być połączone z uniwersytetów szkodą i wymagają nietylko więcej, ale przede wszystkim zupełnie nowych ludzi, czegoś w rodzaju asystentów profesorów, których zadaniem byłoby osłonięcie uniwersytetów od grożącej im zasadniczej deformacji.

Jeśli olbrzymia większość profesorów uniwersytetu wszystkie ciężary reorganizacji studjum, bez reorganizacji, a przede wszystkim bez ilościowego i jakościowego rozszerzenia akademickiego ciała nauczycielskiego, wzięła na swe barki, to jest tylko dowodem patriotyzmu i poświęcenia tych, których naród i państwo od wszelkiego poświęcenia chronić, ich poświęcenia wystrzegać się winny... Wszak poświęcenie to musiało się dokonywać kosztem ich twórczej pracy!

Nie dość tego złego. Jeśli uniwersytety, przejmując szereg nowych zadań wychowania fizycznego, pedagogicznego i t. p., zwróciły na siebie oczy rozmaitych sfer administracyjnych, przejęcie ogromnej pracy egzaminacyjnej spotęgowało tylko i rozpowszechniało to niepowołane zainteresowanie się uniwersytetami.

Wysunęło się na front zapytanie, czy profesor uniwersytetu jest dobrym wychowawcą, usuwając niejako na bok, albo je co najmniej zrównując z pytaniem, czy jest twórcą, czy jest mężem nauki?

Projekt ustawy nie będę dyskutował. Olbrzymia większość członków ciał nauczycielskich wszystkich szkół wyższych już się oświadczyła, a w szeregu licznych artykułów dyskusyjnych wykazała, że projekt ten jest w całości swej błędny, zły i szkodliwy, a w szczegółach niewykonalny i z gruntu chybiony.

Dzisiejszy stan polskiego szkolnictwa wyższego nie może być, pod żadnym względem, porównywany ze stanem upadku Krakowskiej Akademii w XVIII stuleciu. A jednak t. zw. „reforma“ Komisji Edukacyjnej, realizowana przez tak światłego męża, jakim był Kołłątaj, wniosła również i wiele złego; zło na szczęście nie okazało się żywotnem. Nie naśladujmy zła, lecz tylko dobro Kołłątajowskie. Niechaj strzeże się Rząd naszej Rzeczypospolitej, ażeby przyszłość nie wydała o Nim wyroku, ujętego w słowa Francis Bacon: „okazywał dużo „troski o kodyfikację, mało o edukację“.

IGNACY CHRZANOWSKI,

em. profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego,
członek czynny Polskiej Akademji Umiejętności.

DZISIAJ A PRZED STU PIĘCDZIESIĘCIU LATY.

„Podwójnie ten żyje, kto żyje razem przeszłością“, powiedział Brodziński. Tak jest istotnie.

Kto, nie poprzestając na teraźniejszości, nie żyjąc z dnia na dzień, wspomina i rozpamiętuje przeszłość — czy to swoją własną, czy całego narodu — ten żyje podwójnie. Albowiem te wspomnienia i rozpamiętywania dostarczają mu obfitego pokarmu dla umysłu, zarówno jak dla serca: dla umysłu, bo wtedy dopiero człowiek uświadamia sobie wartości dnia dzisiejszego i główne ich źródło, którem jest właśnie dalsza i bliższa przeszłość, a dla serca, bo pamięć przeszłości budzi w niem różne uczucia, bądź radosne, bądź smutne. To wie chyba każdy z własnego doświadczenia.

Wspominać miło,
Co przedtem trapiło,

mówi sobie nieraz człowiek, kiedy doznane nieszczęście zapadło się w daleką przeszłość. Ale nieraz, kiedy się w przeszłość zapadło doznane szczęście, a w oczy zajrzało nieszczęście, mówi sobie człowiek:

Gorzkie wspomnienia, gdy szczęście przeminie!
Czemuż i pamięć o nich nie zaginie?

* * *

Historykowi oświaty w Polsce nasuwają się takie gorzkie wspomnienia, kiedy porówna projekt reformy Szkół Akademickich, rozesłany im niedawno przez Ministra W. R. i Ośw. Publ., z ogłoszonymi blisko przed laty stu pięćdziesięciu (1783) „Ustawami Komisji Edukacji Narodowej“, mianowicie z rozdziałem

drugim, poświęconym „Szkołom Głównym“, to jest dwóm Uniwersytetom (Jagiellońskiemu i Wileńskiemu).

Co za wielka, co za przepastna różnica! Serce się ściska na myśl, że dzisiaj, w wieku XX, i to po odzyskaniu niepodległości, w niwecz obracają się wspaniałe wysiłki polskiej myśli pedagogicznej drugiej połowy XVIII wieku, że się w proch rozsypuje błogosławiona praca Komisji Edukacyjnej, tej instytucji, która — nietylko za swego życia, ale i po śmierci, zamordowana przez Targowicę — była tak potężną dźwignią naszego odrodzenia duchowego.

Oto kilka w oczy bijących szczegółów tej różnicy.

* * *

W „Ustawach“ czytamy: „Komisja Edukacji Szkoły „Główne w trojakim sposobie chce mieć użytecznemi: w pierwszym, uważając je jako Towarzystwo ludzi, różnemi naukami „zaleconych, a czyniących jedno zgromadzenie; w których „każdy, oprócz obowiązków, do katedry swojej przywiązanych „względem dawania lekcyj publicznych, znajdzie w szlachetności swego serca i gorliwości dla kraju silną pobudkę do rozszerzania w nim światła i potrzebnych wiadomości, jużto przez „wydawanie pism w różnych materjach, ... już to przez odkrywanie prawd użytecznych... Te i tym podobne prace nie „mają żadnych dla siebie przepisanych ustaw: Komisja Edukacji zostawuje je gorliwości osobistej każdego.“

A więc za pierwszy obowiązek profesora Uniwersytetu chce mieć Komisja Edukacyjna pracę naukową. Za drugi poczytuje „dawanie ... wyższych nauk i umiejętności“, to jest wykłady, dodając, że „osobny poda układ nauk“. Lecz w nowym wydaniu „Ustaw“ (z roku 1790) niema już mowy o tym układzie: pozostawia go Komisja uznaniu profesorów. Słowem — hasło wolności nauczania!

Tak było w XVIII wieku. Jak ma być w wieku XX?

Zdawałoby się, że i dzisiejszy projekt ministerjalny (który obowiązek „prowadzenia twórczej i badawczej pracy naukowej“ profesorów wymienia także na pierwszym miejscu) głosi zupełnie to samo hasło. Bo przecie na samym początku pierwszego artykułu projektu czytamy, że „Szkoły Akademickie zorganizowane są na zasadzie wolności nauki i nauczania“; arty-

kuł zaś dwudziesty siódmy opiewa, że „każdy profesor i docent „ma prawo podawania i oświetlania z katedry sposobem naukowym, według swego naukowego przekonania, zagadnień „wchodzących w zakres tej gałęzi wiedzy, której jest przedstawicielem; posiada on też swobodę wyboru metod wykładów „i ćwiczeń“.

Jakże pięknie brzmią te słowa! Szkoda tylko, że w świetle innych artykułów to hasło wolności nauczania wydaje się poprostu pustym frazesem! Dosyć powiedzieć, że Minister zastrzega sobie prawo odrzucania kandydata, przedstawionego na katedrę przez Radę Wydziałową, i że Rada Wydziałowa nie ma prawa ponownego przedstawienia tegoż kandydata. Nie dosyć na tem. Rada Wydziałowa wyłania spośród siebie komisję, która zastanawia się nad wyborem kandydata: ale, jak opiewa artykuł trzydziesty drugi, „sposób ustalenia składu tej specjalnej komisji, oraz“ (trudno własnym oczom wierzyć) „sposób „jej postępowania, jako też tryb przedkładania wniosków o mianowanie ustala Minister W. R. i O. P.“

Jak wobec tych i wielu jeszcze innych restrykcji wygląda hasło wolności nauczania?

* * *

Według „Ustaw“ Komisji Edukacyjnej „zgromadzenie całe „Szkoły Głównej składać się będzie: naprzód z osób jej urzędowych, jakie są: Rektor, dwaj Prezesowie Collegiorum“ (po naszymu: dziekani) „i Sekretarz; powtórę z profesorów zasłużonych“ (tj. emerytowanych), „potrzebie z profesorów aktualnie uczących“ i t. d. Na posiedzeniach „Rektor Szkoły Głównej, a w nieprzytomności jego Prezes któregośkolwiek Collegium, podług starszeństwa w uczeniu, prezydować ma. Sekretarz naprzeciwko prezydującego ma miejsce na wszystkich „sesjach, oprócz ekonomicznych... Profesorowie zasłużeni „pierwsi po prezesach zasiadać będą, po nich profesorowie aktualni, nie przywiązując się do wyższości miejsc, jako w stopniach sobie równi“.

Tak było w XVIII wieku. Jak ma być w wieku XX?

Profesorowie „zasłużeni“ (tj. emerytowani) nie tylko nie mają prawa brać udziału w posiedzeniach, ale nawet... wyklądać. Dosłownie: „Profesorowie, ustępujący z katedry z po-

„wodu przekroczenia granicy wieku, którym nie został nadany „tytuł profesora honorowego, tracą prawo wykładowania.“ Profesorowie zaś honorowi (który to tytuł nadaje Prezydent Rzeczypospolitej na wniosek Ministra W. R. i O. P.) „mają prawo wykładowania“. Może przysługuje im także prawo brania udziału w posiedzeniach Rady Wydziałowej oraz czynne i bierne prawo wyborcze? Niech Bóg broni! Pozwala się im zato na „uczestniczenie w uroczystościach akademickich“. Ta łaska nie wymaga komentarza.

* *

Rektora — głoszą „Ustawy“ Komisji Edukacyjnej — obierają Szkoły Główne przez elektorów, większością głosów, „z liczby profesorów uczących lub zasłużonych i w stopniu profesorskim będących.“ Wybór podlega zatwierdzeniu Komisji; „jeżeli by zaś wybrany Rektor nie mógł być od Komisji potwierdzonym dla przyczyn, które Komisja za sprawiedliwe uzna, „powtórna elekcja z jej nakazu nastąpić powinna, a Rektor „dawny tymczasem rząd utrzymywać będzie“. Tuż potem czytamy: „Jednakże Komisja w takim przypadku raz tylko zostawuje sobie wolność nieprzyjęcia wybranego“, — to znaczy, że Uniwersytetom wolno ponownie wybrać tego samego rektora. A to jeszcze nie wszystko. Już po siedmiu latach (1790) Komisja zrzekła się prawa zatwierdzania rektora: przewodniczący elekcji, „nie schodząc z sesji, cały akt elekcji sekretarzowi „Szkoły Głównej w akta wpisać zaleci i, tę ręką swoją podpisawszy, ekstrakt pod pieczęcią jeden do Komisji przesłże, „drugi Rektorowi obranemu odda, któremu Komisja na urząd „rektorski patent swój przesłże“.

Tak było w XVIII wieku. Jak ma być w wieku XX?

„Rektora — opiewa projekt Ministra — wybiera spośród „profesorów zwyczajnych... zebranie delegatów Wydziałów... „Sposób wyznaczania delegatów ... ustala Minister W. R. „i O. P. ... Wybór rektora podlega zatwierdzeniu przez Prezydenta Rzeczypospolitej na wniosek Ministra W. R. i O. P.... „W razie odmowy przedstawienia przez Ministra W. R. i O. P. „wybranego kandydata Prezydentowi Rzeczypospolitej do zatwierdzenia, zebranie delegatów dokonywa ... nowego wyboru, przyczem bezwzględna większość nie jest wymagana...

„Minister W. R. i O. P. przedstawia Prezydentowi Rzeczypospolitej do zatwierdzenia jednego z dwóch kandydatów, którzy „przy nowym wyborze otrzymali największą ilość głosów... „Kandydat na rektora, który nie uzyskał zatwierdzenia lub którego zatwierdzenie zostało odwołane, nie może być ponownie „wybrany na najbliższą kadencję.“

* * *

Do tych szczegółów dodajmy jeszcze, że „Ustawy“ Komisji Edukacyjnej ożywia, od początku do końca, troska o dobro duchowe Ojczyzny, zarówno moralne, jak umysłowe; z dzisiejszego projektu ministerjalnego wieje martwota biurokratyczna i iście biurokratyczna troska o władzę, a raczej o wszechwładzę Ministra nad Szkołami Akademickimi.

I oto niejednemu, kiedy porówna nowy projekt ustroju Uniwersytetów ze starymi ustawami Komisji Edukacyjnej o Szkołach Głównych, mimowoli przypomina się zakończenie „Starego Sługi“ Sienkiewicza: „Hej! łzy się kręą!“

WACŁAW TOKARZ,

profesor Uniwersytetu Warszawskiego,
członek czynny Polskiej Akademii Umiejętności.

W SPRAWIE PROJEKTU NOWEJ USTAWY UNIWERSYTECKIEJ.

Mamy dziś niewątpliwie, w szeregu krajów, do czynienia z pewną niechęcią do nauki niezależnej oraz do jej przedstawicieli, tj. profesorów i uniwersytetów. Wyrazem tej niechęci jest n. p. polityka oświatowa Sowietów, faszyzm, a wreszcie i ruch Hittlerowski w Niemczech. Źródła tej niechęci są proste. Chodzi w pierwszym rzędzie o to, że nowe prądy, zmierzające do całkowitej przebudowy państwa i społeczeństwa w imię założeń apriorystycznych, wyczuwają odruchowo, że nauka niezależna, oparta na uznaniu roli tradycji i ewolucjonizmie, musi im przeciwstawiać się. Chodzi następnie o to, że szkoła powszechna i średnia, które mają wychować w ich duchu nowe pokolenia młodzieży, mają z ich punktu widzenia bez porównania donioślejsze znaczenie niż uniwersytety, przygotowujące ograniczoną ilość nieodzownych fachowców. Chodzi wreszcie i o to, że uniwersytety zawsze i wszędzie związane były z obozem parlamentarnym, który należy zwalczać.

Nic nowego zresztą pod słońcem. Takie same zjawiska, w bezporównania ostrzejszej formie, widział już wiek XVIII-ty w okresie t. zw. państw policyjnych. I wtedy również pannaowała zasada, że państwo rozstrzyga o wszystkim, nie może znosić obok siebie nawet cienia samorządu, wychowuje w swoim duchu wszystkich bez wyjątku. Zasadę tę zastosowano w całej pełni i do uniwersytetów, wyzyskując okoliczność, że znajdowały się one naówczas w stanie upadku, że zdobycze nauki XVII i XVIII wieku dokonały się przeważnie poza ich obrębem. Wygnano z ich murów naukę, czyniąc je urzędami państwo-

wemi, które miały dostarczać urzędników, fizyków (lekarzy) i nauczycieli szkół średnich; profesorowie stali się urzędnikami, którzy odczytywali z katedr skrypta, zatwierdzone corocznie przez władze państwowe; młodzież przyczaiła się tak zupełnie, że jej istnienia poprostu dopatrzyć się dziś nie można. W sferach rządowych zapanowało przeświadczenie, któremu później w drastyczny sposób dał wyraz Fouquier-Tinville, odpowiadając na prośbę odroczenia egzekucji Lavoisiera, motywowaną koniecznością wykończenia ważnych doświadczeń, słowami: „rzeczpospolita nie potrzebuje uczonych“. Wyniki tych reform były znamienne: nauka uciekła jeszcze radykalniej, niż dawniej, poza mury uniwersytetów; profesorowie państwowcy traktowali swój zawód jako zło konieczne, chroniąc się przed jego jałowością nie do pracowni naukowych, ale do zyskowej praktyki lekarskiej i ciekawszej pracy w innych urzędach państwowych; młodzież myślała jedynie o karierze biurokratycznej.

A gdy nadszedł później, na polach Austerlitz, Jeny i Auerstädt, moment rozstrzygającej próby dla państw policyjnych, gdy walić się one poczęły jak domki z kart wśród przerażającej obojętności i nieczułości obywateli własnych, wtedy dopiero zrozumiano, że państwo nie ma prawa gasić ducha, niweczyć wszystkich ognisk życia samorządowego; stając się bowiem wszechwładnem, niwecząc wszystkie ośrodki życia, prócz urzędów własnych, staje się równocześnie bezsilnem na wypadek własnego niepowodzenia i nigdzie nie znajdzie pomocy. Ten fakt zrozumiały nasamprzód Prusy. Przekonały się, że nie wolno bezkarnie niweczyć ośrodków życia samorządowego, a między niemi i tych, w których w atmosferze wolności nauki wytwarza się najcenniejsze dobra narodu: gorejące serca młodzieży, zdolne do poświęceń w imię ideału, rozmach twórczy i związek duchowy starych i młodych, dla dobra i postępu nauki. Odpłaciły im to sownie uniwersytety w pamiętnym roku 1813.

Ale historia nie bywa nigdy mistrzynią życia. Ponowiły się później analogiczne usiłowania i walki we Francji drugiego cesarstwa, w Rosji za Aleksandra III i Mikołaja II i swemi wynikami nie zniechęciły nikogo.

Jednym z najbardziej pozytywnych walorów, które wnie-

śliśmy w życie niepodległej Polski, była tradycja i kultura wyższych szkół naszych w b. Galicji: kultura pracy naukowej i wychowawczej, kultura stosunku samorządowych władz akademickich do młodzieży, tradycja głębokiego oddania się sprawie narodowej. Nie będę o tem mówił obszerniej; odwołam się co do tego poprostu — do świadectwa ludzi z obecnych kół rządowych, którzy dziś wnoszą i popierają projekt reformy uniwersytetów, a z których tylu wyszło z ław szkolnych owych szkół małopolskich.

Na podstawie tej tradycji i tej kultury rozwinął się później ustrój naszych obecnych Szkół Wyższych w Polsce. Z dużemi zmianami jednak. Stwierdzić tu muszę na wstępie, że nigdy austriacki Minister Oświaty nie posiadał tak rozstrzygającego wpływu na życie wewnętrzne wszechnic polskich w b. Galicji, jaki posiada już obecnie nasz polski Minister Wyznań i Oświecenia. Cała gospodarka finansowa uniwersytetów znajduje się dziś pod ścisłą, drobiazgową kontrolą rządu; minister posiada już rozstrzygający głos w sprawie habilitacji, nominacji i awansowania profesorów; postawa rządu wpływa nawet w bardzo silny sposób na wybory wewnętrzne w uniwersytetach. Nie chodzi zatem obecnie o wzmocnienie wpływu Rządu na życie wewnętrzne uniwersytetów, ale o przekazanie mu decyzji we wszystkich sprawach ich życia.

Czy uniwersytety nasze zasłużyły sobie na tak zupełny brak zaufania, na tak dosadne pozbawianie ich, z miejsca, wszystkich niemal uprawnień dotychczasowych?

Ich stosunek do państwa był zawsze lojalny. Żaden z uniwersytetów naszych nie potrzebuje się wstydzić postawy swych profesorów i uczniów w pamiętnym roku 1920. Żadne wezwanie o współpracę nie minęło nigdy bez echa. Nie może zatem być mowy o nieufności w tej dziedzinie.

Odzywały się czasami głosy, że skład personalny Szkół Wyższych wymaga rewizji. Czy rzecznicy tego poglądu mogą jednak z ręką na sercu stwierdzić, że dziś w Polsce mamy tak pokaźny zapas uczonych, iż można będzie z całą łatwością zastąpić doraźnie obecnych nowymi i to z korzyścią dla nauki?

Czy nasz świat profesorski spełnia należycie swe zadania wobec nauki? Nie znam stanu wszystkich dziedzin nauki

u nas; z tych jednak, które znam, wnoszę, że — mimo przeciążenia obowiązkami uniwersyteckimi — świat profesorski bardzo uczciwie, sumiennie i usilnie pracuje nad posuwaniem nauki naszej naprzód.

Obawiam się mocno, że nowy projekt reformy, nieuzasadniony literalnie niczem, wniesie do świata uniwersyteckiego zamęt i, co za tem idzie, wyjałowi w nim zdolność do pracy naukowej. Tak było zawsze po takich reformach i tak z pewnością będzie i u nas. A przecież nam, w naszym młodem państwie, nie wolno czynić rzadkich doświadczeń na tem polu. Wojna światowa okazała dowodnie, że państwo w chwili niebezpieczeństwa nie może obyć się bez najściślej współpracy ze światem naukowym. Naszemu młodemu państwu nie wolno następnie z lekkim sercem narażać tej pomocy, którą w ugruntowaniu jego położenia w świecie okazuje mu rola nauki polskiej w świecie naukowym. Jakże dobrze zdają sobie z tego sprawę np. Czesi.

I jeszcze jedno. Nowy projekt zmienia radykalnie przepisy o karności młodzieży uniwersyteckiej. Nasuwa się tutaj gorzka uwaga, że ludzie, którzy wyrosli na ruchu niepodległościowym młodzieży wszechnic polskich w b. Galicji, po dojściu do władzy pragną stosować do młodzieży uniwersyteckiej metody, których nigdy do nich samych nie zastosowały senaty Uniwersytetu Jagiellońskiego i Lwowskiego, Politechniki Lwowskiej i Szkoły rolniczej w Dublanach. A przecież ruch wojskowy w dawnej Galicji był prawdziwym buntem młodych, nad którym wielu starych kręciło poważnie głowami. Nie przetrwały widać długo wspomnienia mogił tej pełnej zapału, ale i ducha opozycyjnego, młodzieży uniwersyteckiej Krakowa i Lwowa, która ginęła w szeregach I-ej Brygady.

Młodzież jest młodzieżą, a prądy, panujące wśród niej w roku obecnym, zmienić się mogą już w przyszłym. Czyż nie lepiej stosować do niej tę patryjarchalną, czyniącą może, na krótką metę, wrażenie słabości, ale tak skuteczną na dłuższą, taktykę „wyszumienia“, stosowaną ongi przez senaty wszechnic polskich w dawnej Galicji. Wszak jest to młodzież w gruncie rzeczy mniej burzliwa od dawnej legionowej, a wcale nie mniej gorąco polska i chętna do pracy.

STANISŁAW KOT,

profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego,
członek czynny Polskiej Akademii Umiejętności.

PODSTAWY HISTORYCZNE WSPÓŁCZESNEJ ORGANIZACJI SZKÓŁ AKADEMICKICH.

Znoszenie katedr, przenoszenie i usuwanie profesorów pod pretekstem zmian organizacyjnych; zniesienie władzy kierowniczej senatów na rzecz rektora-przełożonego, uzależnienie profesorów i toku spraw od rektora, który z kolei uzależniony zostaje od ministra, wykluczanie od katedr kandydatów pożądanых przez fakultety a mianowanie profesorów wbrew życzeniu i ocenie fakultetów, zaostrzenie przepisów dyscyplinarnych wobec profesorów i młodzieży, zniesienie swobody stowarzyszeń studenckich, oddanie gmachów i sal szkół akademickich do rozporządzenia policji — wszystkie te środki, wprowadzone w projekcie nowej ustawy o szkołach akademickich w Polsce, zmierzają do zupełnego przekształcenia ustroju, jakim dotąd cieszyły się szkoły akademickie w Polsce. Aby ocenić celowość i doniosłość tych zarządzeń, trzeba sięgnąć do perspektywy historycznej. Instytucje bowiem samorządu szkół akademickich to zjawiska nie nowe, ale posiadają obfitą historję swoich rozkwitów, klęsk a nawet martyrologji.

Słyszysz się niekiedy z kół, nieświadomych życia i organizacji uniwersyteckiej, że szkoły akademickie stanowią „państwo w państwie“, że korzystają z średniowiecznych przywilejów korporacyjnych, że ich autonomia stoi w sprzeczności z pojęciem i wymaganiami suwerenności współczesnego państwa. Trzeba zacząć od sprostowania tego błędu.

Wyjawszy uniwersytety angielskie, na których wzorowały się pewne uniwersytety amerykańskie, żaden uniwersytet w Europie nie zachował charakteru średniowiecznej korpo-

racji i żaden z nich nie posiada dawnej autonomji. Została ona im albo odebrana przez rządy w ciągu XVIII w., albo też pod naciskiem konieczności gospodarczych i politycznych same z niej zrezygnowały, poddając się ogólnemu ustawodawstwu i woli rządów. W dobie państw militarnych i policyjnych monarchowie absolutni przekształcali organizację uniwersytecką, narzucając jej swoje rozkazy i zakazy, kierownictwo i nadzór, rektorów, względnie kuratorów i profesorów, przepisy, podręczniki, metody, szczegółowy rozkład lekcyj, wykładów i ćwiczeń na każdą godzinę w roku. Doprowadziło to do stanu absurdalnego. Powoli zrozumiały rządy, że jest on szkodliwy zarówno dla nauki jak i dla państw samych, i poczęły zabiegać około odrodzenia uniwersytetów przez przyznanie im koniecznych dla rozwoju wewnętrznego swobód. Tak w wieku XIX otrzymały uniwersytety powszechnie pewną sumę uprawnień, przypominających w niejednym tylko formalnie dawną organizację, a składających się na samorząd uniwersytecki. Uniwersytety stały się wszędzie na kontynencie zakładami państwowymi, utrzymywanymi z funduszków państwowych i przyjęły do wykonania pewne zadania, wskazane im przez państwo, profesorowie uznani zostali za funkcjonariuszy państwowych a praca ich, tak pedagogiczna, jak twórczość naukowa, uznana została za potrzebną dla państwa. Ponieważ rządy doszły do przekonania, że państwo nie posiada organów biurokratycznych, zdolnych do regulowania pracy naukowej, i że jakakolwiek reglamentacja w tej dziedzinie wydaje niepożądane skutki, przeto uznały niezależność naukową uniwersytetów; w związku z tem obdarzyły zaufaniem ciała profesorskie, zezwalając im na szeroką samodzielność organizacji uniwersyteckiej, a więc na uzupełnianie samorządne grona nauczającego i naukowego, załatwianie spraw wewnętrznej administracji, wybór swoich władz, kierownictwo młodzieżą itp. Warunki historyczne i lokalne w różnych krajach oddziaływały na szersze lub ciaśniejsze określenie tego samorządu.

Polska, odradzająca się moralnie i umysłowo za Stanisława Augusta, wyprzedziła nawet inne państwa w obdarzeniu swych uniwersytetów takim zaufaniem i samorządem. Stary uniwersytet krakowski pod naciskiem Kołłątaja zrezygnował

ze swych odwiecznych przywilejów i autonomji, oddając się pod rozporządzenie Komisji Edukacji Narodowej jako organu państwowego, a ta nadała mu nowy ustrój, jako instytucji państwowej, z zastrzeżeniem sobie wielu decyzji i kontroli. W ciągu kilku lat rządów rektora mianowanego przez Komisję, przychodziło jednak do zaburzeń w funkcjonowaniu szkoły, aż wreszcie podczas Sejmu Czteroletniego, dzięki zabiegom Jana Śniadeckiego, życzliwości króla, oraz rozumowi mężów stanu, jak Ignacy Potocki, przyszło do ustalenia granic nowoczesnego samorządu dla obydwóch Szkół Głównych, krakowskiej i wileńskiej. Rozbiory zachwiały tym samorządem, ale wkrótce przez Wilno i Adama Czartoryskiego odzyskał on swój blask w zmienionych warunkach i posłużył za podstawę statutu uniwersytetów rosyjskich 1804 r.; dzięki wzorowi polskiemu cieszyły się one samorządem, aż do reakcji w dobie Świętego Przymierza.

Inną drogą poszła Francja. Tam Rewolucja zburzyła uniwersytety jako przeżytki dawnego ustroju stanowego, ale nie zdążyła stworzyć nowych, przystosowanych do zmienionych potrzeb. Napoleon, jako pierwszy konsul, zastał puste pole. Ogarnięty ideą ugruntowania swej władzy dyktatorskiej, wciągany z jednej wojny w drugą, zdecydował się po wielu zmianach i projektach na stworzenie sieci szkolnictwa wyższego, pojętej jako instrument swej polityki osobistej. Ostatecznie w r. 1808 zarządził twór sztuczny, organizację t. zw. *Université Impériale*. Polegała ona na tem, że podzielił swe państwo na 27 okręgów szkolnych według organizacji sądowej i w siedzibach sądu apelacyjnego założył liceum (nasze gimnazjum) oraz fakultet, bądź prawa, bądź medycyny, bądź *lettres* lub *sciences*. Napoleon nie posiadał głębszego poglądu na naukę i studia wyższe. Był wrogiem wielkich ciał nauczających, które pragną niezależności filozoficznej i politycznej. Liceom postawił za główne zadanie wychowanie żołnierzy i oficerów, to też wachmistrze pełnili w nich funkcje pedagogiczne. Szkoły wyższe dopuszczał jedynie jako izolowane fakultety, z przeznaczeniem kształcenia zawodowego i przez to skrupowane, uzależnione, ograniczone do ścisłej potrzeby specjalnej. Nawet tam, gdzie było więcej fakultetów, jak np. w Paryżu, nie pozwalał na związanie się ich w jedno ciało. Na czele każdego

okręgu postawił swego urzędnika, któremu podlegały i fakultety i szkoły średnie i niższe; takim jest odtąd rektor francuski. Głową całej sieci został *Grand Maître de l'Université* w Paryżu. Ciało nauczycielskie, poddane swoim przełożonym, miało ściśle według ich rozkazów sprawować swe funkcje jako rodzaj milicji szkolnej; względy naukowe zupełnie w grę nie wchodziły. Biurokratyczna organizacja miała za zadanie tępić niechętną Napoleonowi opinię społeczeństwa, istnienie jej samej i funkcjonowanie było wyrazem niepokoju i nieufności do społeczeństwa. Były to „dni milczenia i niewoli“, jak nazywają historycy francuscy ten okres w dziejach uniwersytetów.

Mimo silnej ręki i bezwzględności cesarza, mimo wyrafinowanego nadzoru policyjnego, organizacja typu Napoleońskiego nie dała przewidywanych przezeń rezultatów, sam upatrzony przezeń *Grand Maître* Fontanes pierwszy zdradził go, kiedy szczęście wojenne zawiodło. Restauracja Burbonów zatrzymała — z pewnemi zmianami — organizację uniwersytetu Napoleońską, aby ją wyzyskiwać jako narzędzie polityczne. Profesorów, dawną milicję dynastyczno-wojskową Bonapartego, przerabiano teraz na milicję pobożną, oddaną dla tronu i ołtarza. Każdego śmielszego profesora usuwano. Pół wieku istnienia takich fakultetów, zresztą wcale licznych, nie tylko że nie stworzyło żadnej atmosfery naukowej, ale nawet, poza Paryżem, nie wydało ani jednego nazwiska znanego w nauce. Ze wstydem i z westchnieniem kierowali swój wzrok wybitni Francuzi, jak Guizot lub V. Cousin, poza Ren, ku uniwersytetom niemieckim.

Tam dzieje uniwersytetów potoczyły się zupełnie odmiennym torem. Zabójcze skutki kierowania uniwersytetami w okresie absolutyzmu przez ministrów i policję były dość widoczne z jednej strony, z drugiej rozmach tych uniwersytetów, w których rządy — przy niemieckim partykularyzmie — dopuszczały swobodę nauki i organizacji, rozbudziły potężnie życie naukowe i twórczość wszechstronną. Wielcy myśliciele, jak np. Schleiermacher, wynieśli z tego kontrastu przekonanie, że, im mniej państwo ciąży swą reglamentacją nad uniwersytetami, tem większa stąd korzyść dla narodu i nauki. Na ten okres przypada rozgromienie Prus przez Napoleona i utrata większości uniwersytetów w związku z okrojeniem terytorjalnem

państwa. Wobec delegacji pożegnalnej uniwersytetu w Halle postawił król pruski nowy program: „teraz trzeba będzie przywrócić państwu pod względem siły duchowej to, co straciło na fizycznej“, a więc odradzać potęgę państwową przez wysiłki w dziedzinie ducha i nauki. Z tej idei zrodził się uniwersytet w Berlinie. Na czele szkolnictwa postawiony został mąż wielkiej kultury i szerokich horyzontów, Wilhelm Humboldt i on w r. 1810 kładzie podstawy nowej organizacji uniwersyteckiej, która z wolna stanie się wzorem dla całych Niemiec a potem i Europy. Według jego koncepcji siła państwa zyskuje tylko na tem, gdy się może sycić z siły obywateli. „Pośród wolnych ludzi wszelki przemysł zdobywa warunki rozwoju, wszystkie sztuki pięknie zakwitają, wszystkie nauki się rozszerzają.“ Naród ma być strażnikiem duchowych skarbów, państwo winno samo dostarczyć tylko środków i opieki, pamiętać, że rzeczy najlepiej rozwijałyby się bez niego, i uważać, aby wciąż naprawiać to, w czym mimowoli stawia przeszkody. W świadomym przeciwieństwie do Napoleona, ten pruski mąż stanu buduje na zaufaniu do społeczeństwa, nauki i uczonych. Obdarza uniwersytety tym samorządem, którego istotę nierozzerwalnie stanowi wolność nauki i nauczania wraz z samorządem osobowym i organizacyjnym. Nie oddzielne fakultety otrzymują ów samorząd, ale związane w jedno wspólne, wielkie ciało, którego przedstawicielstwem i władzą staje się wspólna rada czyli senat; rektor obieralny nie jest wobec uniwersytetu urzędnikiem rządu ani przełożonym profesorów, ale przewodniczącym i wykonawcą senatu; profesorów w praktyce powołują uniwersytety; jeśli miejscami zatrzymano instytucję kuratorów, to zadaniem ich jest dopomagać uniwersytetowi w zakresie materialnym, opiekować się nim i dbać o jego rozwój. Na tej podstawie nastąpił wspólny rozkwit uniwersytetów niemieckich. Skupiły się w nich wielkie indywidualności twórcze, rozkwitły nauki, wypełniła je tłumnie młodzież, wynosząc z nich zapal do studjów.

Czasy reakcji w dobie Świętego Przymierza odbiły się ciężko na swobodzie naukowej i organizacyjnej uniwersytetów. Na znak dany w r. 1818 z Rosji (memoriał Sturdzy o zgubności swobód uniwersyteckich), która pierwsza pośpieszyła do niszczenia ich samorządu, poczęły się represje w różnych pań-

stewkach niemieckich, prześladowania studentów, szykany profesorów, nadzory policyjne.

Wówczas społeczeństwo niemieckie odczuło, jaki skarb posiada w niezależności uniwersytetów, nauczyło się go cenić i bronić. Profesorowie, częstokroć sami przedtem niedoceniający znaczenia moralnego swej niezależności, w ciężkiej próbie dziejowej, pod rządami absolutyzmu i teroru, poczęli z narażeniem osobistym dorastać do wysokości roli, jaką im bieg wypadków wyznaczył. Tem najgłośniejszym wydarzeniem, które zadecydowało o przyszłości uniwersytetów niemieckich w życiu narodu, stała się sprawa siedmiu profesorów w Getyndze.

W r. 1837 objął tron Hannoweru król Ernest August, despota cyniczny i brutalny. Zaczął on rządy od zniesienia konstytucji, z trudem wywalczonej przez poddanych, i od zwolnienia urzędników od przysięgi, którą przed czterema laty złożyli na konstytucję. Przygnębienie i osłupienie zapanowało nie tylko w Hanowerze, ale i w innych państewkach niemieckich, które również drżały o losy swoich konstytucyj. Komisja, z wybitnych dygnitarzy państwowych złożona, wynalazła służalczą interpretację patentu królewskiego, według którego krok despoty nie pogwałcił prawa obowiązującego. Wówczas siedmiu profesorów w Getyndze wniosło do rządu oświadczenie, że nadal czują się związani przysięgą konstytucyjną. Protest ten podpisali pierwszorzędni uczeni: historyk Dahlmann, sławni bracia Grimmowie, fizyk Weber, prawnik Albrecht, historyk literatury Gervinus, teolog Ewald. Profesorowie ci nie byli czynni politycznie, a protest ich był wyrazem głębokiego bólu moralnego. „Cała skuteczność naszej pracy — tłumaczyli się — polega nie tylko na naukowej wartości naszych usiłowań, ale niemniej na naszej osobistej nieskazitelności. Jeżeli w oczach młodzieży okażemy się ludźmi, którzy lekko-myślnie traktują przysięgę, przepadł wszelki owoc naszej pracy.“ Despota zapienił się z oburzenia i oświadczył, że profesorowie „są oczywiście opanowani dążnością rewolucyjną i dopuszczają się zdrady stanu, za co grozi im odpowiedzialność osobista przed sędzią karnym.“ Jego minister postanowił dać przykład odstrasżający, aby „żywiły złej woli nie skupiły się około tego ich protestu jak za pancerzem“. Reskryp-

tem usunięto natychmiast wszystkich siedmiu z katedr, a Dahlmanna, Jakóba Grimma i Gervinusa, którym zarzucono ujawnienie protestu w prasie, wydano z kraju; trzeciego dnia kirasjerzy odstawili ich za granicę. Teror padł na świat profesorski, rektor i dziekani pokwapili się ze służalczem potępieniem siedmiu; zaledwie 7 młodszych profesorów zdobyło się na odwagę ogłoszenia, że nie potępiają kroku usuniętych. Ponieważ wydaleniem wnieśli skargę do Rady Państwa z powodu bezprawnego usunięcia i odebrania im praw emerytalnych, król kazał przewlekać sprawę, aż po czterech latach powołał dogodniejszy *Staatsrat*, który skargę oddalił. Solidarność despotów nie dopuściła do powołania wydalonych na katedrę w żadnym innym uniwersytecie. Okazywane im objawy sympatii skarcił minister pruski Rochow osławionym zwrotem: „Poddanym nie przystoi oceniać kroków głowy państwa według miary ich ograniczonego rozumu i pozwalać sobie w obłędnym zuchwalstwie na publiczną krytykę ich prawowitości.” Kto dziś wie o królu Erneście Auguście, o jego ministrach, gdy nazwiska Dahlmanna, Grimma, Webera, Gervinusa żyją w historii cywilizacji? Pozostała chyba tylko pamięć ministerjalnego powiedzenia o *beschränkter Untertanenverstand* z zabójczym piętnem śmieszności.

Wydalonym profesorom nie pozwolono nigdzie w Niemczech wydrukować swej obrony, dopiero w Szwajcarii mogli podjąć pracę publicystyczną, ale ich pisma, mimo cenzur i zakazów, dotarły do Niemiec. Obudziła się opinia publiczna, rozwinęła się walka świata nauki przeciw despotyzmowi, który cynicznie objawiał lekceważenie nauki. Każdy uniwersytet starał się znaleźć sposób okazania swej solidarności z ofiarami represyj. Przy despotyzmie stanęli służalcy i tchórze. Głową ruchu niezależnego stali się *die Göttinger Sieben* dzięki temu, że opinia widziała w nich mężów dzielnych, nieskazitelných, niewinnie prześladowanych. Pisma ich i mowy przyczyniły się do politycznego wychowania narodu, a nie co innego, jak właśnie ich sprawa i ich ofiara, doprowadziło do ugruntowania w Niemczech na długie lata (do r. 1866) hegemonii uniwersytetów w życiu politycznym.

Ogromny rozkwit uniwersytetów stał się bez przeszkód możliwym w dalszym ciągu XIX wieku, gdy w państwach nie-

mieckich utrwalił się ustrój praworządny, konstytucyjny. Cały naród patrzył na szkoły akademickie, jako na swą największą chlubę i najwyższe dobro. Ugięły się wobec tego i rządy. Wprawdzie stare ustawodawstwo — wszystkie prawie statuty dzisiejszych uniwersytetów w Niemczech pochodzą z doby reakcji — dawało w niejednym państwie ministrom prawo wyrządzania uniwersytetom niejednej dokuczliwości, np. kar-nego przenoszenia profesorów według ogólnej pragmatyki urzędniczej, ale choć było wiele konfliktów z profesorami na tle politycznym, jednak nie zdarzył się w Prusiech żaden wypadek, aby który minister z tego prawa skorzystał. W wielu uniwersytetach przysługiwało ministrom prawo obsadzania katedr, nigdy jednak nie korzystali z niego wbrew opinii i życzeniom uniwersytetów. Kiedy za naszej pamięci, na życzenie cesarza Wilhelma II, minister utworzył nową katedrę ekonomii w uniwersytecie berlińskim, aby mianować znanego wroga polskości Bernharda, wywołało to opór fakultetu nawet w znanym z lojalności dynastycznej uniwersytecie stołecznym. Nikt nie zgorszył się tym oporem i nie próbował uciekać się do represji: rząd pruski pamiętał zdanie, że żadnej podpory moralnej nie można się spodziewać po czynniku, który w potrzebie nie byłby zdolny do stawienia oporu. Historyk uniwersytetów niemieckich Fryderyk Paulsen zauważył, że każdy rząd pewny swej siły szanuje niezależność uniwersytecką, że miarą poczucia pewności siebie danego rządu jest jego stosunek do uniwersytetów („*Die Freiheit der Universitäten ein Gradmesser des Selbstvertrauens der Regierung*“).

Powaga i rozrost szkół akademickich w Niemczech zapewniły nie tylko tryumf niemieckiej nauce w świecie w w. XIX, ale także zdobyły dla Niemiec sympatię w innych narodach, którą dopiero poderwały objawy nieokiełznanego nacjonalizmu, zarozumiałości i militarizmu; zdobycze wszechnie niemieckich wyrobiły dla Niemiec hegemonję intelektualną w narodach skandynawskich i wielki wpływ na odległych nawet kontynentach, w Ameryce lub Japonji. Oceniając w dłuższej analizie, co Niemcy swym szkołom akademickim zawdzięczają, wywody swoje tak zakończył Paulsen:

„Wymieńmy usługę ostatnią i najwyższą, jaką uniwersytety wyświadczyć mogą życiu publicznemu: w swej zbioro-

wości mogą one być niejako publicznem sumieniem narodu względem tego, co dobre i złe w polityce wewnętrznej i zewnętrznej. Politycy, zwrócenii tylko do najbliższego celu, tracą zbyt łatwo miarę tego, co etycznie możliwe i niemożliwe. Jeśli, według wyrażenia Goethego, działacz jest zawsze bez sumienia, stosuje się to podwójnie do działacza politycznego: wszakże nie działa on dla swej korzyści osobistej, ale dla dobra ogółu, a cóżby dla tego celu nie było dozwolone? Dlatego też konieczna jest instancja, która, nie powołana do działania, reprezentuje sąd etyczny i podkreśla jego doniosłość. Taką instytucją powinny być kościoły, ale zbyt one są dziś wciągnięte do biernej i czynnej polityki, aby tę rolę spełnić mogły. Uniwersytety zajęły to stanowisko. Ograniczając się do obserwacji, mniej są narażone na uwodzenie przez potęgę, na zamącenie przez namietność i nienawiść partyjną, i dlatego właśnie są powołane do mierzenia władzy miarą idei.“

Uczynienie natomiast ze szkół akademickich politycznego narzędzia rządu odebrało Francji pierwszeństwo kulturalne w świecie, jakim się od wieków cieszyła. Bolały nad tem od dawna wybitne umysły, żądając organizacji uniwersytetów na podstawie samorządnej. Za monarchji lipcowej Wiktor Cousin podnosił energiczny głos w tej sprawie; wykazując, że w systemie francuskim idea nauki traci znaczenie i skuteczność, żądał zwinięcia luźnych fakultetów, odebrania im cech szkół zawodowych, skupienia ich w wielkie ogniska samorządne wzorem całego świata. Ale napróżno. Zmieniające się kolejno rządy nie chciały wyrzec się raz wprowadzonej organizacji, która oddawała szkoły akademickie na pastwę samowoli ministrów i biurokracji. Z wstąpieniem na tron Napoleona III odebrano im nawet tę sumę swobód, jaka zdołała się do nich wślisnąć dzięki liberalniejszej atmosferze lat 1840-tych. W r. 1852 reakcyjny minister Fortoul opracował reorganizację szkół akademickich, której istotną cechą było powtarzające się: „Prezydent Republiki mianuje i odwołuje“ — „Minister oświecenia publicznego mianuje i odwołuje“. Przy nominacji profesorów niema wyboru, przy usuwaniu niema zabezpieczającej przed samowolą jurysdykcji, wszystko zdane dyskrejonalnej władzy ministra. Usunięto nawet z *Collège de France* Micheleta i Quineta z motywem, że ich wykłady mogłyby „zakłócić

spokój publiczny“, Mickiewicza, ponieważ „nie uzgodnił swego wykładu z tytułem katedry“. Profesorom nakazano złożyć przysięgę na ustrój dyktatorski, opornych usunięto, pozostałych zreglamentowano do tego stopnia, że jeden nakaz polecił im przy wyborach „głosować dobrze“, inny wnet potem obciąć wasy, aby uwydatnić powagę funkcjonariusza państwowego. Absolutna władza, skupiona w ręku dyktatora, nie mogła pogodzić się z niezależnością profesorów. W świecie nauki zapanował „stan obłączenia“, np. minister ustalił program wykładów *ne varietur* lub zniósł komisje dyscyplinarne pod pretekstem, że za powolna w nich procedura. Wzmocniono nadzór, rektorzy zeszli na urzędników policyjnych ministra ośw. publ., wkońcu wyznaczono nawet w każdej sali wykładowej osobne miejsce dla rektora lub jego delegata, któremu powierzono nadzór nad wykładami. Odrzucano zabiegi fakultetów o złączenie ich w ciała uniwersyteckie pod wspólnym senatem, nie dopuszczano żadnej koordynacji wysiłków, żadnych wspólnych interesów, żadnej współpracy.

Owoce tego systemu osądziły go i potępiły. Z runięciem dyktatora skonstatowano jednomyślnie ruinę życia naukowego we Francji i z boleścią trzeba było przyznać się do tego, że w tej dziedzinie należy uciec się po wzór i wskazówkę do zwycięzców z pod Sedanu. W r. 1873 Paul Bert, późniejszy minister ośw. publ., opracował projekt stworzenia wielkich, potężnych uniwersytetów, którym należy dać pełną wolność i, nie odrywając ich od państwa, zrobić z nich ciała działające swobodnie pod własną odpowiedzialnością. Tegoż roku podniósł się w parlamencie francuskim żądania, by uniwersytetom dać takie swobody, jakie mają w Niemczech, i nawet jeszcze większe. Ernest Renan, szukając przyczyn klęski 1871 r., wywodził: „siła narodu nie polega tylko na armii, ale także na szkołach wyższych, więc trzeba je podnieść ze stanu słabości, aby stały się czynnikiem odrodzenia narodowego tak samo jak przekształcenie naszych fortec i materiału wojennego“ (*Questions Contemporaines*, 1876). Tę budzącą się opinię ujęła komisja. do której należeli Berthelot, Monod, Gaston Paris, Renan i Taine, w żądanie, by znieść odrębność fakultetów a związać je w uniwersytety, wyposażone w osobowość prawną, rządzone przez własne senaty z obieralnym rektorem. Jednak niełatwo było

przekształcić system, który panował trzy ćwierci wieku, choć ze szkodą dla narodu. Największą trudność reorganizacji szkół akademickich stanowił niski stan nauki i profesorów i brak zupełny tradycji, któraby pozwoliła korzystać im z samorządu. Trzeba było nietylko należytej ewolucji w samych fakultetach, ale i pomocy z góry. Tę przyniósł właśnie rząd. Nieśli ją niektórzy z wielkich ministrów ośw. publ., jak np. Jules Ferry, który zaufanie do ciał naukowych objawił w ten sposób, że, reorganizując państwową Radę Oświecenia Publicznego, zapewnił w niej na 55 członków 26 miejsc dla obieralnych przedstawicieli nauki, uniwersytetów, politechnik i t. p. Najbardziej około uniezależnienia uniwersytetów zasłużyli się dwaj kolejni dyrektorowie szkolnictwa wyższego w ministerstwie Oświecenia Publicznego, którzy przez 23 lata sprawowali ten wysoki urząd: Albert Dumont, archeolog (1879—1884) i Ludwik Liard, filozof (1884—1902). Ten ostatni wykonał plan odrodzenia uniwersytetów etapami, doprowadzając w r. 1896 przy życzliwości ministra oświecenia R. Poincaré'go do wykończenia organizacji samorządu; wówczas otrzymały szkoły akademickie pełną jurysdykcję dyscyplinarną nad profesorami i uczniami, oraz przyznano im wszelkie opłaty z wpisów i taks, przedtem pobierane przez skarb, teraz wreszcie otrzymały senat pod nazwą *Conseil général de l'Université*, który położył kres istnieniu izolowanych fakultetów, nadał uniwersytetom jedność moralną, co odtąd stanowi o ich indywidualności.

Teraz wreszcie upodobniły się uniwersytety francuskie do typu ogólnoeuropejskiego, z jednym tylko wyjątkiem, który wynikał z historycznego rozwoju; pozostał im rektor nie obieralny, ale mianowany przez ministra, zresztą nie jako przełożony profesorów, ale jako wykonawca uchwał rady. Trudna jest jego sytuacja podwójna, jako organu i rządu i uniwersytetu — zapewniał w r. 1908 Liard, ale „liberalizm ministrów i powaga moralna rektorów nigdy jej nie narażają na niebezpieczeństwo“. Pozostawienie rektora mianowanego tłumaczy się tem, że jest on *recteur de l'Académie*, to jest zwierzchnikiem okręgu szkolnego (jakby nasz kurator), obejmującego kilka departamentów, do niego należy kierownictwo i administracja szkolnictwem średnim, liceami i kolegjami, seminarjami nauczycielskimi i znaczną częścią szkolnictwa elementarnego.

Rektor we Francji w tych warunkach jest funkcjonariuszem administracji państwowej; gdy się raz zostaje rektorem, zrywa się z pracą naukową i oddaje wyłącznie karierze urzędniczej; zaczyna się od rektoratu w małym okręgu akademickim, aby awansować do większego, tak np. obecny rektor w Strasburgu J. Dresch przedtem był rektorem w Tuluzie, rektor z Clermont Ferrand Lirondelle awansował na rektora do Lyonu, rektor z Dijon do Rennes, z Algeru do Montpellier, a obecny rektor paryski Charléty ma za sobą dwa długie rektoraty, w Lyonie i Strasburgu. Właściwie zarząd szkolnictwem okręgu tak pochłania rektora, że w życiu szkół akademickich nie odgrywa on większej roli, ograniczając się do przewodniczenia Radzie uniwersytetu i lojalnego wykonywania jej uchwał. Rzecz oczywista, że, kto się powołuje na przykład Francji, aby go stosować do organizacji uniwersyteckiej, oderwanej od szkolnictwa średniego i niższego, zapomina o tej istotnej różnicy.

Tak zatem, gdy w końcu XIX wieku idea samorządu szkół akademickich zdobyła najoporniejszą Francję, na kontynencie europejskim pozostały dwa wielkie państwa na przeciwnych krańcach, które odmawiały uniwersytetom swobody: Hiszpanja i Rosja. W Rosji nie dopuszczał jej carat, w Hiszpanji monarchja reakcyjna. Ile na tem ucierpiała Rosja, ile przeszła zaburzeń, ile zmarnowała bogactwa narodowego w dziedzinie intelektualnej i społecznej, i z jak okropnym skutkiem — wiemy to wszyscy najdokładniej. Ustawodawstwo liberalne z r. 1804, ukrócone i ścieśniane etapami, zastąpione zostało statutem z r. 1835, który znosił samorząd uniwersytecki a nadzór nad młodzieżą przekazywał t. zw. inspektorom, urzędnikom typu policyjnego, pod zwierzchnictwem kuratora. Wywołane przez to rozruchy studenckie spowodowały przywrócenie swobód uniwersyteckich w r. 1863, jednakowoż ponowne ich ograniczanie, ujęte w słynny statut z r. 1884, spowodowało chroniczne zaburzenia w życiu uniwersyteckim Rosji, któremu zaradzić nie zdołały ani chwilowe złagodzenia min. Saengera, ani spóźnione reformy hr. Tołstoja. Zatriumfowała w pełni reakcja za min. Schwarza a już do szczytu nienawiści ku swobodom uniwersyteckim doszła za min. Kasso. Kiedy w czasie wojny światowej rząd carski zrozumiał nareszcie szkodliwość swej trady-

cyjnej polityki wobec uniwersytetów i usiłował reorganizować ich samorząd, już było za późno.

W Hiszpanji ucisk uniwersytetów za ostatniej dyktatury, usuwanie rektorów i profesorów, oraz oddanie gmachów uniwersyteckich i młodzieży pod bezpośredni nadzór policji, stały się jedną z notorycznych przyczyn upadku monarchji. Wytworzyła się opinja, powszechna dziś w Europie, że, kto wojuje z uniwersytetami, ten na dłuższą metę nigdy nie wygra, gdyż taka wojna jest walką z najlepszymi, najszlachetniejszymi czynnikami, z jednym z największych bogactw narodu. Nie doceniając tej prawdy, można wiele szkód przynieść kulturze narodu, lecz pożytku żadnego.

Nawet drobne nadszarpywania samorządu uniwersyteckiego nie przynoszą rządowi chluby a obniżają ich powagę. Tak np. wyzyskiwanie formalnego prawa ministrów do mianowania profesorów. Powszechne zgorszenie budzi na Węgrzech tego rodzaju nominacja profesora chirurgji Adama, dokonana przez ministra oświaty Klebersberga. Profesor ów, zbojkotowany przez kolegów profesorów i przez młodzież, naraził się na publiczne zarzuty, iż pieniędzmi kupować musi garstkę słuchaczy, aby chodzili na jego wykłady, ratując go od śmieszności.

W dzisiejszej Europie — poza Rosją sowiecką — odebrały większość samorządu uniwersyteckiego Włochy faszystowskie. Ostrzegał przed tem nawet filozof faszystowski, b. minister oświecenia Gentile w wielkiej mowie w senacie w kwietniu 1930. Zalecając możliwie największe poszanowanie autonomji, wywodził: „Każda interwencja rządu, która narusza ustrój autonomiczny, znieprawia go i ciałom nauczającym odbiera poczucie największej odpowiedzialności, do którego powinny się wychowywać indywidualnie i zbiorowo. Tylko autonomia może wydać dobre owoce, jakich należy się od uniwersytetów spodziewać. Cierpi ona z powodu nadmiernego mieszania się przez rząd i partję do profesorów i studentów, co burzy podstawową i naturalną dyscyplinę uniwersytetów. Skutkiem tego powaga profesorów, dziekanów, nawet rektorów jest wstrząśnięta i podderwana przez wpływy, udzielone organizacji faszystowskiej studentów i profesorów; wpływy te zzewnątrz usiłują działać na właściwe i istotne życie uniwersyteckie, tj. na życie, w którym profesorowie nauczają a studenci uczą się“. Faszysci oczy-

wiecie nie ukrywają, że im nie chodzi wcale o przyszłość nauki ani o twórczość naukową, lecz o dopięcie celów polityki bieżącej. To zapewne osiągnęli, ale z jakim skutkiem moralnym? Narzucenie z wiosną 1932 profesorom przysięgi faszystowskiej spowodowało rezygnację z katedr co prawda 11 tylko profesorów (wśród nich słynnych uczonych jak De Sanctis, Volterra, Ruffini, Bonaiuti i t. d.), ale wiadomo, jak przymus tej przysięgi oddziałał przygnębiająco na atmosferę świata naukowego. Twórczość naukowa włoska, urzędowiona, podcięta została w swych korzeniach. Dyskusja wiosenna b. r. stwierdziła, że w uniwersytetach włoskich istnieje 280 nieobsadzonych katedr!

Warto jeszcze przypomnieć, jak przedstawiało się zagadnienie samorządu uniwersyteckiego w dziejach szkół akademickich w Polsce. Wyżej wspomniano o zarządzeniach Komisji Edukacji Narodowej. Po rozbiorach, wskutek poduszczeń targowiczian i gubernatora Repnina — jak to wiemy ze studjum prof. X. Br. Żongołłowicza — car Paweł zniósł niezależność uniwersytetu w Wilnie. Energiczna jej obrona przez rektora X. Stroynowskiego zakończyła się dwutygodniowym arestem rektora, o chlebie i wodzie. Niedługi jednak był tryumf grupki profesorów-służalców, którzy solidaryzowali się z carskimi represjami: uduszenie cara Pawła pociągnęło za sobą statut z r. 1803, obdarzający uniwersytet szerokim samorządem, który stał się wzorem dla organizacji uniwersytetów w Rosji. W dobie reakcji, od r. 1819, począł samorząd ulegać ograniczeniom; wprowadzono dyrektora dla działu administracyjnego, policyjnego i moralnego, usuwano profesorów, wreszcie wprowadzono rektora mianowanego z motywem, że „republikański ustrój uniwersytetów“ nie odpowiada zasadom jedności zarządu i bezpośredniej zależności od władzy zwierzchniczej; rektorem w nagrodę za donosicielstwo został Pelikan.

Uniwersytet warszawski, organizowany w niesprzyjającej atmosferze r. 1818, nie był jednak całkiem pozbawiony gwarancji samorządnych, np. profesorów chronił statut przed arbitralnym usuwaniem przez ministra („oddalanie ich wymaga poprzedniego wyroku, zatwierdzonego przez Najj. Pana“).

Uniwersytet krakowski, po trzecim rozbiorze zagarnięty przez Austrię, stracił oczywiście samorząd, który odzyskiwał

etapami; statut z r. 1818, nadany przez Rzplitą Krakowską, zatwierdzony przez komisarzy państw rozbiorowych, zapewniał mu np. swobodny wybór rektora („Rektora obierają wydziały, obierają, kogo im się podoba“), dobór profesorów (nie mógł zostać nikt profesorem bez inicjatywy fakultetu), oraz zakazywał policji wejścia do gmachu uniwersyteckiego. Po upadku Rzeczypospolitej Krakowskiej Austria reakcyjna od r. 1850 zaczęła ograniczać urządzenia tradycyjne. W r. 1851 usunięto kilku profesorów, Małeckiego za karę przerzucono do Innsbrucka, Zielonackiego do Innsbrucka a potem do Pragi, w r. 1855 Dunajewskiego do Preszburga. W r. 1852 usunięto rektora i senat i odtąd przez ośm lat rządził uniwersytetem kurator, którym mianowany został prezydent sądu Piotr Bartynowski. A jednak wszystkie te represje zawiodły, obrót wypadków historycznych przywrócił uniwersytetowi jego swobody. W erze konstytucyjnej Austrii uniwersytety krakowski i lwowski mogły się rozwijać pod osłoną liberalnego ustawodawstwa austriackiego: nieznane były usuwania lub przenoszenia profesorów, szanowano wnioski o nominację, przepisy dyscyplinarne dla profesorów tchnęły zaufaniem do poziomu moralnego grona nauczającego, któremu oddano bez zastrzeżeń zwierzchnictwo dyscyplinarne nad młodzieżą. Austriaccy ministrowie oświaty unikali wyzyskiwania swoich uprawnień. Jakkolwiek senaty uniwersytetu lwowskiego i krakowskiego prowadziły energiczną walkę, najpierw o polskość swoich wszechnic, następnie o ich niezależność, nie tylko nie spotykały się z represjami rządu centralnego, ale przeciwnie zdobywały sobie ze strony ministrów objawy szacunku i uznania. Dzięki temu wytworzyła się atmosfera, w której mogły być pożyteczne i dla nauki i dla narodu.

Szkoły akademickie w odrodzonej Polsce otrzymały samorząd, wzorowany na urządzeniach dawnej Austrii. W jego ramach rozrastały się systematycznie, jakkolwiek trudności finansowe państwa i spowodowane nimi skąpe dotacje rozwój ich hamowały. Jednakże w zdrowej i swobodnej organizacji swego bytu i swej pracy oraz w życzliwym stosunku rządów i sejmu upatrywały rękojmię pomyślniejszego rozkwitu w przyszłości. Obecnie do upośledzenia materialnego ma się dołączyć skrupowanie organizacyjne, narażenie bytu instytucyj, katedr

i profesorów na niepewność arbitralnych zarządzeń i wprowadzenie do życia szkół akademickich ciągłych konfliktów. Przed stu laty tego rodzaju reforma już byłaby anachronizmem, dzisiaj może być tylko zdarzeniem przejściowym. Cofnąć uniwersytetów polskich do stanu z doby Świętego Przymierza niepodobna bez jaskrawej szkody kultury narodu i podważenia powagi naszego państwa.

Na jednym z dzieł niemieckich o uniwersytetach widnieje rycina, przedstawiająca potężny dąb, którego gałęzie i liście miotają wichry, z napisem: „*Exagitat frondes immoto stipite ventus.*” Wierny to symbol szkół akademickich. Wichry i burze z zewnątrz wnoszą w nie niepokój, chwilowo mogą im nawet zaszkodzić, ale potężny, zdrowy pień dębu nie ulegnie zachwianiu i zatryumfuje nad nawałnicami, jeżeli świat nauki nie ustanie w obronie tych szlachetnych wartości i ogromnych dóbr, jakich piastowanie powierzyła mu historia.

JAN GWIAZDOMORSKI,
profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego.

PROJEKT NOWEJ USTAWY O STYPENDJACH.

Wedle art. 119 ust. 2 Konstytucji Rzp. Pol. zapewni państwo uczniom wyjątkowo zdolnym a niezamożnym stypendja na utrzymanie w zakładach średnich i wyższych. Celem zrealizowania tego postanowienia w stosunku do uczniów szkół wyższych wydano ustawę z dnia 30 października 1923, Dz. U. Nr. 118, poz. 942, o państwowych stypendjach oraz innych formach pomocy dla młodzieży akademickiej. Ustawa ta dotąd obowiązująca okazała się w praktycznem wykonaniu dobrą, to też — o ile mi wiadomo — nikt nie podnosił żądania poczynienia w niej poważniejszych zmian, a tem mniej zastąpienia jej ustawą nową, opartą na odmiennych podstawach. Pomimo to rząd wniósł obecnie projekt nowej ustawy „o państwowych stypendjach oraz innych formach pomocy dla młodzieży szkół wyższych“.

W „uzasadnieniu“ projektu powiedziano, iż „dziewięcioletnie doświadczenie, nabyte w czasie wykonywania ustawy z dnia 30 października 1923 wykazało szereg zasadniczych braków, których usunięcie w najkrótszym czasie stało się nieodzowne“. Szkoda tylko, że w „uzasadnieniu“ nie wyjaśniono ani słowem, na czem te zasadnicze braki ustawy z 1923 r. mają polegać, ani też — co ważniejsza — w jaki sposób braki te dały się odczuć.

Projekt nowej ustawy został uchwalony przez Radę Ministrów w dniu 9 grudnia 1932 i wniesiony do sejmu w dniu następnym. Senaty szkół akademickich nie miały niestety sposobności podania panu Ministrowi W. R. i O. P. swych uwag o treści projektu, ponieważ projekt nie został im rozesłany do

zaopiniowania, a o zamiarze wydania nowej ustawy senaty i rektorowie szkół akademickich nie byli powiadomieni.

Projekt zawiera 14 artykułów i pod względem układu zewnętrznego wzoruje się na ustawie z 1923 r. Wprowadzone w nim zmiany są pozornie nie tak duże, w rzeczywistości jednak bardzo doniosłe. W porównaniu z dotąd obowiązującą ustawą projekt okazuje zalety, ma jednak niestety i wady i to wady poważne.

Cechą dodatnią projektu jest to, że, w przeciwstawieniu do ustawy z 1923 r., która odnosi się tylko do pomocy państwowej dla młodzieży, studjującej w państwowych szkołach akademickich, objęto projektem także i studentów prywatnych szkół wyższych. Zaletą projektu jest dalej wyraźne stwierdzenie, że stypendja otrzymywać mogą nie tylko studenci w czasie normalnych studjów, ale i osoby, które odbyły normalne studia i są w okresie zdawania egzaminów ostatecznych, oraz osoby, posiadające dyplom niższego stopnia naukowego, w okresie prac nad uzyskaniem wyższego stopnia naukowego (wedle ustawy z 1923 r. stypendyści otrzymują stypendja „aż do ukończenia normalnego biegu studjów“, i to nie dłużej „niż przez liczbę lat, odpowiadającą normalnemu czasowi studjów w danej dziedzinie w szkole akademickiej“).

Podstawową formą pomocy dla młodzieży szkół wyższych są wedle projektu — tak samo, jak w ustawie z 1923 r. — stypendja zwrotne. Wedle art. 11 ustawy z 1923 roku stypendja podlegają zwrotowi w ciągu lat 12 od dnia wypłaty ostatniej raty stypendjalnej, przyczem określenie sposobu i terminu spłaty rat stypendjalnych należy do Ministra W. R. i O. P. w porozumieniu z Ministrem Skarbu. Projekt zapewnia tu Ministrowi W. R. i O. P. większą swobodę, postanawiając tylko, że termin zwrotu i sposób spłaty stypendjów ustala Minister W. R. i O. P. w drodze rozporządzenia.

Projekt tworzy specjalny fundusz pod nazwą „Państwowe Stypendja Akademickie“, który pozostaje w zarządzie Ministra W. R. i O. P. Utworzenie tego funduszu ma jednak tylko znaczenie rachunkowe i budżetowe, ponieważ na fundusz ten składają się mniej więcej te same pozycje, z których, wedle

ustawy z 1923 r., stypendja są wypłacane. W jednym tylko punkcie nastąpiła charakterystyczna zmiana. W ustawie z 1923 r. przewidziano na wypłatę stypendjów wprowadzenie specjalnych opłat, pobieranych od studentów państwowych szkół akademickich, przyczem określenie wysokości tych opłat pozostawiono Ministrowi W. R. i O. P. na podstawie opinii senatów, a radom wydziałowym przyznano już w ustawie prawo zwalniania niezamożnych studentów od powyższych opłat. W projekcie punkt ten radykalnie uproszczono, postanawiając, iż na fundusz „Państwowe Stypendja Akademickie“ składać się będą (między innymi także i) opłaty, pobierane w szkołach wyższych; wysokość opłat i sposób ich pobierania ustalić ma rozporządzenie Ministra W. R. i O. P.

Najpoważniejsze zmiany wprowadza projekt przy regulowaniu sposobu rozdziału stypendjów. Wedle ustawy z 1923 r. ustala Minister W. R. i O. P. liczbę oraz wysokość stypendjów a przed rozpoczęciem roku szkolnego dokonywa podziału stypendjów pomiędzy szkoły akademickie, biorąc w zasadzie za podstawę liczbę studentów w każdej szkole. Przyznane szkole stypendja dzielą między wydziały senaty akademickie z uwzględnieniem szczególnych potrzeb niektórych studentów. Stypendja poszczególnym studentom przyznają rady wydziałowe, przyczem pierwszeństwo do stypendjów przysługuje studentom, zamierzającym poświęcić się badaniom naukowym lub pracy pedagogicznej. W projekcie wpływ Ministra W. R. i O. P. na rozdział stypendjów bardzo silnie powiększono. I tak Minister W. R. i O. P. ustala nie tylko liczbę i wysokość stypendjów, przyczem projekt nie podaje żadnej ustawowej podstawy podziału, ani także terminu ich wypłacania (wedle art. 7 ustawy z 1923 r. stypendja mają być wypłacane w ratach miesięcznych z góry). Rozdział funduszu „Państwowe Stypendja Akademickie“ ma być dokonywany wedle następujących zasad: część funduszu w wysokości nieprzekraczającej 20% Minister W. R. i O. P. może zastrzec do swej wyłącznej dyspozycji. Pozostałą część funduszu, przeznaczoną jednak tylko dla studentów od drugiego roku studiów wzwyż, Minister W. R. i O. P. dzieli przed początkiem roku szkolnego między szkoły i ich wydziały.

przyczem z milczenia projektu zdaje się wynikać, że Minister W. R. i O. P. nie tylko wnioskami senatu co do rozdziału stypendjów między wydziały nie będzie związany, ale nawet senatów o przedłożenie tych wniosków wogóle wzywać nie będzie. Rady wydziałowe mają tylko uchwalać wnioski w sprawie przyznania stypendjów, przeznaczonych dla szkoły, i przedstawią je Ministrowi W. R. i O. P. do zatwierdzenia wraz z uzasadnieniem i dołączeniem spisu wszystkich ubiegających się o stypendja. Zasady przyznawania stypendjów ustalić ma Minister W. R. i O. P. w drodze rozporządzenia, przyczem pierwszeństwo przy przyznawaniu stypendjów ma przysługiwać osobom, zamierzającym poświęcić się badaniom naukowym i posiadającym odpowiednie do tego warunki.

Postanowienie projektu, przewidujące możliwość zastrzeżenia sobie przez Ministra W. R. i O. P. części funduszu „Państwowe Stypendja Akademickie“ do swej wyłącznej dyspozycji, jest samo przez się niejasne. Z innych przepisów projektu jest dopiero widoczne, że ta „wyłączność“ dysponowania przez Ministra W. R. i O. P. tą częścią funduszu polega przede wszystkim na tem, iż z tej części funduszu otrzymać mogą stypendjum studenci niezależnie, a nawet wbrew wnioskom rad wydziałowych, podczas gdy z części funduszu, którą Minister W. R. i O. P. rozdzieli między poszczególne szkoły i wydziały, przyznanie stypendjum bez wniosku właściwej rady wydziałowej jest niemożliwe. Studenci z pierwszego roku mogą otrzymać stypendjum tylko z tej części funduszu, która została zastrzeżona do wyłącznej dyspozycji Ministra W. R. i O. P. Rzuca się w oczy brak w projekcie przepisu, któryby co do części funduszu, zastrzeżonej do wyłącznej dyspozycji Ministra W. R. i O. P., wykluczał przynajmniej możliwość zwrócenia się przez stypendystę z podaniem o przyznanie stypendjum wprost do Ministra W. R. i O. P., z pominięciem właściwej rady wydziałowej. Stąd widać, że intencją autorów projektu było otwarcie stypendystom możliwości starania się o stypendjum z zupełnem pominięciem swych władz akademickich i to w sposób, wykluczający wysłuchanie przez Ministra W. R. i O. P. opinii o podaniu właściwej rady wydziałowej. Ten tryb postępowania prowadziłby,

przez silne podważenie autorytetu władz akademickich wobec młodzieży, do zupełnego chaosu i anarchji.

Prócz przewidzianych już w ustawie z 1923 r. trzech przyczyn utraty prawa pobierania stypendjum (wyrok władzy dyscyplinarnej, opuszczenie szkoły lub wydziału, zaniedbanie się w studjach) wymienia projekt dwie dalsze przyczyny, mianowicie: oddawanie się pracy zarobkowej, uznanej przez radę wydziałową za stanowiącą przeszkodę w studjach, oraz niezawiadomienie rady wydziałowej o przyjęciu pracy zarobkowej. Wedle ustawy z 1923 r. o utracie praw stypendysty do przyznanego mu stypendjum orzeka ostatecznie rada wydziałowa. Wedle projektu, orzeka rada wydziałowa o utracie praw stypendysty do stypendjum tylko w dwóch przypadkach (nałożenie na stypendystę kary dyscyplinarnej, surowszej niż nagana, opuszczenie szkoły lub wydziału) i to za zawiadomieniem Ministra W. R. i O. P.; w przypadkach pozostałych utratę praw orzekać będzie Minister W. R. i O. P. na wniosek Rady Wydziałowej, która ma sprawować kontrolę nad postępami stypendystów w studjach.

Prócz stypendjów zwrotnych i pożyczek bezprocentowych, służących dla celów zaspakajania specjalnych potrzeb doraźnych (o tych pożyczkach nie piszę szerzej, bo będą one chyba należeć do rzadkości; przyznaje je wedle projektu znowu Minister W. R. i O. P. na wniosek rady wydziałowej) przewiduje projekt jeszcze nieznane ustawie z 1923 r. stypendja bezzwrotne dla studentów szkół wyższych, którzy po ukończeniu studjów będą obowiązani wstąpić do służby w urzędach i instytucjach państwowych. Stypendja te będą wypłacane z sum, wnoszonych corocznie do budżetów tych urzędów i instytucyj państwowych. Innowacja ta jest bardzo celowa i słuszna. Niestety projekt oddaje wszelkie decyzje co do tworzenia a nawet przyznawania stypendjów bezzwrotnych właściwemu ministrowi w porozumieniu z Ministrem W. R. i O. P. O jakimkolwiek wpływie, czy choćby wnioskach lub opiniach rad wydziałowych, co do tworzenia i przyznawania tych stypendjów bezzwrotnych, projekt nie wspomina ani słowem.

W art. 12 projektu zamieszczono postanowienie, stanowiące, w stosunku do ustawy z 1923 r., zupełną nowość. Wedle tego przepisu Minister W. R. i O. P. ustala w drodze rozporządzenia sposób nadzoru i kontroli nad *wszelkimi* formami pomocy dla młodzieży szkół wyższych. Projekt mówi wyraźnie o nadzorze „nad *wszelkimi* sposobami pomocy“. Stwierdzić należy, że projekt może mieć tylko na myśli *wszelkie* formy państwowej pomocy dla młodzieży szkół wyższych. Dlaczego jednak nie wyrażono tego jasno? Należy wykluczyć, by rozporządzenie Ministra W. R. i O. P. mogło regulować nadzór i kontrolę także i co do pomocy, udzielanej młodzieży szkół wyższych przez osoby prywatne. Osoby prywatne, ustanawiające fundacje stypendyjne, zwykle same postanawiają, pod czym zarządem i nadzorem ma się majątek fundacyjny znajdować. Konieczność uszanowania woli fundatorów każe więc wykluczyć ingerencję tych władz, których fundator do czuwania nad fundacją nie powołał.

Przedstawiłem treść projektu nieco obszerniej dlatego, aby nikt nie mógł sądzić, że konkluzje, do których obecnie przechodzę, są dowolne i niezgodne z poszczególnymi przepisami projektowanej ustawy. Zasadniczą tendencją projektu jest rozszerzenie władzy Ministra W. R. i O. P. i to w dwóch kierunkach. Najprzód projekt — w porównaniu z ustawą z 1923 r. — rozszerza znacznie zakres upoważnienia dla Ministra W. R. i O. P. do regulowania pewnych kwestyj w rozporządzeniach wykonawczych. Powtóre: projekt odbiera cały rozdział stypendjów radom wydziałowym i oddaje go Ministrowi W. R. i O. P. Rozszerza władzę Ministra W. R. i O. P. do wszechwładzy, ogranicza kompetencję rad wydziałowych tak dalece, że właściwie całą władzę im odbiera. Senaty traktuje *per non sunt*, nie wspominając o nich ani słowem.

Trudno znaleźć jakieś motywy tej tak radykalnej zmiany. W „uzasadnieniu“ projektu podano właściwie tylko wyliczenie najważniejszych zmian, jakie projekt ustawy wprowadza w stosunku do postanowień dotąd obowiązującej ustawy z 1923 r. Istotnych powodów nie podano zupełnie. Tylko co do

kwestji przesunięcia kompetencji rozdziału stypendjów, w ramach pewnej szkoły, między wydziały z senatów na Ministra W. R. i O. P. wyjaśniono w uzasadnieniu, że zmiana ta „pozwoli na planowe regulowanie pomocy stypendjalnej, biorąc pod uwagę zarówno liczbę stypendjów, jak i faktyczne potrzeby poszczególnych kierunków studjów i zawodów“. Zwrot ten jest tak ogólnikowy, że trudno poznać, jaką myśl autor uzasadnienia zamierzał w zwrocie tym wyrazić. Tymczasem każdy, kto zna choć trochę stosunki w szkołach akademickich, wie chyba, że o potrzebach poszczególnych wydziałów lepiej jest poinformowany senat danej szkoły, w którym zasiadają delegaci tego wydziału, niż Minister W. R. i O. P. Dla każdego jest też jasne, że młodzież, studującą na pewnym wydziale, znają chyba najlepiej profesorowie tegoż wydziału. Oni też są najbardziej powołani do oceniania „wyjątkowych zdolności i pilności“ studenta, który pod ich kierunkiem pracuje. A tylko młodzież wyjątkowo zdolna, pilna i niezamożna ma wedle art. 1 projektu ze stypendjów korzystać. Pozostaje natomiast zupełną zagadką, na jakiej podstawie będzie mógł Minister W. R. i O. P. opierać decyzję zatwierdzania lub niezatwierdzania wniosków rady wydziałowej co do do rozdziału stypendjów. Ani on sam, ani nikt z podwładnych urzędników ministerstwa nie będzie znał osobistych stosunków kandydatów, od których projekt ustawy trafnie uzależnia przyznanie stypendjum. Równoczesny napływ wniosków ze wszystkich wydziałów wszystkich szkół akademickich w Polsce uniemożliwi choćby trochę dokładniejsze zbadanie sprawy, tem bardziej, że, wedle dosłownego brzmienia art. 5 projektu, rady wydziałowe z wnioskiem w sprawie przyznania stypendjów przedkładać mają tylko uzasadnienie i spis wszystkich ubiegających się o stypendja, a ze spisu petentów trudno oceniać ich kwalifikacje. Przedkładanie zaś przez rady wydziałowe wszystkich podań stypendystów byłoby niecelowe, skoro choćby trochę dokładniejsze ich przeglądnięcie — i to nawet przez kilku referentów naraz — zabrałoby tyle czasu, że odwlekłoby zatwierdzenie wniosków rad wydziałowych o czas bardzo długi, a tem samem w wielu wypadkach uniemożliwiłoby stypendystom studja przez znaczną część roku szkolnego.

Omówiony tu projekt ustawy jest dalszem ogniwem łańcucha, którym zamierza się skrępować polskie szkoły akademickie a z niemi i całą polską naukę. Jest dalszym przejawem tych tendencji, z których realizacji nauka polska wyszłaby — wedle słów jednego z najwybitniejszych polskich uczonych — z połamanemi kośćmi.

SPIS RZECZY.

	Str.
I. Oswald Balzer: Uwagi o projekcie nowej Ustawy o Szkołach Akademickich	5
II. Leon Piniński: Ustrój szkół akademickich	23
III. Stanisław Estreicher: Projekt nowej ustawy	34
IV. Jan Michał Rozwadowski: Na powrozie	41
V. Ks. Biskup Michał Godlewski: Sint ut sunt, aut non sint	43
VI. Bronisław Dembiński: Wobec zamierzonej reformy	45
VII. Stanisław Starzyński: Chybiony projekt	49
VIII. Wojciech Świętosławski: Uwagi nad projektem nowej ustawy Szkół Akademickich	54
IX. Ks. Konstanty Michalski: Mechanizm czy organizm	59
X. Bolesław Hryniewiecki: Nauka w szponach biurokracji	67
XI. Franciszek Bujak: W sprawie reformy Szkół Akademickich	73
XII. Maksymiljan T. Huber: Na marginesie projektu nowej ustawy szkół akademickich	78
XIII. Emil Godlewski: Projekt nowej ustawy akademickiej	83
XIV. Ks. Józef Archutowski: Sprawy akademickie	96
XV. Roman Dyboski: Wolność nauki a interes państwa	105
XVI. Władysław Szafer: Wolność nauki w projekcie nowej ustawy o szkołach akademickich	113
XVII. Władysław Natanson: Szkoły Akademickie	120
XVIII. Stanisław Zaremba: Pogląd na ministerjalny projekt ustawy o szkołach akademickich	130
XIX. Bohdan Winiarski: O byt szkół akademickich	134
XX. Stanisław Pigoń: Reforma czy przewrót w szkolnictwie wyższem?	146
XXI. Tadeusz Zieliński: Walka o autonomję szkół wyższych	157
XXII. Marjan Zdziechowski: Z przeszłości uniwersytetów rosyjskich	167
XXIII. Aleksander Brückner: Samorząd uniwersytetów niemieckich	175

	Str.
XXIV. Henryk Hoyer: Jak wygląda autonomja szkół wyższych w Niemczech	181
XXV. Julian Pagaczewski: W sprawie samorządu szkół akademickich	188
XXVI. Eugenjusz Romer: Uwagi o samorządzie uniwersytetów polskich	193
XXVII. Ignacy Chrzanowski: Dzisiaj a przed stu pięćdziesięciu laty	200
XXVIII. Wacław Tokarz: W sprawie projektu nowej ustawy uniwersyteckiej	205
XXIX. Stanisław Kot: Podstawy historyczne współczesnej organizacji szkół akademickich	209
XXX. Jan Gwiazdomorski: Projekt nowej ustawy o stypendjach	225



Biblioteka Główna
Akademii Obrony Narodowej

30313/2



12-030313-000-0

DRUKARNIA
P. MITRĘGI
W CIESZYNIE